

NINIEJSZY TEKST STANOWI FRAGMENT KSIĄŻKI:

**Zygmunt Gloger**

***PISMA ROZPROSZONE***

**TOM III**  
1890–1910

**Redakcja naukowa edycji**  
Jarosław Ławski i Jan Leończuk

**Wstęp**  
Łukasz Zabielski, Marek Rutkowski, Jarosław Ławski

**Opracowanie tekstów i przypisy**  
Łukasz Zabielski, Sebastian Kochaniec,  
Michał Siedlecki, Patryk Suchodolski

**Noty i słownik czasopism**  
Anna Janicka

**Indeksy opracowali**  
Mona Al-Kaber i Michał Siedlecki

Całość 3-tomowej edycji można znaleźć na stronie  
<http://www.ksiaznicapodlaska.pl/statics/gloger.html>

Publikacja powstała w ramach grantu NPRH pn. *Naukowa edycja krytyczna „Pism rozproszonych” Zygmunta Glogera w trzech tomach*. Czas trwania projektu: lata 2013–2017

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku  
Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku  
Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku

**KSIĄŻNICA  
PODLASKA**



**NARODOWY PROGRAM  
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Białystok 2016

Łukasz Zabielski

Dział Naukowy

Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku

## ZYGMUNT GLOGER: MIĘDZY UNIWERSUM GUTENBERGA A „LITERATURĄ W ŻYWYM SŁOWIE”

Jesteśmy dalecy od nałogu wychwalania wszystkiego, co było dawniej, w porównaniu ze stanem dzisiejszym. Byłoby jednak nie logicznym uważać wszelki postęp za zasługę i monopol XIX-go wieku, a wszystko, co było przed nim, stawiać pod pręgierzem zafotowania.

Zygmunt Gloger, *Dawne stráže od ognia*<sup>1</sup>

### „Przenoszenie na papier”

Niełatwo scharakteryzować Zygmunta Glogera jednym, uogólniającym terminem, sklasyfikować, „zaszufladkować”, a przez to umieścić w konkretnym rozdziale modelowego podręcznika dziejów polskiej kultury XIX wieku. Uznawany bywa za przedstawiciela kilku (nastu) dyscyplin naukowych, takich między innymi jak historia, archeologia, etnografia, folklorystyka, ludoznawstwo<sup>2</sup>. Sprawy nie rozstrzyga archaiczny termin „starożytnik”<sup>3</sup>, czyli entuzjasta „starożytności”, dziejów i przedmiotów należących do – bliższej bądź dalszej – przeszłości. Dla Anny Kutrzeby-Pojnarowej<sup>4</sup>, Wacława Olszewicza<sup>5</sup> oraz Teresy Komorowskiej<sup>6</sup> jest Gloger przede wszystkim etnografem i folklorystą. Aleksander Antoniuk pisze o nim jako o kolekcjonerze<sup>7</sup>. Adam Dobroński artykułuje opinię równoległą: „Sądzę, że Zygmunt Gloger był przede wszystkim historykiem, i to w szerokim tego słowa znaczeniu. Wszystko, co dawne, związane z dziejami narodowymi, zwłaszcza ukochane Podlasie, stawało się przedmiotem jego zainteresowań”<sup>8</sup>. Redaktorzy *Pism rozproszonych* pragną w gospodarzu z Jezewa widzieć nade wszystko twórcę, pisarza<sup>9</sup> – odrzucając imperatyw przy-

<sup>1</sup> Z. Gloger, *Dawne stráže od ognia*, „Tygodnik Ilustrowany” 1890, nr 42, s. 250.

<sup>2</sup> [A. Kutrzeba-Pojnarowa], *Od Redakcji*, [w:] *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. I, Warszawa 1958; *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana*, t. XXV, Warszawa 1900, s. 148; *Mały słownik historii Polski*, Warszawa 1967, s. 94; *Słownik pracowników książki polskiej*, Warszawa–Łódź 1972, s. 265.

<sup>3</sup> Zob. rozważania na ten temat G. Kowalskiego w tekście: *XIX-wieczna „silva rerum”. Pisma Zygmunta Glogera*, [w:] I tom *Pism rozproszonych*, s. 49-51. Por. A. Kutrzeba-Pojnarowa, *Zasługi Zygmunta Glogera w zakresie etnografii*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz przeszłości ziemi ojczystej. Materiały z sesji popularyzatorskiej, Łomża, 25-26 maja 1974 r.*, red. J. Babicz, A. Kutrzeba-Pojnarowa, Warszawa 1979, s. 66.

<sup>4</sup> A. Kutrzeba-Pojnarowa, *Zasługi Zygmunta Glogera*, dz. cyt., s. 63-70.

<sup>5</sup> W. Olszewicz, *Życie i prace Zygmunta Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz przeszłości...*, s. 6-24.

<sup>6</sup> T. Komorowska, *Gloger. Opowieść biograficzna*, Warszawa 1985.

<sup>7</sup> A. Antoniuk, *Z działalności kolekcjonerskiej Zygmunta Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz przeszłości...*, s. 37-50.

<sup>8</sup> A. Dobroński, *Zygmunt Gloger – historyk*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz przeszłości...*, s. 25.

<sup>9</sup> Por. J. Ławski, *Zygmunt Gloger i wiek XIX*, [w:] I tom *Pism rozproszonych*, s. 31: „Jednak, co przedstawiane tu pisma rozproszone pokazują z całą jaskrawością, był też [Gloger – Ł.Z.] człowiekiem pióra. Równocześnie – naukowcem i pisarzem. O ile oddano sprawiedliwość etnograficznemu dorobkowi Glogera, o tyle zapoznany on pozostaje jako wybitnie zdolny pisarz. Co więcej, pisarz spełniony zarówno w wielkiej formie, takiej jak *Dolinami rzek*, jak i w dziesiątkach mikronarracji, które rozproszone w czasopiśmie interesowały czasem badaczy, folklorystów, nigdy zaś literaturoznawców”. Na temat roli Glogera jako pisarza zob. wstęp Jarosława Ławskiego do niniejszego tomu pt. „*Ja ku tobie podążam, domowy Niemnie*”. *Zygmunt Gloger jako pisarz*.

dzielania sztywnych etykiet precyzujących specjalizację zawodową. Do posługiwania się właśnie tym terminem – pisarz – skłania przede wszystkim ilość stworzonych przezeń tekstów, skala poruszonych tematów i form gatunkowych, którymi się posługiwał: od historycznych opracowań, monografii pokroju *Obchodów weselnych* (1869) czy *Dawnej ziemi bielskiej i jej częstkowej szlachty* (1873) po gatunki z pogranicza reportażu i powieści (*Dolinami rzek*), a nawet wiersze (na przykład *Do kobiety*) i poematy (*Marzenia samotnika*<sup>10</sup>).

Tom niniejszy stanowi zwieńczenie naukowego projektu wydawniczego, którego efekty – czego nie sposób ukryć – przerosły pierwotne założenia redaktorów. Zebranie bowiem w jednym miejscu niemal wszystkich (w sumie ponad 1000) tekstów publicystycznych Glogera odsłoniło jego inne, nieznanе dotąd oblicze: mistrza słowa pisanego. A mówiąc bardziej szczegółowo: pracowitego popularyzatora nauki, przenikliwego obserwatora i komentatora rozlicznych przejawów życia społecznego, politycznego, naukowego, sprawozdawcy i korespondenta XIX-wiecznych czasopism. Trudniej odtąd bronić tezy, że to właśnie *Encyklopedia staropolska ilustrowana* jest tylko jego dziełem życia<sup>11</sup>, bowiem zawarty w III-tomowym zbiorze artykułów materiał, jego obfitość i różnorodność, świadczy w sposób aż nadto oczywisty, że to właśnie publicystykę tworzył Gloger w pierwszym rzędzie, i że to ją, mówiąc o całokształcie twórczości starożytnika, należałoby wymieniać odtąd w pierwszej kolejności. Wspomniane już monumentalne publikacje książkowe to efekt właściwie ostatniej dekady jego życia. Natomiast od debiutu w roku 1863<sup>12</sup> poczynawszy, aż do śmierci w 1910 roku<sup>13</sup> nie wyszedł on ani na moment z roli publicysty, korespondenta, nie wypuścił pióra z ręki, nie przestał pisać i publikować. Nie przestał – choć zabrzmi to nazbyt może trywialnie – posługiwać się słowem pisanym.

Ponad 3,5 tysiąca stron formatu wydawniczego A4 – bo taka jest objętość trzech tomów *Pism rozproszonych* – świadczy jednoznacznie o tym, że „niewypuszczanie pióra z ręki” nie jest w tym konkretnym przypadku określeniem metaforycznym. Gloger w sposób dosłowny wrażenia, które aktualnie rejestrowały jego zmysły, a także myśli, sądy i opinie, które rodziły się w jego umyśle, automatycznie przelewał na papier. Czuł przymus nadawania żywym lub wyimaginowanym obrazom formy graficznej, postaci wypełniających puste kartki, a następnie łamy gazet, liter i cyfr. Rzecz to szczególnie osobliwa, gdy zauważymy, że był synem Jana Glogera (1811–1884), „człowieka czynu”: powstańca listopadowego, autora gospodarczego sukcesu, jaki stał się udziałem folwarku w Jeżewie, absolwenta Wydziału Inżynierii i Sztuk Pięknych Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego. W prywatnych zbiorach rodzinnych Magdaleny Zawidzkiej-Kwiatkowskiej znajdują się obrazy Jana Glogera, które ukazują jego ponadprzeciętne zdolności plastyczne<sup>14</sup>. Zdolności te, jak wiemy, posiadał również Zygmunt, który malował, szkicował, tworzył autorskie ilustracje do własnych publikacji (przede wszystkim do *Encyklopedii staropolskiej*). Jednak w wolnych chwilach to pisaniu oddawać miał – co sam przyznał – palmę pierwszeństwa:

Siedziałem więc samotny przy ognisku – pisał do „Niwy” w 1891 roku – a myśl moja przebiegała z przedmiotu na przedmiot, powracając zawsze do najbliższych sercu zagadnień, jako ten ptak wędrowny,

<sup>10</sup> Zob. interpretację tego dzieła: Ł. Zabielski, „*Cogito*” marzyciela. O Zygmunta Glogera „*Marzeniach samotnika*”, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz, myśliciel, uczony. Studia*, red. J. Leończuk, J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016.

<sup>11</sup> Por. J. Krzyżanowski, *Zygmunt Gloger i jego „Encyklopedia staropolska”*, [w:] Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. I, Warszawa 1972, s. 5: „[...] już od młodzieńczego debiutu w roku 1863 górują nad tymi próbkami prace naukowe, obejmujące jakieś 900 pozycji, artykułów, artykułików i notatek o charakterze etnograficznym, archeologicznym i muzealnym, wśród których miejsc ponad 30 zajmują okazałe tomy tekstów ludowych zebranych »z ust ludu i notat własnych« Glogera, następnie jego badania kultury ukochanego Podlasia i całej Polski, które swój wyraz najpełniejszy otrzymały w imponującej *Encyklopedii staropolskiej*, szczytowym osiągnięciu naukowym autora”. Teza o *Encyklopedii staropolskiej* jako dziele życia Glogera pojawia się w najpopularniejszym w XXI wieku źródle „wiedzy popularnej”, czyli Wikipedii: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Zygmunt\\_Gloger](https://pl.wikipedia.org/wiki/Zygmunt_Gloger) [dostęp: luty 2017].

<sup>12</sup> Z. Gloger, *Pomnik Stefana Czarnieckiego w Tykocinie*, „Tygodnik Ilustrowany” 1863, nr 208, I tom *Pism rozproszonych*, s. 99-102.

<sup>13</sup> Tenże, *Grody Piastowskie*, „Ziemia” 1910, nr 37-40.

<sup>14</sup> Co prawda A. Śnieżko (*Jan Gloger*, [hasło w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. VIII, Wrocław–Kraków–Warszawa 1959, s. 79) informuje, że Jan Gloger „po amatorsku malował i kopiował”, jednak pozostałe po nim obrazy wskazują zdecydowanie na ponadamatorskie zdolności. Por. M. Zawidzka-Kwiatkowska, *Zygmunt Gloger we wspomnieniach rodzinnych*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz, myśliciel, uczony. Studia*, s. 29-34. Zob. również rozmowę Grzegorza Kowalskiego z Magdaleną Zawidzką-Kwiatkowską [w:] „Bibliotekarz Podlaski” 2017, nr 1 (XXXIV), s. 133-140.

który okrążywszy dalekie pola i rozłogi, wiecznie podąża z utęsknieniem do swego gniazda, pragnąc w nim znaleźć szczęście i pokój, i miłość. Nie było miłego sąsiada, musiał więc go zastąpić świstek papieru, na którym zacząłem notować myśli a słowa, i nie spostrzegłem się, jak nabazgrałem cały długi morał o przyczynach niemocy społecznej, płynącej z niepojmowania obowiązków przez jednostki będące częstkami organicznego ustroju. Być może, iż morał ten kreśliłem w życiu nie raz pierwszy i przesłałem do druku nie raz ostatni, nadużywając cierpliwości czytelników<sup>15</sup>.

Tego typu pisanie tylko z pozoru jest czymś charakterystycznym dla doby gwałtownego rozwoju i wzrostu popularności prasy – miesięczników, tygodników, dzienników<sup>16</sup>. Glogera twórczość, o której tu mowa, posiada charakter osobisty, to znaczy spontaniczne pisanie nie mogło objąć niczego, co nie miałooby dla niego osobistego znaczenia. Takie oto słowa przesyłał do „Kuriera Codziennego” 13 września 1893 roku:

Korzystam z pośpiesznego przewozu korespondencji pocztowej pomiędzy Wilnem i Warszawą i wysyłam popołudniowym pociągiem list pierwszy o otwartej przed dwiema godzinami wystawie przemysłowo-gospodarskiej. [...] Całą noc pracowano i cały rynek, a do tej chwili zastęp tapicerów, stolarzy i ogrodników pracuje przy witrynach lub pawilonach pojedynczych wystawców, pracuje gorliwie, by przynajmniej do jutra wszystko było gotowe<sup>17</sup>.

Zwróćmy uwagę, że to możliwość „pośpiesznego przewozu”, a nie wymuszonej chwilą potrzebę „błyskawicznej twórczości”, tzn. szybkiego zapisania istotnych informacji, korespondent uznał za wartą odnotowania. Właściwie nigdy nie podzielił się Gloger informacją, że zmuszony był cokolwiek napisać w pośpiechu, „na kolanie”. Co zdaje się wskazywać, że taka forma aktywności – wykonanej odruchowo, wręcz mimowolnie notatki – nie mogła być mu obca<sup>18</sup>. Przynosiła ona zresztą namacalną korzyść: umożliwiała większe zaangażowanie w wydarzenie, którego stawał się Gloger świadkiem i uczestnikiem. Spontaniczna twórczość pozwalała uruchomić szerszą perspektywę obserwacji. Tak przydatna – szczególnie dla sprawozdawcy – potrzeba zanotowania czegoś zmusza do koncentracji, wyłączenia zmysłów, a ubranie obserwowanej rzeczywistości w słowa mobilizuje umysł i wyobraźnię do intensywnej pracy. Budowanie narracji w formie pisemnej wspomaga percepcyjne i analityczne możliwości podmiotu. Tym bardziej, gdy powstała w ten sposób twórczość przeznaczona jest do publikacji, udostępnienia szerokiemu gronu odbiorców, a nie wyłącznie do prywatnych, nieokreślonych celów. Dzięki wysiłkowi kogoś, kto obserwowane wydarzenia koduje za pomocą liter i cyfr, następuje tekstualne zakotwiczenie rzeczywistości w naszej, tzn. ogólnospo-

<sup>15</sup> Z. Gloger, *O niepojmowaniu obowiązków. Gawęda*, „Niwa” 1891, nr 3, s. 42. Tu oraz w całym tekście, o ile nie zostanie zaznaczone inaczej, wszystkie podkreślenia są moje – Ł.Z. W powyższym kontekście nawiązuję do tezy Anny Janickiej, którą wyartykułowała we wstępie do II tomu *Pism rozproszonych (Zygmunt Gloger wobec teorii i praktyki pozytywizmu)*, s. 25): „W biografii przedstawicieli rodu powtarza się stale ten sam motyw oddziałujący na Glogera jak tradycja rodzinna: jego członkowie przede wszystkim pracują, udzielają się patriotycznie i społecznie, a dopiero niejako pobocznie spełniają się, malując, rysując, spisując wspomnienia. Dopiero Zygmunt Gloger, który jest szczytowym przejawem spełnionego *ethosu* pracy, pisanie – ogromnie zróżnicowane i ilościowo wielkie – stawia w tym samym rzędzie, co gospodarskie i obywatelskie obowiązki”. Odważyłbym się powiedzieć wręcz – mając na uwadze szczególnie ostatnie lata życia Glogera, gdy pozostawił folwark w Jeżewie i wyjechał do Warszawy, by oddać się pracy pisarza-wydawcy – że pisanie wysunęło się u niego zdecydowanie na miejsce pierwsze.

<sup>16</sup> Zob. publikowany we wszystkich trzech tomach *Pism rozproszonych* Glogera, opracowany przez Annę Janicką, *Słownik czasopism*.

<sup>17</sup> Z. Gloger, *Wystawa w Wilnie*, „Kurier Codzienny” 1893, nr 255, s. 3.

<sup>18</sup> Por. J. Ławski, *Zygmunt Gloger i wiek XIX*, dz. cyt., s. 28: „I w odniesieniu do przeszłości, i w relacji do postępu Gloger-reporter realizuje model życia, który można określić jako *vita activa*. Owo życie aktywne (i afektowane...) znajduje wyraz w wędrówce czy żegludze krajoznawczej, lecz i w handlu płodami rolnymi, w zbieraniu owoców z sadu, czy też w nerwowym, szybkim pisaniu. Wielekroć powtarza pisarz te same wątki, potem tłumaczy się z powtórzeń informacji, fraz, cytatów. Tłumaczy się interwencyjną doraźnością swej reporterskiej myśli. Niech nas to nie myli. Gloger jest, owszem, dzieckiem wieku nerwowego, epoki pary i gazet, parowców i maszyn drukarskich. Jest też erudyta i samoświadomym twórcą, którego misją będzie z jednej strony ocalenie tradycji staropolskiej, a ze strony drugiej budzenie z cywilizacyjnej drzemki narodu rolników, którzy już stracili państwo, a patrząc tylko, jak stracą kulturę i cywilizacyjną tożsamość. Tę tożsamość, którą tworzą nawet odmiany jabłek, takie jak słynna glogerówka”.

łecznej, czytelniczej świadomości i – na to liczy chyba każdy dziennikarz – pamięci<sup>19</sup>. Aby taka praca miała sens, to znaczy, by odbiorca mógł przekaz zdekodować, czyli poczuć się uczestnikiem opisywanego wydarzenia, musi być pełnoprawnym członkiem kultury, w granicach której opisywana modelowa komunikacja się rodzi. Rzecz to z dzisiejszej perspektywy oczywista, jednak w kontekście historycznym, w którym żył i tworzył Gloger, stanowiła istotny oraz całkowicie realny problem.

Celowo uwypuklam frazeologizm „świstek papieru”, wydaje mi się bowiem, że stanowi on klucz do Glogerowego świata, skrytego pomiędzy kartami *Pism rozproszonych*. Pozwala postawić tezę, że jest on mistrzem krótkiej formy przekazu. Właśnie „świstkami” (to znaczy: kartkami) szybko zapełniającego się papieru bywał Gloger otoczony, bez względu na to, czy podróżował dolinami rzek, atrakcyjnymi z archeologicznego punktu widzenia terenami dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego czy Korony Królestwa Polskiego, jak również siedząc wieczorem przy ogniu palącego się w salonie jezewskiego dworku kominka. Od skrawka papieru wszystko się zaczynało (użyjmy jednej z jego ulubionych przenośni: „największe gmachy składają się z małych cegieł, między którymi bywają klucze i zworniki wielkich sklepień”<sup>20</sup>). Dopiero w kolejnym etapie umieścić należy te momenty, gdy myśli, uwiecznione w postaci notatek, można było poddać krytycznemu oku, refleksji i analizie, aby ostatecznie przekształcić je w ambitne, przemysłane projekty książkowe i encyklopedyczne. Publicystyka pozwala zaznajomić się z najgłębszą, najbardziej intymną warstwą osobowości Zygmunta Glogera. A była to – trzeba przyznać – osobowość wrażliwa na problemy społeczne, przejawiająca autentyczne zatroskanie:

Archiwa domowe – pisał Gloger do „Gazety Rolniczej” w 1890 roku – giną szybko, dawne wyroby rękodzielnicze idą na śmietniki, starych typowych budowli nikt przy rozebraniu nie przenosi na papier, starodawne pieśni, niezapisane, milkną na zawsze w grobach pokoleń<sup>21</sup>.

Szybkie notowanie, stały przepływ informacji, błyskawiczne „przenoszenie” umierającego świata na papier – nie tylko w formie pisemnej, również, jak widzimy, graficznej, to próba zaradzenia potrzebom czasów, w których przyszło mu żyć. Tym bardziej więc nie da się Glogera nazwać „historykiem-amatorem, »starożytnikiem«, który mając słabiej opanowany warsztat badawczy, penetrował szeroko i niekiedy z tej racji dość powierzchownie”<sup>22</sup>. Taką diagnozę można byłoby obronić wtedy, gdybyśmy uznali, że autor *Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej* to tylko i wyłącznie historyk, czyli osoba, dla której liczy się sprostanie wymogom warsztatowym profesjonalisty i której głównym obszarem lokowania życiowej energii jest badanie przeszłości, jej odkrywanie, rozpoznawanie i opisywanie. Owszem, Gloger „uprawianiem” historii z większym czy mniejszym powodzeniem się zajmował, przejawiał też ewidentną fascynację ludźmi, którzy badaniom zamierzonych dziejów poświęcili całych siebie, takimi jak Joachim Lelewel<sup>23</sup> czy Julian Barto-

<sup>19</sup> Problem substancjalnego rozziwu (asymetrii) pomiędzy tekstami i rzeczywistością zaczęto badać i definiować dopiero w wieku XX. Jak zauważa Michał Paweł Markowski: „Przeszłość nie istnieje inaczej niż poprzez liczne mediacje: ślady, pamiętki, wspomnienia, które tyleż odsyłają do rzeczywistości, co ją przesłaniają. Nikt nie ma bezpośredniego dostępu do przeszłości, nawet ten, kto dysponuje najobszerniejszym archiwum, albowiem u podstaw wszelkiego archiwum tkwi radykalna asymetria między życiem i zapisem. Asymetria ta pozwala gromadzić dokumenty odsyłające do rzeczywistości (gdyby dokumenty nie różniły się od tego, co dokumentowane, nie byłyby umieszczane w osobnym miejscu), nie pozwala jednak na całkowite utożsamienie dokumentu z tym, co dokumentowane”. M.P. Markowski, *Znaczenia, a nie fakty*, [w:] tegoż, *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*, Kraków 2013, s. 39. Problem ten rozpatruje Bogdan Balicki z perspektywy konstrukttywizmu [w:] B. Balicki, *W uścisku różnic, czyli o tym dlaczego humanistyka niesie zagrożenia dla procesu poznawczego oraz jak ich uniknąć za pomocą perspektywy konstrukttywistycznej*, „Litteraria Copernicana” 2016, nr 3(19), s. 18-19.

<sup>20</sup> Z. Gloger, *List otwarty*, „Słowo” 1890, nr 115, s. 3.

<sup>21</sup> Z. Gloger, *List otwarty*, „Gazeta Rolnicza” 1890, nr 17, s. 202.

<sup>22</sup> A. Dobroński, *Zygmunt Gloger – historyk*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz przeszłości...*, s. 25. Oczywiście teza Dobrońskiego jest reprezentatywna dla przekonanych szerszego kręgu historyków i etnografów, którzy się Glogerem zajmowali. Por. tezę T. Komorowskiej, komentującej trudności starożytnika z Jeżewa z asymilacją w krakowskim środowisku naukowym: „Tamtejsi uczeni chętnie doksztalcali przybysza i udzielali mu rad, ale mniej kwapili się z uznaniem jego samodzielnych poczynań naukowych. I mieli w tym swoje racje. Gloger był zapałym i sumiennym zbieraczem materiałów, ale nie posiadał głębszej wiedzy, która pozwoliłaby na prawidłową i twórczą interpretację”. T. Komorowska, *Gloger. Opowieść biograficzna*, Warszawa 1985, s. 80.

<sup>23</sup> Z. Gloger, *List z Druskiénik*, „Kronika Rodzinna” 1872, nr 7, s. 102-104; I tom *Pism rozproszonych*, s. 254-255.

szewicz<sup>24</sup>, jednak gospodarza z Jeżewa w porównaniu do większości ówczesnych badaczy-profesjonalistów i eksploratorów-amatorów, starożytników cechowało coś osobliwego.

W moim przekonaniu – zależało mu przede wszystkim na poprawieniu „obecných” warunków bytu, egzystencji społeczeństwa polskiego (tzn. większe jest u niego jednak skoncentrowanie na teraźniejszości niż przeszłości), jak również na wywarceniu silnego i w pełni korzystnego wpływu na kulturowy (to znaczy symboliczny, intelektualny, duchowy etc.) dobrobyt przyszłości<sup>25</sup>. Przeszłość miała wartość jedynie w zestawieniu z teraźniejszością:

[...] w latach 1865–1870 – pisał o sobie Władysławowi Bartynowskiemu – chodziłem do Szkoły Głównej w Warszawie i uniwersytetu w Krakowie, od roku 1870 gospodaruję (w Jeżewie, gubernia łomżyńska), robiąc przy tym naukowe wycieczki po kraju i pracując nad archeologią, historią, etnografią i ekonomią, czyli w ogóle naukami, które z przeszłością kraju i dzisiejszym bytem ekonomicznym narodu mają związek<sup>26</sup>.

Troszczył się zatem Gloger o uzdrowienie – dającej się coraz bardziej osłabiać, podważać – polskiej tożsamości narodowej<sup>27</sup>. Tradycja pod materialną postacią starych rzeźb, budowli, wykopalisk, książek, jak również przekazów ustnych, pieśni, obrzędów – to dla Glogera swoiście pojmowany *język*<sup>28</sup>. Ma ów *język* znaczenie wyłącznie wówczas, gdy nie jest martwy, gdy nadaje się do bezpośredniego przełożenia na życie, na rzeczywistość społeczną; gdy daje się w każdej chwili ożywić, gdy pozwala uwolnić i wykorzystać skrywającą w sobie moc, energię, ducha. Tradycja ma sens wyłącznie jako coś, czym da się na co dzień posługiwać, mówić, myśleć, dzielić się. Zauważmy, że – co byłoby dziś naturalnym odruchem – Gloger nie wspomina o potrzebie zachowania fizycznej, materialnej formy określonego przedmiotu tudzież obiektu. W przypadku, który przywołaliśmy, gdzie chodzi o „starą typową budowlę”, nie postuluje remontowania budynków, zachowywania ich w dawnej postaci, by jako żywy pomnik historii promieniowały dawną świetnością, dawnym duchem Słowiańszczyzny, polskości, by symbolizowały kulturę, która pozwoliła im się narodzić. Nie postuluje też przenoszenia takich obiektów do rezerwatów, skansenów, czy innych specjalnie do tego celu przeznaczonych przestrzeni. Co zaskakuje tym bardziej, że odziedziczył po ojcu zamiłowanie do zbierania, ocalania od zagłady i kolekcjonowania „starożytności krajowych”:

Zainteresowanie „starożytnościami krajowymi” było – przekonuje Maciej Karczewski – w rodzinie Glogerów dziedziczne. To Jan Gloger, kolekcjoner „rzeczy staropolskich”, zaszczerpił w synu Zygmuncie

<sup>24</sup> Dał temu wyraz w licznych artykułach, publikowanych po śmierci Bartoszewicza: *Wspomnienia o Julianie Bartoszewiczu*, „Kronika Rodzinna” 1872, nr 24; I tom *Pism rozproszonych*, s. 259-268; *Kilka słów poświęconych pamięci Juliana Bartoszewicza*, „Gazeta Kielecka” 1870, nr 18, I tom *Pism rozproszonych*, s. 379-382; *Julian Bartoszewicz 1821–1870*, „Przegląd Polski” 1870, t. III i IV, I tom *Pism rozproszonych*, s. 385-412.

<sup>25</sup> Zob. rozważania S. Krzemień-Ojaka w tekście pt. *Przyszłość tradycji*, [w:] *Przyszłość tradycji*, red. S. Krzemień-Ojak, Biały-stok 2008.

<sup>26</sup> List Z. Glogera do W. Bartynowskiego, 21 lipca 1882 r.; cyt. za: T. Komorowska, *Gloger. Opowieść biograficzna*, s. 282.

<sup>27</sup> Por. G. Kowalski, *XIX-wieczna „silva rerum”. Pisma Zygmunta Glogera*, [w:] I tom *Pism rozproszonych*, s. 40: „Debiut Glogera w prasie [...] przypadł na rok 1863 – w tym samym roku wybuchło tragiczne w skutkach powstanie styczniowe, co z pewnością zaważyło na jego życiu i działalności – między innymi w taki sposób, że postrzegał swoją pracę w innych perspektywach niż ściśle naukowe. Wiedział mianowicie, iż praca taka w owych trudnych czasach nie tylko poszerza wiedzę w obrębie określonych dyscyplin, ale także – niezależnie od dyscypliny – przyczynia się do ocalenia tradycji oraz umacniania wspólnoty, kreowania nowego, wyedukowanego, obywatelskiego społeczeństwa. Powstanie styczniowe mogło też zapewne mieć wpływ na szalone tempo działań podejmowanych przez Glogera i ich rozmach: wielu przedstawicieli polskiej inteligencji robiło wówczas co mogło, by »przepracować« traumę popowstaniową”. Por. J. Jedlicki, *Kwestia nadprodukcji inteligencji w Królestwie Polskim po powstaniu styczniowym*, [w:] *Inteligencja polska pod zaborami*, red. R. Czepulis-Rastenis, Warszawa 1978; J. Maciejewski, *Powstanie styczniowe a przełom kulturowy połowy wieku*, [w:] *Literatura południa wieku. Twórczość lat sześćdziesiątych XIX stulecia wobec romantyzmu i pozytywizmu*, red. J. Maciejewski, Warszawa 1992.

<sup>28</sup> Por. też J. Ławskiego: „Glogerowska archeologia okazuje się bowiem także sztuką przywracania słowom ich pierwotnych znaczeń, czystych, zakopanych jak starożytności w ziemi, sensów, które etnograf-archeolog wydobywa, występując najczęściej w roli XIX-wiecznego reportera, sprawozdawcy, włóczęgi-naukowca, krajoznawcy”; tenże, *Zygmunt Gloger i wiek XIX*, dz. cyt., s. 20.

pasje zbierackie. W przyszłości zaowocowały one wspólną ideą stworzenia w Jeżewie muzeum dawnej Lechii, gromadzącego eksponaty datowane od epoki kamienia po wiek XIX<sup>29</sup>.

Jednak w życiu Zygmunta Glogera na pierwsze miejsce wysuwała się postać symboliczna rzeczywistości, a nie fizyczna. 21 sierpnia 1877 roku pisał do Kazimierza Władysława Wójcickiego:

Cożkolwiek bądź bowiem, błogosławiony postęp dotyczący potrzeb ciała byłby raczej cofaniem się i obrzydliwym wstecznictwem, gdyby zabijał wiekuiste potrzeby ducha ludzkiego, jakimi są poezja, poczucie piękna, wiara, miłość itd. Potrzeba tylko poparcia prasy i przypominania częstego ogółowi, że literaturę ludu ma nareszcie uprzystępnioną<sup>30</sup>.

Tego typu deklaracje warto wydobywać i cenić, biorąc pod uwagę popowstaniowe realia, polityczne warunki, w których żył i tworzył autor *Dolinami rzek*. Przywołajmy inny fragment cytowanego już listu Zygmunta Glogera do Władysława Bartynowskiego z 21 lipca 1882 roku:

W roku 1863, mając lat 17, posiadałem już kilkaset monet polskich i kilkadziesiąt medalów. Medale zostały mi wtedy zabrane – monety zdołałem ukryć i ocalić. Inne zabytki, z niewielkim wyjątkiem, przechowałem wtedy jako tako<sup>31</sup>.

Podobnie wyglądała sytuacja z książkami i innymi przedmiotami. W nocy poświęconej Jeżewu, a zamieszczonej w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego*, Gloger pisał: „Syn Jana Zygmunt zaczął w roku 1862 gromadzić tu bibliotekę, obrazy, pamiątki i wykopaliska. W roku 1863 związek zbiorów był zniszczony i prace zaczęto na nowo”<sup>32</sup>. Wszystko więc, co wiązało się ze stanem posiadania, nieruchomościami, rzeczami materialnymi – należało do sfery niepewności i w każdej chwili mogło ulec zatraceniu. Jakże to wymowne w przypadku właściciela majątku ziemskiego, gospodarza zatroskanego o stan folwarku, patrioty koncentrującego się na dobrobycie swych współobywateli. Dlatego tak bardzo liczył się właśnie język, a więc kod, w jaki udaje się wpisać symboliczną postać narodowej historii, w jakim funkcjonuje przeszłość upostaciowana na przykład w obrazach „starych typowych budowli” polskich czy – użyjmy zwrotu Glogera charakteryzującego serię wydawniczą „Biblioteczki Ludowej” – „całym obrazie własnej poezji”<sup>33</sup>. Co więcej: kod, w którym one żyją, nabierają dawnego blasku, stają się ponownie przydatne, użyteczne. Przemawianie tym kodem pozwala włączyć się w ponadczasowe uniwersum dawnej Lechii, która jako przedmiot jedynie fascynacji, ciekawości badawczej, jako coś zamkniętego bezwzględny ramami, otchłanią czasu, nie miałaby żadnego znaczenia i wartości dla nikogo, poza wąskim gronem „starożytników”, historyków, powieściopisarzy, czy po prostu miłośników narodowych dziejów<sup>34</sup>.

Nie mogło więc chodzić Glogerowi o inną formę „badania przeszłości”, niż właśnie „penetrowanie szeroko i niekiedy z tej racji dość powierzchownie”. A to dlatego, że nie o dogłębne zatracenie się w przeszłości mu chodziło, lecz o wzmocnienie „języka tradycji”, natężenie siły jego oddziaływania na całe polskie

<sup>29</sup> M. Karczewski, *Zygmunt Gloger i jego poszukiwania archeologiczne w Dolinie Biebrzy*, „Gryfita. Białostocki Magazyn Historyczny” 1995, nr 8, s. 7. Por. nekrolog Jana Glogera, napisany przez jego syna Zygmunta: „Gruntownie znając dzieje ojczyste, rozlewał światło w rozmowach towarzyskich, ocalał pamiątki krajowe, a zamiłowanie to przekazał synowi swemu, Zygmuntowi”; tenże, *Nekrologia. Jan Gloger*, „Kłosa” 1884, nr 1001, t. XXXIX, s. 168. Zob. II tom *Pism rozproszonych*, s. 764.

<sup>30</sup> Rękopis listu Z. Glogera do K.W. Wójcickiego w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Cyt. za: T. Komorowska, *Gloger. Opowieść biograficzna*, dz. cyt., s. 172.

<sup>31</sup> Cyt. za: J. Krzyżanowski, *Zygmunt Gloger i jego „Encyklopedia staropolska”*, [w:] Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. I, Warszawa 1978, s. 3.

<sup>32</sup> Z. Gloger, *Jeżewo*, [hasło w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski i W. Walewski, t. III, Warszawa 1982, s. 582.

<sup>33</sup> Z. Gloger, „Biblioteczka Ludowa”, „Biblioteka Warszawska” 1880, t. I, s. 336-338; II tom *Pism rozproszonych*, s. 175.

<sup>34</sup> Por. G. Kowalski, *XIX-wieczna „silva rerum”*. *Pisma Zygmunta Glogera*, [w:] I tom *Pism rozproszonych*, s. 47 (podkr. moje – Ł.Z.): „Łatwo pojąć, dlaczego autor *Obchodów weselnych* wołał zbierać, gromadzić, inwentaryzować cenny materiał do przyszłych badań, niż spędzać czas na jego skrupulatnej analizie. Trzeba przyznać, że udało mu się stworzyć zbiór przebogaty, na który składa się nie tylko kolekcja zabytków, ale, jak już mówiliśmy, teksty te zabytki opisujące i interpretujące ich dzieje. Gloger utrwalił ogromną część otaczającej go rzeczywistości w tekstach”.

XIX-wieczne społeczeństwo. Nie ma to nic wspólnego z dobrym czy złym „opaniem warsztatu badawczego”. Ale na pewno ma coś wspólnego z liczbą i tematyką tekstów, które Gloger stworzył, a które prezentuje III-tomowa edycja jego *Pism rozproszonych*.

W takim kontekście postrzegalbym również prośby Glogera o przekazywanie narodowych pamiątek w ręce specjalistów:

Ponieważ rozwój ludzkości trwa ciągle, każde więc pokolenie różni się jedno od drugiego, a cały poczet pokoleń tworzy szereg odmiennych do pewnego stopnia obrazów, których odzwierciedlenie należy do badaczy przeszłości. Każdy zaś ogół interesujący się postępem nauk ułatwia tym badaczom korzystanie ze źródeł, będących w posiadaniu osób prywatnych.

U nas podobnych pracowników mamy niewiele i ogół dosyć obojętny na zachowanie zabytków. [...] Nie każdy zajmować się może badaniem przeszłości; ale za to prawie każdemu zdarza się sposobność ocalenia jakiegoś dokumentu lub zabytku, nieznanego szczegółu, zapomnianej pieśni i tym podobnych<sup>35</sup>.

Historia apeli Glogera kierowanych do społeczeństwa polskiego o to, by wszelkie „dokumenty lub zabytki”, wykopaliska, artefakty przekazywano w ręce specjalistów (do grona których siebie także zaliczał), nabiera nieoczywistego sensu, gdy zapoznać się ze skutkami takich akcji. Oto na przykład w artykule *Wyprawa po starożytności* opisuje on sytuację związaną z zamieszczeniem przez siebie analogicznej prośby w jednej z polskich gazet i oczekiwaniem na rezultaty: „Gdy zegar wybił trzy kwadranse, przyznaję, że w dziedzinie archeologii i badań nad pierwotną kulturą kraju uczulem się jakoś osieroconym wśród mojego społeczeństwa i z kwaśną miną spojrziałem już w stronę kapelusza, parasola i rękawiczek, gdy oto na schodach dało się słyszeć ciężkie stąpanie”<sup>36</sup>. Lecz, jak się okazało, jedynym efektem – oprócz starań oszustów, którzy chcieli miłośnika starożytności polskich ograbić, oraz ubogiej wdowy, próbującej sprzedać mu bezwartościowe rzeczy po zmarłym mężu – było przybycie służącej w jednej z warszawskich rodzin kobiety, która przyniosła „garnuszki różnego kształtu, a najwięcej od śmietanki, kubki, imbryczki od kawy i inne jeszcze naczynia, a wszystkie bez uszu, dziobków, szczerbate i z dziurami”<sup>37</sup>.

Choć Gloger sytuacje takie opisywał z charakterystycznym dla siebie humorem i dozą ironii, w rzeczywistości sprawę traktował niezwykle poważnie. Stwierdzenie, że „w dziedzinie archeologii i badań nad pierwotną kulturą kraju” czuje się pisarz „osieroconym wśród społeczeństwa”, wskazuje jednoznacznie na zjawisko o szerszym podłożu. Owszem, „nie każdy zajmować się może badaniem przeszłości”, ale każdy, kto chciałby widzieć się członkiem polskiego społeczeństwa, przemawiać powinien jednym językiem, posługiwać tym samym kodem, wykazywać z rozumieniem. I to był realny problem, na którym należało się skoncentrować.

### *Wieża Babel*

„Kraj nasz pod względem oświaty ludowej przedstawia smutny obraz”<sup>38</sup>. Wśród tematów, na które podzielić można publikowane w trzech tomach *Pism rozproszonych* artykuły, jednym z najważniejszych i najczęściej wybrzmiewających jest troska o podniesienie poziomu oświaty wśród warstw chłopskich<sup>39</sup>. Była to zresztą kwestia istotniejsza, niż na przykład polepszenie statusu majątkowego, warunków bytowo-

---

<sup>35</sup> Z. Gloger, *List otwarty*, „Słowo” 1890, nr 115, s. 3.

<sup>36</sup> Z. Gloger, *Wyprawa po starożytności*, [w:] *Upominek: książka zbiorowa na cześć Elizy Orzeszkowej (1866–1891)*, Kraków–Petersburg 1893, s. 224.

<sup>37</sup> Tamże, s. 225.

<sup>38</sup> Z. Gloger, *Oświata ludu*, „Gazeta Rolnicza” 1888, nr 1, s. 1; cyt. za: tenże, *Pisma rozproszone*, t. II, s. 979.

<sup>39</sup> Zwraca na to uwagę i analizuje zjawisko Grzegorz Kowalski w tekście *O czym czytać na wsi? Refleksje lekturowe Zygmunta Glogera*, [w:] *Bibliotheca mundi. Studia bibliologiczne ofiarowane Janowi Leńczukowi*, red. J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016, s. 501. Por. M. Siedlecki, *Czytelnictwo, prasa, biblioteki we wczesnych pismach Glogera do 1876 roku*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, dz. cyt., s. 337–349.



placowych czy, ściśle się z tym wiążącego, stanu posiadania gruntów rolnych wśród polskich włościan<sup>40</sup>. Bez kluczowego czynnika – zdolności czytania i pisania – najbardziej nawet majątny gospodarz zbyt łatwo poddawał się manipulacjom, bywał bezwzględnie wykorzystywany i oszukiwany. A przypadków takiego „korzystania z okazji” w II połowie XIX wieku w polskim społeczeństwie nie brakowało. Warto dla zobrazowania problemu przywołać interesującą rozmowę Glogera z mieszkańcami jednej z podtykocińskich wsi, którą zapisał on w tekście pod jakże wymownym tytułem – *Za oceany*.

A do któregoż to kraju zamierzacie wędrować? – zapytałem.

Jeden z wieśniaków odrzekł: „do Hafryki”. Inny zaprzeczył, poprawiając go: „do Branzolji, proszę pana”. „Nie do Hafryki, ani do Branzolji, tylo do Agrypiny” – dodał trzeci.

Domyślając się, że miała to być Afryka, Brazylia i Argentyna, przekonałem się z dalszej rozmowy, iż: 1) żaden z tych ludzi nie wiedział, gdzie emigruje; 2) żaden nie miał pojęcia o odległości, położeniu jeograficznym i warunkach kraju, który pragnie obrać sobie za nową ojczyznę; 3) żaden nie był zmuszony przez nędzę do wychodźstwa, każdy bowiem miał zebranych kilkadziesiąt rubli na drogę; 4) wszyscy byli stanowczo zdeterminowani do wychodźstwa i bez żalu mówili o opuszczeniu na zawsze stron rodzinnych, a żaden nie chciał powiedzieć, kto go do tego namówił i w zamierzonej ucieczce miał przewodniczyć...<sup>41</sup>

W narracji Glogera traci na znaczeniu problem braku wśród włościan śladowego bodaj przejawu miłości i przywiązania do ojczyzny, i to pomimo faktu, że pod jej skrzydłami możliwa przecież była egzystencja na dobrym poziomie, w korzystnych, tzn. pozwalających na rozwój, warunkach („żaden nie był zmuszony przez nędzę do wychodźstwa”). Prawdziwy problem stanowił natomiast dotkliwy brak elementarnego wykształcenia. Historie ludzi, którzy dali się omamić nierealnym obietnicom łatwego życia, pojawiają się – szczególnie w tomie III *Pism rozproszonych* – wielokrotnie i zawsze posiadają wydźwięk negatywny:

Nasz emigrant nie dlatego zmyka z guberni płockiej, żeby nie było wcale warunków bytu, boć je znajdują napływający jednocześnie przybysze Niemcy, ale dlatego, że jego przedsiębiorczość jest niższego rzędu, właśnie pozbawiona wszelkiej energii i roztropności<sup>42</sup>.

W narracjach Glogera wszystkie tego typu „wychodźcze” historie wyglądają podobnie: emigranci nie zastają obiecanych im korzyści, tracą oszczędności, nie stać ich na powrót do kraju (znaczącą rolę odgrywa również wstyd z powodu porażki) i kończą w skrajnej nędzy oraz kompromitujących warunkach życiowych. Jaki jest tego wszystkiego powód? Powtórzmy: naiwność połączona z niewiedzą oraz brak „energii i roztropności”.

Z drugiej strony mamy – również wielokrotnie pojawiające się w publicystyce autora *Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej* – przykłady „nowego sposobu wyzyskiwania dobroczynności ziemian przez brukowych rycerzy przemysłu”, tzn. oszustw, jakich dokonują „przedsiębiorczy” mieszczaństwo, a które do złudzenia przypominają popularne współcześnie techniki manipulacji. Oto gospodarz wiejski otrzymuje pocztą list „rekomendowany z Warszawy”, zawierający rozpaczliwą prośbę o pomoc. Nadawcy listu („człowiek zmuszony do borykania się z nieubłaganym losem”) i jego rodzinie rzekomo grozi bankructwo i bezdomność. Tego typu oszustwo udaje się wykryć tylko światłym i sprytnym osobom: Gloger wnikliwie bada otrzymane pocztą materiały, dzięki czemu spostrzega, że kwoty na kwiecie z lombardu są podrabiane<sup>43</sup>.

<sup>40</sup> Choć to dla Glogera sprawa „wagi narodowej”. Tak pisał w tekście pt. *O niepojmowaniu obowiązków* („Niwa” 1891, nr 3, s. 42, podkr. moje – Ł.Z.): „Niemcy uważają za główny środek do podboju Słowiańszczyzny wykupywanie ziemi od Słowian. Już przed dwudziestu laty hrabia Otto Bismarck zachęcał kapitalistów i kupców berlińskich, aby kupując lasy w Królestwie Polskim, starali się nabywać takowe wraz z ziemią. Utworzenie w Prusach słynnej Komisji Kolonizacyjnej przez księcia po jego przyjeździe do większej potęgi, było tylko dalszym rozwinięciem programu hrabiego. Ziemia bowiem jest pierwszą materialną podstawą bytu każdego społeczeństwa. A my, co przeciwstawiliśmy wobec tych dążeń kupieckiego podboju?”.

<sup>41</sup> Z. Gloger, *Za oceany*, „Kurier Codzienny” 1890, nr 284, s. 1.

<sup>42</sup> Tamże.

<sup>43</sup> Historię tę opisał Gloger w dwóch, publikowanych w niniejszym tomie *Pism rozproszonych*, tekstach: *Z Łomżyńskiego* („Gazeta Warszawska” 1890, nr 164, s. 2-3) oraz *Zamach na prowincję* („Kurier Codzienny” 1890, nr 271, s. 1); ostatni z tekstów zaczyna się następująco: „Rzesza pomysłowych wyzyskiwaczy miejskich, eksploatująca dotąd prowincję po hotelach i na ulicy (gdzie łatwo poznaje ona ludzi, którzy oddychają na wsi powietrzem z pierwszej ręki, piją wodę ze zwykłych studni i rzadko jadają

Warto się nad tym zagadnieniem głębiej pochylić. Zwróćmy uwagę, że podczas dyskusji Glogera z włościanami pisarz musiał zgadywać, o co jego interlokutorom chodzi („domyslać się, że...”). Nie sposób sytuacji tej wyjaśnić dzielącą obie strony różnicą w wykształceniu czy statusie społecznym. Rzecz bowiem w tym, że język oraz kulturę, obyczaje i tradycje chłopów Gloger jako miłośnik podlaskiej etnografii i folklorystyki, a przede wszystkim jako osoba przez całe życie zamieszkała na wsi, z przyjemnością spędzająca czas wśród włościan, znał doskonale. Jednak ów język, którym posługiwali się spotkani chłopcy, przestał być tym samym, znanym od pokoleń, swojskim kodem, „czystym” przekaznikiem treści. Wszczepiła się w jego składnię obcość, dziwność, nienaturalność. Jak wirus w organizmie, zaczęła się rozprzestrzeniać, rozbijając prostotę, spójność komunikacyjną. Co gorsza, nie miało to nic wspólnego z naturalnym procesem ewolucji, historycznych przemian.

Zauważmy, że chłopcy – niczym w swoistej wieży Babel – nie potrafili zrozumieć również siebie nawzajem, licytują się o to, która nazwa jest lepsza, choć żadna z pojawiających się podczas rozmowy nie nie znaczy, nie posiada rzeczywistości swego desygnatu. Mowa tu bowiem o arkadii („Chmara ludzi z różnych wiosek wybiera się za morze, gdzie dostaną darmo ziemię, woły i pieniądze na gospodarę”<sup>44</sup>), miejscu mitycznym, którego nie sposób wskazać na mapie („żaden nie miał pojęcia o odległości, położeniu geograficznym i warunkach kraju, który pragnie obrać sobie za nową ojczyznę”<sup>45</sup>). Proszą więc o pomoc osobę, co do której mają pewność, że posiada wykształcenie. Gest ten, fakt zwrócenia się o radę, moglibyśmy uznać za wyraz symbolicznego łaknienia mądrości i oświecenia, gdyby nie efekt końcowy sytuacji:

Próbowałem przemówić do chłopskiego rozumu tych ludzi i użyłem całego szeregu najsilniejszych argumentów, ale wszystko okazało się grochem o ścianę. Dowiedziałem się tylko, iż takie same przestrogi, zaklęcia i perswazje słyszą od kilku tygodni z ambon w Tykocinie, Waniewie, Kobylinie itd.<sup>46</sup>

Doszło do zagubienia *sensu*, czyli do sytuacji, gdy obie strony konkretnej sytuacji komunikacyjnej zaczynają mówić (*prze-*mawiać) innymi językami. Z tą różnicą, że chłopcy posługują się mową „niczyją”, terminami, które nic – prócz wpływu na wyobraźnię – nie znaczą, stając się przez to... anonimowym zbiorowiskiem ludzi pozbawionych tożsamości i osobowości (zwróćmy uwagę, że Gloger celowo nie wymienił nazwy miejscowości, w której opisywana przez niego historia się wydarzyła). Tracą więc podmiotowość. Ich kod, podstawowy kanał komunikacji, nie posiada zakotwiczenia w empirycznej rzeczywistości, jest – mówiąc metaforycznie – kwitem bez pokrycia, czyli takim podrobionym rachunkiem, jaki Gloger otrzymał pocztą od „przedsiębiorczego mieszczanina”. Ujmując to jeszcze inaczej: „Agrypina” to nie, jak próbował ustalić pisarz, „Argentyna”, ponieważ te dwa terminy w żadnym aspekcie nie są tożsame. Włościanie łaknęli irracjonalizmu, nie było więc możliwości, by przyjęli to, co mógł zaoferować im gospodarz z Jezewa: otrzeźwiający realizm.

Gloger musi zgadywać, o co w zaistniałej sytuacji chodzi, a udaje się mu to – rzecz znamienita – nie dzięki gruntownej znajomości folklorystyki, obyciu w wiejskim środowisku Podlasia, lecz za sprawą... edukacji szkolnej, „książkowego” wykształcenia, które odebrał. Jakże groźny zatem dla ówczesnego włościanina stawał się fakt, z którego nie mógł on sobie zdać sprawy, że słowa, jakimi zaczął się posługiwać, a które z pewnością w tamtej podtykocińskiej miejscowości zyskały wówczas niezwykle popularność, tak naprawdę nic nie znaczyły. I prowadziły do zguby – obietnice, którymi zostały nasączone, w istocie okazywały się trucizną. Słowa „Hafryka”, „Branzolia”, „Agrypina” celowo poddane zostały stylizacji mitycznym, otrzymały formę przypominającą zwroty magiczne, bowiem zyskały demoniczny wręcz potencjał, by odebrać chłopom oszczędności ich życia, energię, osobowość; zdołały oczarować, oderwać ich od kulturo-

---

w restauracjach), wpadła obecnie na koncept zaatakowania wiejskich kieszeni za pośrednictwem listów rekomendowanych”. Warto by ten problem rozpatrzyć również w kontekście występującego u Glogera antagonizmu pomiędzy prowincją i miastem. Zob. J. Ławski, *Zygmunt Gloger: prowincja jako centrum świata*, „Bibliotekarz Podlaski” 2015, nr 2 (31), s. 25-39.

<sup>44</sup> Z. Gloger, *Za oceany*, dz. cyt., s. 1.

<sup>45</sup> Zob. U. Kowalczyk, „Mapografia” *Zygmunta Glogera. Kilka uwag o „Geografii historycznej ziem dawnej Polski*”, „Bibliotekarz Podlaski” 2017, nr 1 (34).

<sup>46</sup> Z. Gloger, *Za oceany*, dz. cyt., s. 1.

wej macierzy<sup>47</sup>. Pozornie niewinne słowa posiadały moc wpływu na rzeczywistość, podważenia wielowiekowych fundamentów kultury: „wszyscy [...] bez żalu mówili o opuszczeniu na zawsze stron rodzinnych”, a co najważniejsze: „żaden nie chciał powiedzieć, kto go do tego namówił...”. Anonimowość i tajemniczość to cechy dystynktywne przekazu mitycznego, w tym przypadku cała sytuacja wręcz osiąga znamiona opętania, formy fanatyzmu religijnego. Włóścianie przestali posługiwać się swoim językiem, a wraz z ojczystą mową odebrano im duszę i osobowość. Przerwany został w ten oto sposób kontakt pomiędzy warstwami polskiego narodu, czyli – analizując organicystyczną koncepcję społeczeństwa – powiedzieć można, że dwa nieodłączne elementy jednego organizmu uległy separacji; nastąpiła *amputacja*. Skutek tego mógł być tylko jeden.

### „Biblioteczka Ludowa”

I oto palącym problemem stała się rażąca kruchość fundamentów ludowej kultury, skoro byle nowinka, „błyskotka” językowa potrafiła narobić tyle szkody. Warto więc wrócić w naszych rozważaniach do wątku trwałości kultury. O ile problemowi nietrwałości rzeczy, materii, przedmiotów dawało się zaradzić, „przenosząc je na papier”, to znaczy w porządek symboliczny, o tyle kultura ludowa, która wszak w owym porządku od zawsze funkcjonowała, potrzebowała zupełnie innych sposobów ocalenia, innych czynności ratunkowych.

Dlatego jedną z najbardziej naglących potrzeb stawało się kształcenie społeczeństwa. Gloger doskonale zdawał sobie z tego sprawę: „Już łatwiej przekonać się – pisał w cytowanym już tekście *Oświata ludu* – o przybliżonej liczbie umiejących czytać, bo ci wszyscy modlą się w kościele »na książkach«. A takich jest w niektórych okolicach Królestwa połowa, w innych trzecia lub czwarta część ogólnej ludności wiejskiej. Prawdopodobnie zaś na dziesięć osób umiejących czytać najwyżej jedna jest piśmienna<sup>48</sup>. Istotę problemu daje się łatwo zrozumieć, ma nią być zbyt mała liczba szkół i nauczycieli. Skutkiem tego złowrogiego niedoboru „połowa dzieci naszych kmieci wyrasta i umiera nie poznawszy liter<sup>49</sup>. Jak dużą ranę w opinii Glogera osiągnęły „litory”, jakie w rzeczywistości posiadały dla niego znaczenie, skoro z takim żalem dyskutował o fenomenie społecznej ich nieznajomości?

Przyjęło się w europejskiej kulturze utożsamiać obie czynności: czytanie i pisanie. Analfabetyzm to nieumiejętność zarówno jednego, jak i drugiego. Gloger wyraźnie jednak je rozdziela i stawia drugoczącą diagnozę. Skoro wskazuje na nieumiejętność pisania jako najbardziej dotkliwą bolączkę nękającą społeczeństwo, daje tym do zrozumienia, że brakuje wybranym warstwom narzędzia nie tylko do czerpania mądrości, lecz przede wszystkim do dzielenia się nią<sup>50</sup>. Wskazuje Gloger-publicysta na brak debaty pu-

<sup>47</sup> Zjawiskiem aktywnego oddziaływania języka na rzeczywistość, jego performatywności zajęła się ostatnio nauka – wyrosła z korzenia antropologii kulturowej – zwana mediologią, zajmująca się badaniem szeroko pojętych przekazywanych treści. Por. rozważania Régis Debray’a w książce *Wprowadzenie do mediologii*, przeł. A. Kapciak, Warszawa 2010; dla kontekstu moich rozważań cenny jest szczególnie rozdział *Skuteczność symboliczna*: „Konwersja z teorii na praktykę, przejście od rubryki »Idée« do rozdziału wielka polityka, jest tajemniczą »alchemią«, którą można wytłumaczyć w kategoriach cybernetycznych *black box*. Na wejściu do tej skrzynki mamy: dyskursy, broszury, słowa, na wyjściu: kościoły, armie, państwa. Objasnienie tej czarnej skrzynki to analiza faktu przekazywania, czyli wytwarzania się reguł przekształcania jednego stanu w drugi. Ze stanu ulotnego, niejasnego i punktowego – słowa retrospektywnie przypisywane Jezusowi z Nazaretu przez ewangelistów pod koniec I wieku – do stanu namacalnej, demograficznie i kulturowo, wspólnoty miliarda chrześcijan na całej planecie” (tamże, s. 136). Zob. też: J. L. Austin, *Jak działać słowami*, [w:] tenże, *Mówienie i poznawanie. Rozprawy i wykłady filozoficzne*, przekł., wstęp i przypisy B. Chwedeńczuk, Warszawa 1993; R. Bauman, *Szuka słowa jako »performance«*, [w:] *Literatura ustna*, wybór tekstów, wstęp, kalendarium i bibliografia P. Czapliński, Gdańsk 2010, s. 202-232.

<sup>48</sup> Z. Gloger, *Oświata ludu*, dz. cyt., s. 979.

<sup>49</sup> Tamże.

<sup>50</sup> Warto w tym miejscu jako kontekst przywołać archaiczną już – wyrosła na podłożu krytyki marksistowskiej – tezę Henryka Syski: „Gloger [...] był przeświadczony, że lud będzie miał w niedalekiej przyszłości wielką do wypełnienia misję narodową. Jednocześnie bał się samodzielności ludu [...] Wyraźna ograniczoność poglądów podlaskiego hreczkosieja nie pozwalała Glogerowi zrozumieć istoty budzącego się pod koniec XIX wieku polskiego ruchu robotniczego”. Zob. tenże, *Zygmunt Gloger*, Warszawa 1963, s. 135. W moim przekonaniu starożytnik z Jezewa bał się nie samodzielności ludu, lecz jego (auto)izolacji, samowykluczenia z ogółu polskiego społeczeństwa. Zagrożenie widział w tym, że kierujący się niebezpiecznymi ideologiami, takimi jak utopijny socjalizm, podburzony lud zdecyduje się stanąć o sobie samym, zamiast współdecydować o kształcie i przyszłości całego polskiego

blicznej, przestrzeni wymiany myśli, platformy, w której wszystkie warstwy narodu miałyby równy głos, w której można by się od siebie nawzajem uczyć. Nie mówimy tu o wywieraniu wpływu, „uszcześliwianiu na siłę”, kolonializmie, kulturowej dominacji, lecz wzajemnej inspiracji, uzupełnianiu się. Ale do prowadzenia dialogu potrzebny jest wspólny język, zrozumiały dla wszystkich kod. Nie chodzi wyłącznie o komunikację, o nic porozumienia, lecz o stworzenie wspólnego zaplecza kulturowego, na gruncie którego można by w przyszłości zbudować jeden organizm społeczny. Nie jednolity, lecz złożony z różnych elementów, różnych części składowych, które są ze sobą jednak ściśle, wspólnym „krwioobiegim” połączone. Należałoby więc w kontekście analizowanego problemu mówić nie o analfabetyzmie, lecz o językowym – a przez to intelektualnym – paraliżu.

Gloger problem nie tylko diagnozował, ale również podsuwał lekarstwa. W moim przekonaniu jednym z najbardziej fascynujących jako zjawisko badawcze „lekarstw” na wymienione bolączki społeczne – i wciąż naukowo nierozpoznanym – była seria wydawnicza, której nadał miano „Biblioteczki Ludowej”. Nie na same jednak książki, które się w niej ukazały, chcę zwrócić uwagę, lecz na artykuły, jakie Gloger napisał i opublikował w XIX-wiecznej prasie, by to przedsięwzięcie wypromować. Cały projekt wpisuje się, rzecz jasna, w szeroki kontekst ogólnych tendencji prospołecznych i prooświatowych epoki<sup>51</sup>. Przede wszystkim uchodzi za wzorcową realizację idei pracy u podstaw i organicznych koncepcji rozwoju społeczeństwa polskiego. W tym aspekcie jest pisarz propagatorem nurtów myśli postępowej. Upowszechnianie wśród słabo wykształconej ludności wiejskiej wiedzy w postaci starannie wyselekcjonowanych treści, których nośnikiem (formą) były tanie i łatwo dostępne broszury, to działalność posiadająca w pełni zrozumiałe pobudki. Obrazowo mówiąc: jest to zapalenie kaganka oświaty przed wieśniaczą strzechą.

Biorąc jednak pod uwagę wyłącznie taką kliszę interpretacyjną idei powstania „Biblioteczki Ludowej”, łatwo zagubić głębszy sens przedsięwzięcia. Istotny staje się fakt, jakie treści dzięki Glogerowi pod strzechy trafiały. Były to pieśni, wiersze, porzekadła – słowem: te skrawki staropolskiej kultury, które pod wpływem gwałtownego rozwoju cywilizacyjnego i technologicznego w XIX wieku zamierały. Dostrzec w tym można nawiązanie do tradycji romantycznych w swej genezie dążeń do wzmacniania zbiorowej pamięci niepiśmiennych warstw społeczeństwa polskiego, czy szerzej: słowiańskiego. Kwestię kultury oralnej, fakt niepiśmienności warto tu szczególnie zaakcentować. Dzięki trosce o zachowanie tak kruchej – bo utrwalonej na jakże zawodnym nośniku, jakim jest ludzka pamięć – tradycji ludu zamieszkującego określone geograficznie terytorium realne może się okazać uleczenie najbardziej dotkliwych ułomności społeczno-gospodarczych. Możliwe stanie się umocnienie więzi łączącej lud z jego macierzą kulturową, czyli źródłem owej „przedsiębiorczej energii”, pozwalającej na odrodzenie się narodu, na jego rozpoznanie się w jestestwie swoim<sup>52</sup>. To pożyteczna i szlachetna idea, nawiązująca do etnograficznej i kolekcjonerskiej działalności takich tytanów polskiej kultury XIX wieku, jak Adam Czarnocki (1784–1825), Jan Czeczot (1796–1847), Ryszard Berwiński (1819–1879), Izidor Kopernicki (1825–1891) czy Oskar Kolberg (1814–1890).

Posiadającą dla Glogera niezwykle istotne znaczenie aktywnością było więc odczytywanie różnymi metodami fundamentu staropolskiej kultury. Czy raczej dołączenie do kręgu osób, którym na takiej rekonstrukcji i umocnieniu fundamentu zależy. Środkami prowadzącymi do tego celu miały się stać przede

---

społeczeństwa. Bał się Gloger – mówiąc po marksistowsku – „klasowego” egoizmu warstw chłopskich i proletariackich, lecz przeciw „klasowy” egoizm w równym stopniu dostrzegał i piętnował w polskiej szlachcie.

<sup>51</sup> Na temat złożonego stosunku Zygmunta Glogera do filozoficznych koncepcji pozytywizmu zob. wstęp A. Janickiej do II tomu *Pism rozproszonych*. Badaczka konstatuje m.in., że dla Glogera „[...] najżywszą tradycją filozoficzną pozostają nie Comte, Spencer i Smiles, nie Buckle czy z drugiej strony de Maistre, lecz myśliciele osobni: Karol Libelt, Józef Gołuchowski, Józef Kremer i Józef Supiński, którego *Myśl ogólna filozofii powszechnej* (Lwów 1860) łączy harmonijnie szacunek dla tradycji z racjonalnymi podejściami do zasad ekonomii, postępu cywilizacyjnego” (tamże, s. 28). Por. T. Sobieraj, *Przekroje pozytywizmu polskiego. W kręgu idei, metody i estetyki*, Poznań 2012; a także studia publikowane w tomie *Pozytywiści warszawscy. „Przegląd Tygodniowy” 1866–1876*, Seria I: *Studia, rewizje, konteksty*, red. A. Janicka, Białystok 2015; szczególnie: A. Kowalczykowa, *Młodzi pozytywni – przecieranie dróg ku polskiej przyszłości*; D.M. Osiński, *Deskrypcje Oświecenia. Pozytywiści wobec tradycji i kultury wieku rozumu. Przypadek „Przeglądu Tygodniowego”*; A.M. Pycka, *Adam Wiślicki – pozytywista z krwi i kości*; M. Jurkowska, *Pozytywistyczny „homo oeconomicus” Adama Wiślickiego (1867)*.

<sup>52</sup> Zob. M. Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*, oprac. i wstęp Z. Skibiński, Łódź 1985, s. 66. Por. J. Ławski, *Zygmunt Gloger i wiek XIX*, dz. cyt., s. 32.

wszystkim prace związane z gromadzeniem, opracowywaniem i udostępnianiem źródeł historycznych z dostarczaniem materiału do badań, analiz. Co warto podkreślić: tradycja/historia miała stanowić punkt wyjścia, a nie cel sam w sobie. Glogerowi zależało na stworzeniu warunków dla rozwoju kultury, co nie wydawało się możliwe w społeczeństwie skoncentrowanym wyłącznie na przeszłości i w niej upatrującym źródła szczęścia. Można i warto być idealistą – zdawał się przekonywać Gloger – o ile ideały stanowią drogowskaz i odskocznię, a nie centrum aktywności twórczej.

Gromadzony i udostępniany materiał to badawcza podstawa. Formułowane dzięki tej podstawie tezy, prawdy, miały wyznaczyć wspólnocie kierunek rozwoju, szlak, który nie pozwalałaby na zbłądzenie pod „cudze strzechy”, a umożliwił zachowanie tożsamości, narodowego Ja. Aby to było możliwe, przedstawiciele wszystkich warstw społecznych i profesji powinni doskonale poznać swoją rolę. Powszechna wrażliwość humanistyczna zmobilizuje wszystkich do gromadzenia wytworów kultury dawnej, ich konserwacji, udostępnienia w postaci źródeł do badania i upowszechnienia wyników tych badań. Stanowiłoby to swoisty układ zamknięty, niczym krwioobieg w organizmie, bowiem efekty działalności badaczy-profesjonalistów miałyby przełożenie na aktywność popularyzatorów nauki, w tym twórców literatury i publicystów. Ci z kolei na odbiorców-czytelników. W dobie powszechnej możliwości wypowiedzi na forum publicznym, tzn. na łamach ogólnopolskich periodyków, jedynie umiejętność czytania i pisanie stanowiła komunikacyjny problem<sup>53</sup>.

Według pomysłodawcy „Biblioteczki Ludowej”, co wyjaśniał w artykule opublikowanym w „Bibliotece Warszawskiej” w 1880 roku, miała ona być „streszczeniem i wyborem całej rodzimej literatury naszego ludu [...] przeznaczonym dla klas wszystkich, przede wszystkim jednak dla ludu”<sup>54</sup>. Materiał do antologii czerpał Gloger z dzieł Kazimierza Władysława Wójcickiego, Żegoty Pauliego, Wacława z Oleska (Wacława Zaleskiego), Józefa Adama Konopki, a także jego prywatnych notatek spisywanych wśród ludu. Publikowane teksty nazwał pisarz „klejnotami poezji starodawnej gminnej”, a zasadność tej publikacji określił w następujących słowach: „[...] cóż może być więcej narodowego nad płody umysłu, który nie wykarmił się na wzorach zagranicznych. Są tam wybrane spośród niezliczonych wariantów te pieśni, w których zachował się najczystszy język, najcharakterystyczniejsze pojęcia i najpoetyczniejsze wyrażenia”<sup>55</sup>. Swoją myśl tłumaczył następująco:

Dla oświeceniowych ma służyć jako podręcznik do poznania starej, rodzimej literatury. Lud ma ujrzeć w niej sumę rodzimych estetycznych pojęć, czysty język starodawny i cały obraz własnej poezji, idącej dziś u mędrków przebierających się w paltoty i tużurki w pogardę i zapomnienie<sup>56</sup>.

Temat „Biblioteczki Ludowej” jest o tyle ciekawy, że kwestii bibliotek poświęcił Gloger w swej publicystyce właściwie niewiele miejsca. Choć wiemy, że prywatną kolekcję miał imponującą. Przypomnijmy informację ze *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*:

Syn Jana Zygmunt zaczął w roku 1862 gromadzić tu bibliotekę, obrazy, pamiątki i wykopaliska. W roku 1863 zawiązek zbiorów był zniszczony i prace zaczęto na nowo. W roku 1881 biblioteka jeżewska liczyła druków przeszło 10 000<sup>57</sup>.

<sup>53</sup> Zob. E. Ihnatowicz, *Literatura polska drugiej połowy XIX wieku (1864–1914)*, Warszawa 2000, s. 21: „Popowstaniowy rozwój prasy, dynamiczny jak nigdy dotąd, miał wyraźny wpływ i na przebieg dyskusji literackich, i na kształtowanie opinii krytycznoliterackich, i na obieg samej literatury pięknej. Dyskusje te toczyły się głównie w tygodnikach, mogły więc przebiegać szybko mając zasięg międzyczaporowy. [...] Czytelnicy bywali też współpracownikami pisma – pełnili rolę doraźnych korespondentów, nadsyłali swoje utwory. [...] W prepozytywistycznej i pozytywistycznej, a więc organicznej koncepcji prasy, sieć centralnej i prowincjonalnej prasy była podobna do krwioobiegu, roznoszącego po organizmie polskiej zbiorowości nie tylko informacje, ale i narodową kulturę”. Por. A. Janicka, *Tradycja i zmiana. Literackie modele dziewiętnastowieczności: pozytywizm i „obrzeża”*, Białystok 2015, tu rozdział: *Zygmunt Gloger i tradycje*, s. 259-309.

<sup>54</sup> Z. Gloger, „Biblioteczka Ludowa”, „Biblioteka Warszawska” 1880, t. I, s. 336-338; II tom *Pism rozproszonych*, s. 175.

<sup>55</sup> Tamże.

<sup>56</sup> Tamże.

<sup>57</sup> Tenże, *Jeżewo*, [hasło w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, dz. cyt., s. 582.

Gromadzenie książek przez gospodarza, który, choć zaradny, nie był jednak szczególnie majątny, musiało sprawiać trudności. Wiemy, że jego księgozbiór poszerzał się najczęściej w wyniku przejęć zbiorów bibliotek, między innymi parafialnej z niedalekiej wsi Waniewo, biblioteki zakonu misjonarzy, sprowadzonych do Tykocina przez Jana Klemensa Branickiego, księgozbioru po Cezarym Biernackim (1827–1896), przyjacielu Glogera, bibliofilu, historyku; czy książek ze szkoły parafialnej w Tykocinie<sup>58</sup>. Pod hasłem *Biblioteki w Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej* w miejscu, w którym pisze jej autor o bajońskich sumach, które trzeba było łożyć w XV i XVI wieku, by sprowadzić do kraju pierwsze druki, zamieszczona została etymologia pojęcia *inkunabuł*. Wywodzi się ono od wyrazu łacińskiego *cunabula* – kołobka. Uwaga ta zestawiona zostaje z informacją o „niezwykłej ofiarności i obywatelskim poczuciu we wspieraniu nauki ówczesnych ludzi możliwych”<sup>59</sup>. To jednoznaczny przekaz o książkach i druku jako źródle polskiej kultury i oświaty; dopowiedzmy więc: to informacja, że druk jest synonimem kultury. Tezę tę potwierdza Gloger w dalszej części artykułu:

Wojny szwedzkie, tatarskie, kozackie i inne przez kilka lat w połowie XVII wieku trwające, przez obrocenie w perzynę wielu miast, zamków, klasztorów i dworów, a z nimi bibliotek i drukarni, przez rozpędzenie szkół i zubożenie całej Rzeczypospolitej, przyczyniły się bardzo do upadku nauk w Polsce. [...] Żaden kraj w Europie nie doznał pod tym względem nigdy tylu zniszczeń i rabunków, co Rzplita<sup>60</sup>.

Wróćmy do idei powstania „Biblioteczki Ludowej”. Warto przede wszystkim zapytać o jej nazwę: dlaczego *biblioteczka*? Nie sposób mówić przecież o – tak dla Glogera charakterystycznej – skromności jako bezpośredniej przyczynie, skoro najistotniejsza miała tu być nie kwestia autora-wydawcy, lecz przeznaczenia książek. Cel ich powstania był szlachetny, zamysł szeroko zakrojony. Co więcej, do pracy nad nią – podobnie jak później nad *Encyklopedią staropolską* – starożytnik chciał włączyć współpracowników, swą ideą zarazić innych. Na decyzji odnośnie takiej formuły tytułu zaważył z pewnością fakt, że miały to być przede wszystkim podręczniki, a więc tanie, broszurowe wydawnictwa. I jako kolekcja stanowiły – w odróżnieniu od drogocennych i trudno dostępnych starodruków i inkunabułów – wartość niewielką (poza symboliczną, edukacyjną i kulturalną). Ale zdaje się, że chodziło też o coś jeszcze innego.

W 1879 roku dzieli się Gloger na łamach „Gazety Warszawskiej” następującymi refleksjami:

Lud nie spotykał się jeszcze nigdy z drukowanymi płodami własnego geniuszu, a mając spaczony pojęcie o cywilizacji, począł lekceważyć to, co płynie z jego krwi i kości słowiańskiej, co natchnęło tylu poetów, co wobec literatury pisanej jest jak leśna krynica i kwiat rodzinnej niwy, wobec wodotrysków i wirydarzy miejskich<sup>61</sup>.

W ten sposób pisarz definiował podstawową słabość, jaką dostrzegł wśród współczesnych mu warstw chłopskich społeczeństwa. Problemem nie były warunki materialne włościan, brak wykształcenia, nieumiejętność czytania i pisania. Prawdziwą istotą problemu było to, że lud zaczął lekceważyć swoje korzenie, swoją tożsamość. Źródło kulturowej (rzekomej) niższości widział w przywiązaniu do tradycji, a wyjściem z tej sytuacji miało być przyswajanie wszystkiego, co obce, zagraniczne.

Zastanawiająca jest nieostryść i oszczędność w wypowiedziach Glogera, gdy chodzi o sprecyzowanie grupy odbiorców „Biblioteczki Ludowej”. Do kogo była właściwie kierowana?

Już sam tytuł „Biblioteczki Ludowej” i cena nader przystępna, a druk duży, okazuje, że wydawnictwo ma przede wszystkim cel popularny, a jako najlepszy dla prostaczków i domowej czeladzi służyć może

<sup>58</sup> Rozważania poświęcił temu zagadnieniu A. Lechowski w szkicu *Księgozbiór Zygmunta Glogera*, [w:] *Spotkania z Glogerem. Studia i materiały z łomżyńskich sesji i konkursów Glogerowskich 1985–1995*, wybór i oprac. A. Dobroński i B. Gołębiowski, Łomża 1995. Badacz pisze następująco (tamże, s. 88): „W 1911 roku w zbiorze Z. Glogera znajdowało się 8 inkunabułów, 85 książek z XVI w., 245 z XVII w., 1087 z XVIII w.; łącznie 1425 starodruków. Pośród 5809 tytułów 4353 to wydawnictwa polskie, a 1456 pochodzi z oficyn zagranicznych”.

<sup>59</sup> Z. Gloger, *Biblioteki*, [hasło w:] tenże, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. I, dz. cyt., s. 161.

<sup>60</sup> Tamże, s. 162.

<sup>61</sup> Z. Gloger, „Biblioteczka Ludowa”, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 70, s. 2; II tom *Pism rozproszonych*, s. 395.

i powinno [za] podarek, który zawsze mile przyjęty będzie. Dziś właśnie, gdy chodzi o uczciwe zasłonięcie ludu przed paczącymi się pojęciami o moralności, prawie własności i legalnych stosunkach społecznych, „Biblioteczka Ludowa” jako nawracająca umysł ku pojęciom estetycznym, czystej uczciwości serca, poezji ginącej, uczuciowości tradycyjnej, miłości Boga i ludzi, spełnić może pośrednio ważne zadanie obywatelskie. „Biblioteczka” ma nawet poniekąd naukowe znaczenie dla etnografii słowiańskiej, ponieważ pan Gloger, jak to dostrzegliśmy, pomieścił w niej pewną część piosnek, które sam z ust ludu lub tak zwanych starych tekstów zaczerpnął, nigdzie dotąd niedrukowanych<sup>62</sup>.

„Biblioteczka Ludowa” zbiera więc i upowszechnia wszystko to, co lud przechowywał dotąd jedynie w formie oralnej. Rola etnografa i historyka w tym projekcie jest przejrzysta: kieruje nim potrzeba uchronienia folkloru (określanego wówczas często mianem „kultury duchowej”) przed ostateczną zagładą. Ten obszar działalności autora *Obchodów weselnych* szczegółowo analizowała już Teresa Brzozowska-Komorowska<sup>63</sup>. Jednak sama idea serii wydawniczej to zdecydowanie coś więcej niż tylko działalność zbieracza, kolekcjonera, etnografa i historyka.

Zwróćmy uwagę, iż jednej i tej samej działalności – wydaniu szeregu tomów antologii „literatury ludu” – nadał pisarz kilka różnych celów. I trzeba je zdecydowanie rozróżnić. „Literatura ludu” nie jest tym samym co „literatura dla ludu”. Choć wciąż mówimy o tej samej serii wydawniczej. W pełni zrozumiałe są takie aspekty jego aktywności, jak działalność etnograficzna i kolekcjonerska, zachowanie wytworów staropolskiej ludowej kultury – to po pierwsze. Po drugie: stworzenie, opracowanie i udostępnienie źródeł do badań etnograficzno-historycznych. Po trzecie: doskonała, pożyteczna lektura, podręcznik do poznania starej, rodzimej literatury z przeznaczeniem dla „klas oświeceniowych” społeczeństwa polskiego. Jednak wydaje się, że nad uzasadnieniem przeznaczenia tej antologii odbiorcy najslabiej wykształconemu – trzeba się dokładniej zastanowić.

### *Literatura w żywym słowie*

„Lud ma ujrzeć w niej sumę rodzimych estetycznych pojęć, czysty język starodawny i cały obraz własnej poezji”<sup>64</sup>. Można by spróbować wyjaśnić istotę tej idei w kontekście literatury parenetycznej. Ale w ramach tego typu twórczości powstają głównie koncepcje oparte w jakimś stopniu na abstrakcji, a niekoniecznie na bezpośrednim doświadczeniu. Mam na myśli to, że pareneza związana była z tworzeniem idealnych postaci, abstrakcyjnych wzorców osobowych o ścisłym usytuowaniu społecznym. Tutaj słowo miało oddziaływać na rzeczywistość. W przypadku książek wchodzących w skład „Biblioteczki Ludowej” w zamyśle ich pomysłodawcy miały one oddziaływać inaczej, być swoistym lustrem: „Lud ma ujrzeć w niej...” – tu dopowiedzmy: siebie samego, wytwory własnej kultury. Czyli – próbując ująć to schematycznie – rzeczywistość („żywa” tradycja ludowa) była przekuwana w tekst, w słowo pisane, by następnie ponownie móc zostać zaszczerpioną w określonym aspekcie życia społecznego. Idealizm Glogera – choć zabrzmiał to paradoksalnie – szedł w parze z pragmatyzmem, daleki więc był od „radosnej” utopijności, wypływającej z wybujałej fantazji. Pisarz nie wychodził od „czystej” idei, nie wymyślał niczego, by to następnie zaszczerpić w empirii, we własnym życiu i otoczeniu<sup>65</sup>. Droga ta nie mogła przebiegać od abstraktu do konkretnego, lecz

<sup>62</sup> Tenże, „Biblioteczka Ludowa”, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 218, s. 1-2; II tom *Pism rozproszonych*, s. 430–431.

<sup>63</sup> T. Brzozowska-Komorowska, *Zygmunt Gloger i popularyzacja folkloru*, [w:] *Dzieje folklorystyki polskiej*, Warszawa 1982. Zob. też rozdział *W trosce o oświatę i sądownictwo wiejskie*, [w:] tenże, *Gloger. Opowieść biograficzna*, dz. cyt., s. 170–182.

<sup>64</sup> Z. Gloger, „Biblioteczka Ludowa”, „Biblioteka Warszawska” 1880, t. I, s. 336–338; II tom *Pism rozproszonych*, s. 175.

<sup>65</sup> Zob. rozważania A. Janickiej (*Zygmunt Gloger wobec teorii...*, dz. cyt., s. 25): „Jednocześnie jednak teoretyczne nauki rodem z Warszawy konfrontuje [Gloger – Ł.Z.] z realiami prowincji, korygując teoretyczne mrzonki warszawskich pozytywistów. W owym wymiarze jest realistą, pragmatykiem. Gloger pozostaje odporny na wszelkie próby zaszczerpienia mu filozoficznych nowinek, które podcinałyby jego zakorzenienie w tradycji. Nie zostanie agnostykiem, ideologiem, ewolucjonistą, materialistą, rewolucjonistą itp. Zbyt silne jest tu ciężenie tradycji rodzinnej, oddziaływanie wzoru osobistego rodziców i dziadów. W tym znaczeniu jest Gloger wprost filozoficznym antypozytywistą”. I w innym miejscu (s. 29): „[Gloger] bardzo rzadko pisze o postępie, pozytywizmie, pracy organizacyjnej, utopii, programach. Nie lubi abstrakcji, nie jest teoretykiem. Potrafi w detalach uchwycić każde rzeczy-

w kierunku przeciwnym<sup>66</sup>. Każdy produkt pracy myśli, każdy pomysł musiał mieć umocowanie w rzeczywistości. Pierwszym krokiem musiało być dostrzeżenie w najbliższym otoczeniu i zdefiniowanie (nazwanie, opisanie, zrozumienie) problemu społecznego.

Książki to nośnik wiedzy. Likwidacja bibliotek była synonimem upadku kultury. Ale z elementarną edukacją sprawa się komplikuje. „Lud – pisze Gloger – nie spotkał się jeszcze nigdy z drukowanymi płodami własnego geniuszu”. W galaktyce Gutenberga (by posłużyć się pojęciem Marshalla McLuhana<sup>67</sup>), szczególnie w przypadku osób niewykształconych lub słabo wykształconych, słowo drukowane posiadało moc dokumentu:

Pismo stworzyło – przekonuje Walter Jackson Ong – to, co nazywano językiem „uwolnionym-od-kontekstu” lub dyskursem „autonomicznym”, dyskursem, którego nie można kwestionować lub poddać bezpośredniemu sprawdzeniu, tak jak można sprawdzić mowę oralną, ponieważ dyskurs pisany został oderwany od autora. Kultury oralne znają swoisty dyskurs autonomiczny w postaci utwalonych formuł rytualnych i w postaci wypowiedzi prorockich czy proroctw, gdzie mówiącego uznaje się jedynie za kanał przekazu, a nie za jego źródło. Wyrocznia delficka nie była odpowiedzialna za swoje przepowiednie, ponieważ uchodziły one za głos boga. Pismo, a zwłaszcza druk, mają niektóre jakości proroctwa. Książka, podobnie jak wyrocznia lub prorok, przekazuje wypowiedź jakiegoś źródła, tego, kto rzeczywiście „rzekł” lub ją napisał. [...] To jeden z powodów, że w potocznym języku wyrażenie „Księgi mówią” jest równoznaczne z „to prawda”<sup>68</sup>.

To, jak się zdaje, stanowi właściwą „iskrę zapalającą”, główny impuls powstania „Biblioteczki Ludowej” w kontekście jej przeznaczenia dla niepiśmiennych (przypominam, że dla Glogera osoba niepiśmienna to taka, która nie potrafi pisać, lecz może posiadać umiejętność czytania) warstw społeczeństwa polskiego. Nauka czytania, zachęta do poznawania historii, rezerwuar pożytecznych wzorców osobowych dobrego gospodarza czy zaradnej żony, *podpora* pamięci, czy – inaczej – narzędzie do „przypominania” sobie treści z przeszłości (pieśni, wierszy, opowiadań) – to cele wtórne. Oczywiście, gdy mówimy o podstawowej idei, „kamieniu węgielnym” projektu wydawniczego „Biblioteczki Ludowej”. Gloger-bibliofil, kolekcjoner starych manuskryptów, rękopiśmiennych listów czy pamiętników znał prawdziwą wagę słowa drukowanego. Potrafiło ono utrwalic, uniezależnić od zmienności warunków historycznych i udostępnić określoną treść szerszym kręgom odbiorców. Nie chodziło nawet o liczbę egzemplarzy, lecz o sam fakt ukazania się dzieła w druku. To prawda, którą „oświecenijsze klasy” społeczeństwa europejskiego poznały już od średniowiecza. Nastał czas, by w „galaktykę Gutenberga” wprowadzić również lud. Jak zauważa Gloger:

---

wiste zjawisko, będąc jak najdalszym od teoretyzowania. W jego słowniku kategorii kluczowych prymarną rolę pełnią kategorie: cywilizacji, gospodarowania, pracy, tradycji”.

<sup>66</sup> Por. J. Ławski, *Zygmunt Gloger i wiek XIX*, dz. cyt., s. 26: „Jeśli [Gloger – Ł.Z.] chłoscze warszawskich pozytywistów, to za ich pasywne podejście, niewcielanie w życie słusznych idei, lecz także obce mu są idee materialistyczne, darwinizm, emancypacja kobiet jako hasło ideologiczne, a nie społeczna praktyka”.

<sup>67</sup> Zob. M. McLuhan, *Galaktyka Gutenberga*, [w:] tenże, *Wybór tekstów*, red. E. McLuhan, F. Zingrone, przeł. E. Różalska, J.M. Stokłosa, Warszawa 2001; warto w kontekście moich rozważań przytoczyć za McLuhanem wypowiedź Harry’ego Levina, stanowiąca fragment jego przedmowy do książki A.B. Lorda, *The Singer of Tales*: „Termin »literatura«, który sugeruje używanie liter, zakłada, że werbalne dzieła wyobraźni są przekazywane za pomocą czytania i pisania. Wyrażenie »literatura ustna« jest wyraźnie sprzeczne. Jednak żyjemy w czasach, kiedy umiejętność czytania i pisania do tego stopnia zmalała, że z trudem można się do niej odwoływać jako do kryterium estetycznego. Słowo, mówione lub śpiewane, razem z wizerunkiem mówcy lub śpiewaka, odzyskuje tymczasem swoje miejsce dzięki inżynierii elektrycznej. Kultura oparta na książce drukowanej, panująca od renesansu aż do czasów współczesnych, zostawiła nam w spadku – wraz z całym swoim bezcennym bogactwem – snobizmy, które powinny być odrzucone. Powinniśmy spojrzeć na tradycję świeżym okiem, traktując ją nie jak apatyczną akceptację skamieniałych tematów i konwencji, lecz jak na organiczny nawyk odtwarzania tego, co otrzymujemy w spadku i tego, co przekazujemy”; M. McLuhan, *Galaktyka Gutenberga*, dz. cyt., s. 137. Na temat człowieka, który w XX wieku zrewolucjonizował badania nad kulturą oralną (przede wszystkim nad dziełami Homera, tworząc teorię zwaną „teorią kompozycji oralnej” lub „teorią oralno-formuliczną”), Milmana Parry’ego (1902–1935) oraz jego ucznia Alberta B. Lorda (1912 – 1991) zob. P. Czaplinski, *Słowo i Głos*, [w:] *Literatura ustna*, dz. cyt., s. 5–34.

<sup>68</sup> W.J. Ong, *Oralność i piśmienność. Słowo poddane technologii*, przekł., wstęp i red. J. Japola, Warszawa 2011, s. 131–132.



[...] pisano dla ludu piękne powiastki, piosenki i wiersze, ale nikomu nie przyszło na myśl, żeby z odziedziczonej po pradziadach przez lud literatury w żywym słowie, literatury rdzennie polskiej i arcy-słowiańskiej, wybrać wszystko, co piękne, etyczne i moralne, i wybór taki w szacie drukowanej przekazać młodemu pokoleniom<sup>69</sup>.

Mowa zatem o oddzielnej gałęzi literatury, literatury (dla) ludu. Ale nie mamy tu do czynienia z czymś na wzór opanowania języka obcego, lecz ze zderzeniem dwóch zupełnie odmiennych światów: kultury oralnej i kultury pisanej. Przymus „przenoszenia na papier” zamierających treści, ich udostępnianie, posługiwanie się nimi jako materiałem edukacyjnym to aktywność – tak ją nazwijmy – „wyższego rzędu”, „kolejnego szczebla” na drabinie rozwoju społeczeństw europejskich (mówiąc oczywiście o kontekście rozwoju nowożytnej i współczesnej cywilizacji Zachodu). Tak oto istotną z punktu widzenia niniejszych rozważań różnicę pomiędzy „tradycją ustną” a „literaturą ustną” wyjaśnia Przemysław Czapliński:

Przez tradycję ustną rozumieć należy wysoce złożoną społeczno-językową instytucję odpowiedzialną za podtrzymywanie ciągłości kultury, instytucję, której istotą jest nieprzerwany proces komponowania, natomiast oksymoroniczne określenie literatura ustna odsyła do tych przejawów tradycji ustnej, które zostały utrwalone na piśmie i tym samym przeniesione do innego – obcego sobie – medium<sup>70</sup>.

Gloger, który deklarował, że „obcował z ludem wiele i poznał go do głębi”<sup>71</sup>, wiedział, że dla niepiśmiennych lub słabo piśmiennych ludzi słowo drukowane zawsze będzie „obcym medium”, nienaturalnym kontekstem. Czyli niejako „dodatkiem do życia”, nie, jak u przedstawicieli warstw wykształconych, *podporą* umysłu, „szkiełkiem i okiem”, narzędziem codziennego funkcjonowania. „Dodatek” ten może mieć różną formę – edukacyjną, parenetyczną, rozrywkową (jak w przypadku literatury jarmarcznej), ale zawsze książka będzie symbolem „tej drugiej strony”, innego (niekoniernie wrogiego), nieswojskiego świata. Tym bardziej więc dotyczy to sztuki pisania. Jeśli uznamy świat druku za „nie swój”, stracimy sens podejmowania wysiłku przelewania słów na papier. Pojawia się sytuacja analogiczna do tej, gdy wystarcza jedynie bierna znajomość języka obcego: rozumiemy sens wypowiedzianych treści (postawa bierna), ale nie mamy potrzeby komunikowania się, wypowiedziania (postawa aktywna) czegokolwiek w tym, nienaturalnym dla nas, języku, nawiązywania za jego pośrednictwem kontaktu.

Jak w tym świetle prezentuje się fakt, nad którym my – dzieci galaktyki Gutenberga – łatwo przechodzimy do porządku dziennego, uznając za oczywistość, fakt zanurzenia jednej kultury w drugiej? Jednego paradygmatu w drugim? Postawienie obok siebie kilku książek: Biblii, podręcznika do uprawy roli i sadownictwa, ale też dzieł należących do narodowej literatury (choćby *Pana Tadeusza*) obok nowo wydanej książki (lub serii książek), zawierającej bajki, pieśni i wiersze, którymi niepiśmienni, niewykształceni rodzice, dziadkowie posługiwali się na co dzień, przy żniwach czy innych pracach rolno-gospodarskich, musiało na przedstawicieli kultury oralnej, osobie niepiśmiennej, robić silne wrażenie. Musiało być wstrząsem, prawdziwą światopoglądową, egzystencjalną rewolucją. Uwiecznienie fragmentu – jak ją Gloger określił – „literatury w żywym słowie” na nośniku materialnym, na papierze w postaci książki, stanowi klucz otwierający oba zamki, do świata Gutenberga i do świata kultury oralnej.

Czytając liczne uzasadnienia idei powstania „Biblioteczki Ludowej”, łatwo ulec pewnemu złudzeniu. Pisał to Gloger do ludzi własnego pokroju – wykształconych, czytanych. Za pośrednictwem prasy przemawiał na publicznym forum, ale było to forum składające się głównie z przedstawicieli „galaktyki Gutenberga”. Zatem ludzi, dla których świat oralnej kultury ludu zamieszkującego tereny dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego mógł być równie egzotyczny, co świat Indian w Ameryce Północnej. Mówił Gloger

<sup>69</sup> Z. Gloger, *Wydawnictwo ludowe*, „Gazeta Warszawska” 1886, nr 187, s. 1; II tom *Pism rozproszonych*, s. 560. Na temat relacji zachodzących pomiędzy komunikacją za pomocą pisma oraz za pomocą słów zob. E. Havelock, *Muza uczy się pisać. Rozważania o oralności i piśmienności w kulturze Zachodu*, przekł. i wstęp P. Majewski, Warszawa 2006.

<sup>70</sup> P. Czapliński, *Słowo i Głos*, dz. cyt., s. 9. Por. w tej antologii tekstów rozważania Roberta Kelloga w artykule pt. *Literatura ustna* (s. 57–74), gdzie zastanawia się on nad istotą literatury i różnicami, jakie zachodzą pomiędzy przekazem „w żywym słowie” a treścią zapisaną.

<sup>71</sup> Z. Gloger, „Biblioteczka Ludowa”, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 70, s. 2; II tom *Pism rozproszonych*, s. 395.

o „literaturze w żywym słowie”, ponieważ *ludziom słowa drukowanego* (pamiętajmy, że czasy Glogera to błyskawiczny rozwój prasy) inaczej nie dałoby się wytłumaczyć, w czym rzecz. Wielokrotnie pisarz podkreśla swoją intencję, powód podjęcia aktywności wydawniczej: „Kto chciał zapoznać się z literaturą ludu, musiał sięgać do dzieł etnograficznych”. Ale kto w rzeczywistości do tych dzieł sięgał? Komu były one dedykowane i dla kogo przeznaczone? Przecież Gloger sam tak oto ten „wydawniczy” problem komentuje: „[...] lecz te [dzieła etnograficzne – Ł.Z.] w ogólności są albo wyczerpane w handlu, albo drogie, w każdym zaś razie [...] nie podają wyboru, ale materiał ogromny wariantów i rzeczy w znacznej części nieposiadających estetycznej wartości”<sup>72</sup>.

A jakie zadanie ma spełnić „Biblioteczka Ludowa” w życiu ludu, czyli zbiorowiska osób, które słabo lub w ogólnie nie czytają? Owszem, można powiedzieć, że celem jej pomysłodawcy było „[...] kolportowanie wśród mieszkańców wsi wydawnictw wyrosłych z ich kulturowej gleby, przedłożenie im w formie drukowanej tekstów dotychczas funkcjonujących wyłącznie w obiegu oralnym, by w ten sposób nauczać lud, jak należy być ludem, zapewniając zarazem trwałość przekazu”<sup>73</sup>, potrzeba tu jednak pewnych dopowiedzeń. Kultura oralna nie jest tożsama z kulturą słowa pisanego<sup>74</sup>. To oczywistość, którą warto wyartykułować. Otóż nie różni ich wyłącznie forma przekazu, nośnik treści. W rzeczywistości są to dwa całkowicie odmienne uniwersa, dla których istniała jednak możliwość współegzystencji. A właściwie w przypadku kultury ludowej – wraz z nią narodowej tożsamości Polaków<sup>75</sup> – należy mówić nie tyle o „możliwości”, ile raczej konieczności współegzystencji<sup>76</sup>. Pisał o tym Zygmunt Gloger, przedstawiciel „galaktyki Gutenberga”, który doskonale poznał – i bezgranicznie pokochał – również kulturowe uniwersum „słowa mówionego”. Co więcej: pisał to ziemianin, który jako przedstawiciel warstwy nobilitowanej społeczeństwa polskiego, wykształconej, odczytanej doskonale znał i rozumiał rzeczywistość, w której funkcjonowali ludzie stojący u podstaw drabiny społecznej. I wreszcie: pisał to entuzjasta, który jako historyk i „starożytnik” doskonale rozumiał aktualne potrzeby społeczeństwa II połowy XIX i początków XX wieku.

Faktem jest, że „Biblioteczka Ludowa” miała służyć wszystkim czytelnikom, bez względu na wykształcenie czy stan społeczny. Ale dla osób, którym była w pierwszej kolejności poświęcona, stanowiła autentyczną szansę na ocalenie. Pojawiła się oto możliwość, by nie tyle wyrwać je z jednej rzeczywistości i siłą wrzucić w inną, ile sprawić, by obie te rzeczywistości, by obie te *galaktyki* zaczęły się wzajemnie oświetlać, komunikować, przyglądać się sobie i na siebie wpływać. Jednak nie w sposób absolutny łączyć. Gloger podzielał romantyczny w swej genezie pogląd na kulturę ludową jako rezerwuuar polskiej narodowej tożsamości: „Nic nie może być więcej narodowego nad płody umysłu, który nie wykarmił się ani na literaturze starożytnej Grecji i Rzymu, ani wzorach późniejszych zagranicznych, ale z krwi i kości jest duchem żywiołu

<sup>72</sup> Tamże.

<sup>73</sup> G. Kowalski, *O czym czytać na wsi?*, dz. cyt., s. 511.

<sup>74</sup> Por. rozważania antropologa kulturowego Jacka Goody’ego (tenże, *Człowiek, pismo, śmierć. Rozmowy z Pierrem-Emmanuellem Dauzat*, przekł. A. Karpowicz, Warszawa 2012, s. 173): „[...] w odróżnieniu od Jacques’a Derridy i innych uznają definicję pisma, która kładzie nacisk na relację między znakami graficznymi a mową. Lecz w żaden sposób nie chodzi tu o prostą transkrypcję: to relacja bardzo złożona, która rozgrywa się dwukierunkowo. Zawsze istnieje pewna dyglosja; zawsze mamy do czynienia z odrębnością języka mówionego i pisanego. Oba wpływają na siebie wzajemnie, ale nigdy nie są identyczne” (podkr. moje – Ł.Z.). Współcześnie coraz częściej odchodzi się jednak od tak radykalnego rozgraniczenia obu kultur: piśmiennej i ustnej. Zob. na ten temat G. Godlewski, „Wielka teoria piśmienności” a „wielki podział”, [w:] tegoż, *Słowo – pismo – sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne*, Warszawa 2008, s. 151-153.

<sup>75</sup> Gloger zdawał się podzielać romantyczny w swej genezie pogląd o ludzie przechowującym dawną kulturę polską: „Gdy szlachta wypolerowała się z czasem i tym samym od ludu oddaliła, ten przechowuje dotąd w sobie ową staropolskość i szlacheckość i ma jej nierównie więcej aniżeli starych zabytków pogańskiej słowiańszczyzny” (tenże, *Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił O. Kolberg. Seria V, Krakowskie – Kraków 1871* [recenzja], „Wieniec” 1872, nr 19, s. 163-164; I tom *Pism rozproszonych*, s. 517. Por. G. Kowalski, *O czym czytać na wsi?*, dz. cyt., s. 504.

<sup>76</sup> Jest to proces w pełni naturalny, jak przekonują badacze ontologii komunikacji: Marshall McLuhan (*Galaktyka Gutenberga*, 1962); Claude Lévi-Strauss (*Mysł nieoswojona*, 1962), Eric Havelock (*Przedmowa do Platona*, 1963), Jack Goody i Ian Watt (*Następstwa piśmienności*, 1963), Walter Ong (*The Presence of the World*, 1967). Jak konstatuje P. Czapliński (dz. cyt., s. 17): „[...] zmiana medium dominującego (na przykład przejście od mowy do pisma) pociąga za sobą przemianę wszystkich parametrów rzeczywistości społecznej. [...] zmiana, nawet jeśli dokonuje się powoli, prowadzi do nieodwracalnych przekształceń, w wyniku których dotychczasowe medium dominujące zostaje wchłonięte przez medium nowsze”.

miejscowego”<sup>77</sup>. Ludy „miejscowe” zachowały swoistość wyłącznie dzięki zamknięciu się na słowo pisane, na obce wpływy. Trzeba więc znaleźć inne, bardziej adekwatne dla tej jakże skomplikowanej sytuacji rozwiązanie.

### *Walka o przywrócenie głosu*

W wypowiedziach dotyczących idei powstania „Biblioteczki Ludowej” Gloger wielokrotnie podkreślał, że – w jego opinii – „lud pozbawiony był wydawnictwa, w którym by ujrzał sumę rodzimych pojęć estetycznych, czysty język starodawny i całkowity obraz własnej poezji”. Gdy wyjaśnia powody, dla których do jego serii wydawniczej powinny zajrzeć osoby wykształcone, pisze o „literaturze w żywym słowie”, możliwości dowiedzenia się czegoś, wyczytania, odszukania, zapoznania się. Gdy pisze o włościanach jako odbiorcy tych antologii, wykorzystuje wyrażenia sensualistyczne: możliwość ujrzenia, dostrzeżenia, poczucia. „Lud – pisze Gloger – nie spotkał się jeszcze nigdy z drukowanymi płodami własnego geniuszu”. Podkreślmy: nie spotkał się. Te semantyczne zawilości mają, jak się zdaje, cel: wyraźne rozgraniczenie obu – oczywiście mówiąc w dużym uproszczeniu<sup>78</sup> – grup społecznych: ludzi piśmiennych i niepiśmiennych. Chodzi o to, by ich na siłę nie „uszcześliwiać”. Wydaje się, że dba starożytnik z Jeżewa o to, by żadna grupa społeczna nie zdobyła absolutnej dominacji.

Świat Glogera – twarda popowstaniowa rzeczywistość drugiej połowy XIX wieku i rewolucyjne czasy pierwszej dekady wieku XX – został zbudowany na straconych nadziejach, zdeptanych ideałach, niepewności i strachu; na niegasnącym lęku przed możliwością utraty w każdej chwili wszelkich dóbr, domu, a nawet wolności. Świat Glogera to rzeczywistość rozsypanych sensów, doskwierającego braku poczucia pewności. Na tej to glebie popularność zbudowały artystyczne i filozoficzne kierunki oparte na chłodnej kalkulacji, realizmie, sejentyzmie – chciały one obedrzeć codzienność z resztek ułudy i ujrzyć to, na czym w istocie świat stoi. Bez tego – jak się sądziło – nie jest możliwa odbudowa czegokolwiek.

Gloger zdaje sobie sprawę z faktu, że upadek narodowej kultury nie jest skutkiem wyłącznie rozbiórów Rzeczypospolitej. W 1874 roku tak pisał o wybranych aspektach tradycji: „Wiek XVI przynosi cios bolesny prastarym pieśniom narodowym po dworach”<sup>79</sup>. Owszem, starożytnik z Jeżewa, podobnie jak całe pokolenie Szkoły Głównej w Warszawie czy środowisko młodych postępowców skupionych wokół „Przeglądu Tygodniowego”, chciał skutecznie zaradzić wszystkim problemom społecznym. Wiedział, że najważniejszym i zarazem najtrudniejszym ku temu krokiem powinna być „praca u podstaw”, zaspokojenie w pierwszej kolejności najbardziej elementarnych potrzeb po to, by wspinać się systematycznie na budowanych w ten sposób szczeblach drabiny postępu. Glogera cechowała jednak humanistyczna wrażliwość, osobowość pozbawiona „nauczycielskiej” autorytatywności.

Podkreślę: posiadał autorytet i charyzmę, jednak jego podejście wychowawcze odznaczało się pewną osobliwością. Starał się nie dawać gotowych formuł, jako płodny publicysta unikał „odgórnego” formułowania sztywnych instrukcji na jakikolwiek temat. Zamiast tego posługiwał się delikatną sugestią, podsuwał nie sposoby – na przykład – uprawy roli, lecz ubrane w jak najbardziej atrakcyjną szatę formy językowej in-

<sup>77</sup> Z. Gloger, „Biblioteczka Ludowa”, „Echo” 1880, nr 272; tom II *Pism rozproszonych*, s. 1183.

<sup>78</sup> Nie chodzi tu o rozgraniczanie, dzielenie społeczeństwa, pownieważ marzeniem Glogera było coś wręcz przeciwnego: „Z kastowości – pisał – z preferowania jednej klasy zło tylko płynie. A my, którzy tyle ziemi rodzinnej z prochami ojców naszych wyprzedaliśmy cudzoziemcom, mielibyśmy zapisywać się do złotej księgi i szukać z tego chluby? Naród jest tylko narodem [...]” (Z. Gloger, *Złote księgi*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 184; II tom *Pism rozproszonych*, s. 452).

Natomiast w powyższym kontekście mówię o pewnym uporządkowaniu, rozgraniczeniu problemów społecznych, którymi trzeba się było zająć; chodziło o szczegółowe, analityczne podejście do obserwowanego zjawiska. Gloger, jak wiemy, był przeciwnikiem podziałów społeczeństwa polskiego; por. np. jego osąd: „[...] podział poezji polskiej na *szlachecką* i *ludową*, używany przez niektórych pisarzy, jest niekonsekwentny” (tenże, *Słowno o pieśniach ludowych*, „Kronika Rodzinna” 1874, nr 6, s. 87; I tom *Pism rozproszonych*, s. 330). Co z drugiej strony wcale nie oznacza, że wierzył w zupełną równość ludzi, lecz w jego przekonaniu – co uważa A. Janicka (*Zygmunt Gloger wobec teorii...*, dz. cyt., s. 34) – „zadaniem powszechnej oświaty jest w długim procesie wprowadzenie całego ludu na poziom ekonomicznego dobrobytu, a wybijających się z jego łona jednostek do klasy wyższej. [...] Członkiem społeczeństwa – świądowym obywatelom – człowiekiem staje się nie z urodzenia, lecz przez zasługi, czyny, wysiłek. I również przez akceptację tradycji narodowej, historii Rzeczypospolitej”.

<sup>79</sup> Z. Gloger, *Słowno o pieśniach ludowych*, „Kronika Rodzinna” 1874, nr 6, s. 87; I tom *Pism rozproszonych*, s. 329.

formacje o wzorowych i wyróżniających się gospodarzach, specjalistach w każdej dziedzinie: od pszczelarstwa, piskicultury, handlu, po tytanów pracy naukowej czy artystycznej. Z zadziwiającą sumiennością wymieniał katalogi nazwisk osób nagrodzonych podczas niezliczonych wystaw naukowych, gospodarskich, handlowych. Swoją osobę zawsze usuwał w cień. Czytelnik powinien sam, czytając jego artykuł, zapragnąć wyróżnienia się, dogonienia najlepszych, nauczenia się czegoś, wyszukania informacji. Powinien przede wszystkim zapragnąć samodzielności.

Wydaje się, że tym, co Glogera odróżniało od pozytywistycznego oraz – z drugiej strony – konserwatywnego podejścia do kwestii odbudowy społeczeństwa i kultury polskiej, było u n i k a n i e r o z w i ą z a n i r a d y k a l n y c h, snucia teorii fundamentalistycznych, skrajnych, absolutystycznych. Mówiąc inaczej – nie chciał pisarz z Jeżewa sprzęgać, zlepiać, dopasowywać wszystkich elementów tej zróżnicowanej wspólnoty społecznej: różnych grup etnicznych, warstw społecznych, mniejszości narodowych i wyznaniowych. Każdy powinien otrzymać równe szanse na rozwój i na samodzielność, ale każdy ma prawo do zachowania swoistości. Miarodajną jest tu historia o cygańskim dziecku, które – zgodnie z opowieścią Glogera<sup>80</sup> – przygarnięto w jezewskim folwarku. Gdy zgłosiła się po nie matka, dziecko zostało jej, co prawda z żalem, ale oddane, choć zdecydowanie lepszy los – z naszego, tzn. zgodnego ze „standardami” kultury zachodnioeuropejskiej, punktu widzenia – czekałby tego chłopca, gdyby pozostał pod opieką rodziny Glogerów.

Glogera na wstępie niniejszego szkicu nazwałem „mistrzem słowa pisanego”, czyli osobą, która dążyła do wzmocnienia, spotęgowania skali oddziaływania w polskim społeczeństwie kodu kulturowego, którego fundamentem miała być tradycja. Wydaje się jednak, że pojęcie „fundamentu” nie jest w tym kontekście właściwe. „Biblioteczka Ludowa” miałyby spełniać – w moim przekonaniu – rolę swoistej przestrzeni, umożliwiającej spotkanie się obu, tak sobie obcych, „światów”, tzn. kultury ludowej (oralnej) i kultury warstw wykształconych (piśmiennej). Chodzi o wypracowanie przestrzeni do wymiany myśli, doświadczeń, wiedzy, energii, ducha narodowego; a więc swoistego kulturowego konstruktów, w granicach którego możliwa byłaby w przyszłości budowa takiego kodu-języka, który skomunikowałby ze sobą wszystkich przedstawicieli narodu. Zwróćmy uwagę na ten oto, pisany przez Glogera, fragment recenzji *Ludu* Oskara Kolberga:

Jeżeli [lud – Ł.Z.] wobec praw i w życiu publicznym nie był równy szlachcie, to w domu, w pożyciu gospodarskim, wieś z dworem, który stał wśród niej, stanowiła jedną patriarchalną i obyczajową całość. Ta łączność pod względem zwyczajów, wiary, nawet codziennego stroju, języka i wyobraźni, jest dziś dla nas prawie niezrozumiałą, a jednak była w całej sile. Lud żył wspólną ze szlachtą staropolszczyzną, a obok niej przejmował bezwiednie od szlachty całą jej szlacheckość, stawał się jej prostaczym odzwierciedleniem<sup>81</sup>.

Dziś – parafrazując Glogera – niezrozumiałym fenomenem jest coś, co kiedyś wydawało się rzeczą naturalną, a co stanowiło rdzeń dobrobytu i siły ludzi zamieszkujących wspólny teren. Chodzi mianowicie o powszechną „łączność”. Przywrócenie dzięki wspólnemu *językowi* utraconego porozumienia stałoby się więc zaczynem (warto zaakcentować ten, wskazujący elementarny charakter proponowanego projektu, zwrot) naprawy społeczeństwa polskiego. Dlatego, można uznać, w nazwie projektu wydawniczego pojawiło się – pozornie tylko odbierające patos całemu przedsięwzięciu – zdrobnienie słowa „biblioteka”. W ten bowiem sposób otrzymujemy jasny sygnał, że to drugi człon tej nazwy – „Ludowa” – odgrywa rolę ważniejszą. Że nie o pismo, o druk, o książki jako takie chodzi, ponieważ mogą być one nośnikiem również trujących treści – podobnie jak działo się ze słowami „Agrypina”, „Hafryka” i „Branzolia”. Chodzi jedynie o to, by stworzyć kanał, za pośrednictwem którego stanie się możliwe nie tylko zachowanie kultury ludo-

<sup>80</sup> Z. Gloger, *Z życia dworu wiejskiego*, „Kłosy” 1889, nr 1278, s. 415-416; II tom *Pism rozproszonych*, s. 797-800. Interpretację tego tekstu przeprowadził J. Ławski w tekście *Inna tragiczność: „Z życia dworu wiejskiego” Zygmunta Glogera*, „Bibliotekarz Podlaski” 2017, nr 1 (34).

<sup>81</sup> Z. Gloger, *Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił O. Kolberg. Seria V, Krakowskie – Kraków 1871* [recenzja], „Wieniec” 1872, nr 19, s. 163-164; I tom *Pism rozproszonych*, s. 517.

wej, lecz również jej ożywienie, włączenie jej przedstawicieli w ogólnospołeczną debatę nad przyszłością narodu.

Warto bowiem przeanalizować znaczenie, jakie możliwość uczestnictwa w takiej publicznej wymianie myśli miała dla ludzi pokroju Glogera. Czyli mieszkańców prowincji, oddalonych od centrów miast, stolic Europy. Reprezentatywny jest tutaj przywoływany już tekst Glogera o tym, że z powodu nieprzybycia przyjaciela, sąsiada, interlokutora – musiał pisarz podczas samotnego wieczoru przy kominku zadowolić się „dyskusją” za pośrednictwem „świstka papieru” z własnymi myślami<sup>82</sup>. Lecz to przecież nie jest prawda. I Gloger o tym wiedział. W rzeczywistości siedząc przy kominku, włączał się starożytnik z Jezewa do ogólnonarodowej dyskusji, zabierał głos, przybierał postawę aktywną. Dlatego nie potrafił i nie chciał pisać „do szuflady”. Literalnie każdy człowiek, którego można uznać za pełnoprawnego członka XIX-wiecznej polskiej formacji kulturowej, za sprawą prasy otrzymywał bezcenny dar: poczucie wspólnoty, społecznej przynależności, bycia potrzebnym, użytecznym, słyszalnym i widzialnym (*vide*: Glogera liczne opisy okolic tykocińskich i sprawozdania z sytuacji handlowo-społeczno-gospodarskich, a do tego dołączane nierzadko rysunki). Jakże trafna staje się więc metafora obiegu informacji w społeczeństwie na wzór krwioobiegu w organizmie. Była to metafora społecznej integracji, czyli ratunku przed wyobcowaniem, poczuciem wyalienowania, utraty tożsamości i osobowości. Dyskutujący o „hafrykańskiej” arkadii podlascy chłopcy takiej właśnie możliwości ocalenia zostali pozbawieni, nie sprawiło więc żadnego problemu wyłączenie ich z kulturowej macierzy, swojskiego środowiska, rodzinnych domów.

Łatwiej więc zrozumieć problem, który dostrzegł Gloger. Nabiera on dodatkowego znaczenia, gdy uświadomimy sobie, że nie tylko fizyczne przebywanie poza miejskim centrum mogło wpływać na poczucie wyalienowania. Kultura oparta na oralności jest z natury rzeczy lokalna: co oznacza – przekonuje Czaplinski – „że wszystkie jej kryteria zachowują ważność w granicach danej wspólnoty (w odróżnieniu od pisma, które na mocy uniwersalizmu jest ekspansywne, prowadząc do narodzin ponadlokalnych wspólnot wiary i wiedzy)”<sup>83</sup>. Im więc określona niepiśmienna grupa ludzi stanie się mniej zintegrowana (na przykład wskutek dramatycznych okoliczności historycznych, wynaradawiającej polityki zaborcy, oszustów mamiących łatwym i przyjemnym życiem etc.), tym silniejsze wśród jej członków pojawi się poczucie wyalienowania. Dlatego tak wartościową zaczęła się wydawać – obok umiejętności czytania – konieczność porozumiewania się za pomocą pisma, a więc obrania postawy aktywnej, włączenia się do wspólnoty w ponadlokalnych jej granicach. W realiach narodu bez państwa nie było innego wyjścia<sup>84</sup>.

Owszem, książki z serii „Biblioteczki Ludowej” były materiałem przeznaczonym do czytania, a nie pisanie. Gdy jednak rzecz głębiej przeanalizować, łatwo zrozumieć tę zależność. Jeśli niewykształceni, niepiśmienni mieszkańcy określonej wsi dostrzegą treści, jakie od wieków powtarzały ich babki, jakie za swojskie uważali ich przodkowie, w formie zapisanej i wydrukowanej, będzie to dla nich prosty sygnał, że posiadają one konkretną wartość. Ma to o tyle znaczenie, o ile zrozumiemy wielokrotnie przywoływane już słowa Glogera: „Lud nie spotykał się jeszcze nigdy z drukowanymi płodami własnego geniuszu, a mając spaczne pojęcia o cywilizacji, począł lekceważyć to, co płynie z jego krwi i kości słowiańskiej”. Z tego miejsca – czyli od uświadomienia sobie rangi tradycyjnych pieśni i legend – pozostał już tylko krok, by zapisywać również inne treści i zacząć się nimi dzielić, rozpowszechniać je. Mówiąc inaczej: zacząć uprawiać twórczość piśmienną. Trudno zaprzeczyć, że niezwykle to idealistyczna koncepcja. Ale pomysł stworzenia przez jednoosobowy komitet redakcyjny kilkunastu tomów *Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej*, zawierającej nieprzeliczoną mnogość materiałów związanych z polską kulturą narodową, nie wydaje się chyba mniej odważnym projektem. I nawet jeśli udało się Glogerowi zrealizować zaledwie część owego „encyklopedycznego” planu, również dzisiaj budzi on autentyczny podziw dla rozmachu przedsięwzięcia.

<sup>82</sup> Wydaje się, że niezwykle owocne i prawdopodobnie zakakujące wyniki mogłaby przynieść gruntowna analiza stylu pisarskiego Glogera pod kątem pojawiających się w nim chwytów retorycznych czy zjawisk właściwych kulturze oralnej. Na przykład duży znak zapytania stawia się w praktyce badawczej nad charakterystyczną cechą tekstów Glogera, którą jest powtarzalność pewnych treści. Jak przekonuje Czaplinski (dz. cyt., s. 10), „[...] nadmierna powtarzalność formuł (niedopuszczalna z punktu widzenia kultur piśmiennych) dowodzi, że wersja spisana jest wtórna wobec dzieła ustnego, zaś zróżnicowanie poszczególnych wersji świadczy, że kultura ustna nie znała dzisiejszego pojęcia oryginału”.

<sup>83</sup> P. Czaplinski, dz. cyt., s. 19.

<sup>84</sup> Zob. M. Płachecki, *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)*, Warszawa 2009.

Podsumowując, chciałbym z ideą „Biblioteczki Ludowej” powiązać trzy terminy: *dezaalienacja*, *narratywizacja*, *tekstualizacja*.

*Dezaalienacja* – nie wydaje się, żeby Gloger dążył do absolutnego „scalenia” kulturowego narodu polskiego, ujednoczenia, zniesienia granic i społecznych barier. „Biblioteczka Ludowa”, z której mieli korzystać wszyscy, rysuje się w tym kontekście jako zbiór tekstów – tu termin ten staje się najbardziej chyba adekwatny – źródłowych, „wokół” których mogą, jak przy wspólnym stole, „zebrać się” ludzie, by się poznać, by się ze sobą oswoić, by móc wymienić się wartościami, mądrością, by spróbować przemówić wspólnym językiem, by walczyć z wyalienowaniem społecznym. Narodziłaby się dzięki porozumieniu za pomocą takiego *języka* i otwarcia na drugiego człowieka wrażliwość, której owocem byłoby między innymi przeciwdziałanie ignorancji wobec wszystkiego, co nas bezpośrednio nie dotyczy (nawiązując choćby do historii apeli Glogera o przekazywanie starożytności w ręce historyków). To wystarczy, by każdy członek społeczeństwa mógł skutecznie wykonać swoją pracę, na przykład badając skamieniałości czy krzemienne okrzeski, by dzięki temu wzbogacić kulturę. W ostatecznym rozrachunku przyczyni się to do jej umocnienia i rozwoju.

*Narratywizacja* – stworzenie dobrze skomunikowanego ze sobą społeczeństwa możliwe jest tylko i wyłącznie dzięki narracji „obłaskawiającej” twardą i trudną rzeczywistość, niwelującej bezsens, poczucie obcości, niezrozumienie. Dobra, rozbudowana narracja (na przykład w postaci barwnie opisanych historii o oszustwach), w odróżnieniu od prostych, skrótowych komunikatów, zdawkowych relacji, zachęca do podjęcia dialogu, do włączenia się do dyskusji. Gloger nieprzypadkowo prowokował takie dyskusje, anonimowo lub pod zmyślnym nazwiskiem odpowiadając na własne teksty – liczył bowiem na pozytywne skutki tak „zagajonej” rozmowy, na jej rozwinięcie.

*Tekstualizacja* – w dobie historycznych zawirowań, germanizacji i rusyfikacji, represji popowstaniowych była to najtrwalsza i najskuteczniejsza metoda ocalenia wspólnoty polskiej. Co do tego Gloger był w pełni przekonany. Dlatego nakłonienie słabo wykształconych ludzi do tego, by spisywali wspomnienia, stare opowieści, pieśni, legendy, tradycje – mogło przynieść zbawienne skutki, przyczynić się z jednej strony do społecznej integracji, uwrażliwić, ale też pośrednio wspomóc polską naukę, tak wówczas rozpaczliwie potrzebującą nowych źródeł wiedzy. W dobie trudności związanych z ograniczeniami edukacyjnymi mogłoby się to też okazać najlepszym lekarstwem na analfabetyzm.

\*\*\*

Szkic niniejszy otwierają słowa Glogera, zakończmy go również cytatem – tym razem nieco dłuższym – zaczerpniętym z jednego z artykułów, publikowanych w niniejszym tomie *Pism rozproszonych*:

Dziś już i tamci panowie, i tamci chłopci z czasów dawnej pańszczyzny powymierali. Więc nie ma dziś uczciwego powodu wypominać, co było przed laty, skoro już nie ma tego ani śladu i do końca świata powrócić to nie może. Jakem czytał w książkach, to już za konfederację barską wywieziono szlachty polskiej do Kamczatki, na koniec Syberii, z górą 10 tysięcy, potem za czasu wojny kościuszkowskiej i wojen napoleońskich, prowadzonych po całym szerokim świecie, wyginęło szlachty polskiej i upadło majątkowo bardzo wiele. To samo nastąpiło w roku 1831, kiedy oprócz poległych na wojnie wyszło z kraju na tułaczkę także podobno do 10 tysięcy. W latach 1846, 1848 i 1863 padła także ofiarą moc wielka i szlachty, i majątków. Wielu nie mogąc na folwarkach się utrzymać lub chcąc wychować w szkołach i wyposażać w świat liczne potomstwo, musiało posprzedawać swe majątki różnym kupcom, dorobkiewiczom, adwokatom, inżynierom, zbogaconym fabrykantom i rzemieślnikom, a najwięcej w ostatnich czasach włościanom do podziału. Toteż wśród dzisiejszych panów po dworach więcej niż połowa nie są już wnukami tych, którym dziadowie dzisiejszych włościan odrabiali pańszczyznę.

Toteż niedobrze ten myśli lub niedobre ma zamiary, kto dla pokłócenia ludzi dzisiejszych, czy to gębą, czy na piśmie, porusza w grobach dawną szlachtę polską, która przez lat tysiąc przelewała krew swoją, broniąc wiary świętej i swego kraju, i narodu, a pobudowała i pofundowała tysiące kościołów, klasztorów, szkół, szpitali. Byli zaś między nią tacy, co zakładali akademie, księżnice, utrzymywali setki ubogich uczniów, napisali tysiące dzieł uczonych.

Nadzieja tylko w prostym, zdrowym, chłopskim rozumie ludu polskiego, który pojmuje to już dobrze, że z niezgody i wojny domowej tylko piekło rozkwita, a szatan zbiera owoce. Dola zaś cała narodu i szczęśliwość przyszłych pokoleń leży w jedności, w cnocie, w pracy, w oświacie prawdziwej, w umiłowaniu ziemi rodzinnej i w kochaniu gorącym sercem wszystkich zarówno dzieci tej ziemi. Bo dziś już, mili bracia, nie ma ani szlachty, ani mieszczan, ani chłopów, ale na ziemi polskiej jedno jeden naród polski. Tylko zła albo głupia dusza chciałaby płotami różne stany rodzonej braci porozdzielać, aby łatwiej ich waśnić, kłócić między sobą<sup>85</sup>.

## ZYGMUNT GLOGER WOBEC GOSPODARKI

Wśród rozlicznych zagadnień, jakimi się na przestrzeni całej swojej twórczości publicystycznej Zygmunt Gloger zajmował, poczesne miejsce zajmują konkretne kwestie gospodarcze lub niekiedy ogólnoeconomiczne. Nie nad wszystkimi pochylał się on jednak z jednakową uwagą i zainteresowaniem. Stąd w niniejszym tekście zajmiemy się co do samego założenia wybiórczą, aczkolwiek – jak się wydaje – najistotniejszą paletą tematyczną podejmowanych przez Glogera prób analizy poszczególnych kwestii gospodarczych. Opisane zostaną takie kwestie, jak: a) transport lądowy; b) transport wodny; c) transport kolejowy; d) wystawy rolniczo-przemysłowe; e) kradzieże i bandytyzm; f) pożary; g) handel; h) stowarzyszenia rolnicze; i) sadownictwo i ogrodnictwo; j) drób i inne zwierzęta oraz przepisy fitosanitarne; k) narzędzie rolnicze; l) parcelacja i scalenia gruntów; ł) służebności i podatki; m) wyprzedaż ziemi, oraz n) robotnicy rolni.

### Transport lądowy

Szeroko pojęty transport zajmował Glogera niezwykle żywo. Jednym z zagadnień z zakresu drogownictwa, jakimi się publicysta, zajmuje jest swoisty mit wysokiego pojęcia o drogach obcych, pruskich szczególnie. W kraju tym bowiem „drogi i poczty (...) urządzone są wybornie, między wszystkimi prawie miasteczkami kursują codziennie wygodne, żółte karety pocztowe (...), a każdy pocztylion ma zawieszony na szyi i spoczywający na łożądku zegar rządowy w skórzanym futerale, do którego najściślej się stosuje”<sup>1</sup>. Co znamienne, poglądy Glogera nie są tu ani nowe, ani odkrywcze, w pełni wpasowując się w ogólnie przyjętą już od wielu lat, szczególnie wśród moskiewskiej i polskiej administracji, koncepcję<sup>2</sup>.

Te superlatywy „drogownicze” kończą się zaskakująco szybko, gdy felietonista swoje zainteresowania przenosi na sprawy krajowe, a szczególnie lokalne. Według niego, budowa dróg, jeśli w ogóle postępuje, to w jego czasach odbywa się gorzej niż dostatecznie wolno, a opóźnienia są skandaliczne. Pisząc na przykład o planowanej przebudowie szosy Tykocin – Wysokie Mazowieckie w roku 1883, Gloger podaje: „już przed laty kilkunastu drogę tą w znacznej części (...) wyprostowano, rowami okopano i kamienie zwieziono. Zdają się one same prosić o to od lat wielu, żeby je potłuczono na szaber i rozsypano na drodze”. Postuluje w tym wypadku wyłącznie odpowiednie wykorzystanie zgromadzonych finansów drogowych. Pisze wręcz Gloger rozpaczliwie: „chodzi tylko o to, żeby prawo zostało w czyn wprowadzone”<sup>3</sup>.

Narzeka na stan lokalnych dróg jeszcze wcześniej, gdyż w roku 1872: „o drodze bitej łączącej miasto Tykocin z miasteczkiem Sokoły nie ma co i mówić, podróżni manowcami wymijają tę drogę, aby nie mieć przyjemności jechania szosą; szkoda tylko, że nie mogą wymijać mostków, które są wszystkie dziurawe lub zapadłe”<sup>4</sup>. W kolejnym roku donosi: „drogi bite i boczne psują się wszędzie w sposób zatrważający. Szosa łącząca Tykocin z dawnym traktem białostocko-warszawskim składa się z samych dołów i kałuż, z kilku

<sup>1</sup> Z. Gloger, *Toruń w lipcu*, „Kronika Rodzinna” 1873, nr 15, s. 228–229.

<sup>2</sup> Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, zespół II Rady Stanu Królestwa Polskiego (dalej: II RS) 105/206. W swoim, wyrażonym jeszcze w roku 1873, zachwycie dla pruskiej komunikacji idzie tu – w pełni nieświadomie śladem administracji moskiewskiej, czy nawet samego Mikołaja I, który w roku 1838 polskim pocztylionom pruskie melodie grać nakazał. Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, zespół III Rady Stanu Królestwa Polskiego (dalej: III RS) 256/188. Podobnie zresztą o drogach pruskich wypowiadały się władze polskie okresu pierwszej połowy lat sześćdziesiątych XIX wieku.

<sup>3</sup> Z. Gloger, *Z okolic Tykocina*, „Słowo” 1883, nr 341, s. 2.

<sup>4</sup> Z. Gloger, *Z Tykocina*, 15 marca, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 61, s. 2.



mostów istnieje tylko jeden; na wstępie do Tykocina konie łamią nogi, na zepsutym do najwyższego stopnia bruku (...)”<sup>5</sup>. Po zimie 1888 z raportów autora możemy wyczytać, iż na siedmiowiorstwowej przestrzeni szosy z Tykocina do Jeżewa podróżny, który kilkakrotnie tą drogą przejeżdżał, naliczył 750 wielkich wybojów, wystawiających dość regularny szereg wklęsłości, głębokich na łokieć do półtora łokcia<sup>6</sup>. Jakkolwiek narzekaniom tym końca nie widać, to trudno jest najczęściej felietoniście wskazać winnego utrzymania tego ogólnie skandalicznego stanu dróg. Raz tylko wymyka mu się – i to jedynie pośrednio – wzmianka o jakiejś dacie magicznej, poza którą drogownictwo Królestwa popada w ruinę. Pisząc mianowicie o fatalnym stanie szosy białostockiej w roku 1874, Gloger narzeka, iż był ten trakt: „(...) wybornie utrzymany do roku 1866, później zapomniany prawie zupełnie”<sup>7</sup>. Zresztą przy dokonywaniu swoistej weryfikacji działań krajowych instytucji lub kompanii centralnych Gloger bezapelacyjnie dobrze widzi prace podjęte w końcu lat pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych XIX wieku przez tzw. kompanię obywatelską, która na sześć lat przejęła nie tyle budowę, ile utrzymanie i naprawę dróg w Królestwie Polskim. Ten optymizm oceny jest nawet ponadprogramowy niejako. Podczas gdy Gloger widzi ową kompanię obywatelską jako instytucję, która „przez sześć lat do roku 1866 [drogi] starannie utrzymywała (...)”<sup>8</sup>, Rosjanie założyli nawet dochodzenie w sprawie „stronniczego postępowania naczelnika XIII Okręgu Komunikacji generała-majora Smolikowskiego na rzecz kompanii, biorącej na siebie zawiadywanie szosami w Królestwie Polskim”<sup>9</sup>.

Nie ma Gloger za to najmniejszych oporów przy krytykowaniu złego stanu dróg drugiej i trzeciej kategorii w Królestwie Polskim. Stan ten miałby – według publicysty – obowiązywać od czasu gdy „(...) rozwiązane zostały (przed kilku laty) komitety szarwarkowe”<sup>10</sup>. O samym szarwarku (*corvée*) pisze jeszcze w roku 1884, nawiązując do znacznej ilości dni odrobnkowych, iż: „jest to (...) kwestia bardzo ważna, bo gdyby owe dni należycie i pod dobrym dozorem technicznym odrobione zostały, to cały kraj w ciągu lat kilku pozyskałby koniecznie dla dobrobytu jego komunikacje boczne, które obecnie w najsmutniejszym stanie pozostają”. Odnosząc się zatem do „ściśle prywatnego” listu pisanego w roku 1883 do gubernatora łomżyńskiego przez „jednego z obywateli ziemskich powiatu mazowieckiego” w sprawie polepszenia zarządu szarwarkiem, Gloger nie omieszką zaznaczyć, iż „byłoby pożądanym wydrukowanie w języku polskim prawa najwyżej zatwierdzonego o utrzymaniu dróg z dnia 19-go czerwca 1870 roku”<sup>11</sup>.

Nie podoba mu się nie tylko samo rozdysponowanie szarwarkiem, ale i inna rzecz podstawowa, jaką jest przeznaczenie poboru podatku drogowego. Błędny nie jest jednak w ocenie Glogera sam przepis, ale jego wykonanie; szczególnie skoro „najwyższy ukaz, ustanawiając podatek drogowy, dał mu tym samym bardzo jasne przeznaczenie (...), a wola ta powinna być zawsze i stanowczo uwzględniona. (...) Przyczyna złego leży podobno w przenoszeniu funduszy drogowych z powiatu do powiatu lub przelewaniu takich na inne potrzeby administracyjne”<sup>12</sup>. Wyjaśnia dodatkowo autor w innym miejscu: „w roku 1870 ustanowiony został w kraju naszym podatek drogowy, a gospodarzem zebranych funduszy w każdej guberni z tego źródła jest rząd gubernialny”<sup>13</sup>.

Te passusy pokazują niejako meritum podejścia Glogera do spraw drogowo-formalnych, gdzie władza zwierzchnia (carska) z założenia ma czy przynajmniej może mieć rację. Nie będąc specjalistą w temacie,

<sup>5</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 12 kwietnia, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 86, s. 2.

<sup>6</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 5 kwietnia 1888 roku, „Gazeta Warszawska” 1888, nr 95, s. 2.

<sup>7</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 8 lutego, „Gazeta Handlowa” 1874, nr 33, s. 2. *Dziennik Praw Królestwa Polskiego*, t. 66, s. 455–457. Uważny, acz niezorientowany czytelnik, nawiąże do końca działalności owej wychwalanej przez Glogera „kompanii obywatelskiej”, w rzeczywistości zaś chodzić będzie o ostateczną likwidację krajowego Zarządu Komunikacji Lądowych i Wodnych w Królestwie Polskim, na mocy ukazu carskiego z 25 lutego / 9 marca 1867 roku i utworzenie w to miejsce XI Okręgu Komunikacji Cesarstwa Rosyjskiego. Nic zresztą dziwnego, iż nie może zapewne Gloger pozwolić sobie na stwierdzenie faktu aż nazbyt oczywistego.

<sup>8</sup> Tenże, *Drogi bite*, „Gazeta Warszawska” 1876, nr 4, s. 1.

<sup>9</sup> Rosyjskie Historyczne Archiwum Państwowe w Petersburgu (dalej: RGIA), f. 207, op. 4, d. 976.

<sup>10</sup> Z. Gloger, *Z Tykocina*, 27 listopada, „Gazeta Handlowa”, 1873, nr 269, s. 2. III RS 256/1–2, 32–34, 62–64. I tu Gloger, zapewne w pełni nieświadomie, popierał w ten swój sposób zarzucone później stanowisko Wydziału Skarbowo-Administracyjnego III Rady Stanu z roku 1862 w zakresie polepszenia stanu funduszy drogowych, a przede wszystkim prawidłowej organizacji prac szarwarkowych.

<sup>11</sup> Tenże, *Szarwarki*, „Gazeta Warszawska” 1884, nr 42, s. 1.

<sup>12</sup> Z. Gloger, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1883, nr 119, s. 2.

<sup>13</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1886, nr 161, s. 2.

swoje opisy autor opiera przeważnie o tzw. wiedzę ogólną<sup>14</sup>. Podobnie nie protestuje formalnie przeciwko skandalicznym formom poboru tzw. podatku kopytkowego, służącego za podstawę do utrzymania bruków miejskich. Opisuje za to bardzo dokładnie sytuację w Tykocinie, gdzie odnośnej opłaty nie uiszcza się przy wjeździe do miasta, ale dopiero po „odnalezieniu” na mieście przez starozakonnego poborcę, co podobno niekiedy groziło nawet pobiciem. Tak dowolne postępowanie dzierżawcy myta było oczywiście sprzeczne z obowiązującymi przepisami, które co do samego stałego miejsca poboru nie ulegały w Królestwie Polskim znacznym zmianom na przestrzeni wielu lat<sup>15</sup>.

Nie mogąc krytykować władz centralnych, tym mocniej uderza Gloger w zajmującą się drogownictwem administrację lokalną. Już sam brak odpowiedniego wykorzystania funduszy drogowych razi niezmiernie. Pisze przecież: „z tych samych kamieni, które rozrzucone po drodze lub sterczące kupami, gdyby je potłuczono na szaber, można by zbudować (...) najwysmienitszą granitową drogę bitą. (...) Chodzi tylko o to, żeby władza przeznaczyła na to istniejące fundusze szarwarkowe (...)”<sup>16</sup>. Dalej w jego ocenie „opieka gmin i wójtów nad szosami, to mówiąc językiem praktycznym, znaczy zaniedbanie i opuszczenie dzieła znacznym kosztem kraju dokonanego (...)”<sup>17</sup>.

Narzekając na niewielką ilość dróg zbudowanych po roku 1863<sup>18</sup>, pisząc o zmniejszeniu funduszy drogowych na naprawy, Gloger mówi otwarcie: „(...) zarząd komunikacji przyjął niewłaściwie system wielkich oszczędności w rozsypywaniu utrzymującego dobroć dróg materiału kamiennego (...), przy czym na niektórych drogach całkowicie wstrzymano przez lat kilka rozsypkę kamienia”. Pisząc o skutkach tej „oszczędności”, autor podaje: „(...) dróg bitych rządowych mamy w Królestwie 2016 wiorst, których około połowy wymaga naprawy z gruntu (...)”<sup>19</sup>. Jeszcze bardziej utyskuje na sam proces ich napraw i ogólne zaniedbania w tym zakresie. Jego zdumienie budzą metody strzeżenia/ostrzegania osób podróżujących przed możliwymi wypadkami, jak te z roku 1878, kiedy: „z nadejściem tegorocznej wiosny mnóstwo wielkich kamieni ułożono w poprzek drogi celem zmuszenia podróżnych do jeżdżenia po tych tylko miejscach, gdzie szaber został nieutarty, a dodać trzeba, gdzie on nigdy nie bywa przysposobiony walcowaniem do utarcia”. Po czym Gloger lamentuje: „trakt białostocki przez lat 45 istniał w wybornym stanie i porządku ku prawdziwej wygodzie mieszkańców i przez te 45 lat nigdy nie wytoczył ani jednego kamienia na swój środek, aż dopiero w roku 1878 zrobił to niesłychane, postępowe odkrycie”<sup>20</sup>.

Wizję upadku dopełnia konstatacja autora z roku 1874 na temat rozmieszczenia odpowiedzialnych za prawidłowe utrzymanie szlaków komunikacyjnych tzw. dróżników, gdzie czytamy: „gdy przedtem na każ-

<sup>14</sup> III RS 256/ 186. Protokół posiedzenia Wydziału Skarbowo-Administracyjnego Rady Stanu Królestwa Polskiego z 4 grudnia 1865 roku „dotyczący uwagi członka Rady Stanu Dziewianowskiego o potrzebie zwiększania funduszu na komunikacje”. Trudno się np. dziwić, że Gloger nie wiedział, iż jeszcze w roku 1864 quasi-autonomiczne władze Królestwa Polskiego proponowały znaczące, nigdy nie zrealizowane w zapowiadanej formie, projekty prawne w zakresie form poboru, zasadności czy przeznaczenia opłat drogowych.

<sup>15</sup> Z. Gloger, *Z miasta N.*, „Kurier Warszawski” 1875, nr 207, s. 2–3. Por. np. Dziennik Urzędowy Województwa Kaliskiego nr 5 z 2 lutego 1830 roku, s. 103.

<sup>16</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego, w czerwcu*, „Gazeta Handlowa” 1883, nr 130, s. 2.

<sup>17</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1886, nr 161, s. 2, II RS 256/32. Przeczyło to stanowisko w sposób jawny rozporządzeniom prawnym istniejącym w Królestwie (z niewielkimi zmianami) jeszcze od 29 sierpnia 1820 roku, gdyż z godnie z tzw. ustawą szarwarkową tejeże daty, a dokładnie jej art. 20, gminy zostały zobowiązane do utrzymania dróg bocznych oraz traktów drugiej kategorii w dobrym stanie najdalej w obwodzie jednej mili. III RS 256/43. Z drugiej strony lokalny dozór dróg był uprzednio krytykowany przez fachowców, czego przykładem są opinie radców stanu z roku 1862, gdzie oceniając lokalne prace przy drogach, wskazywano na fakt, iż dysponowanie dużą ilością pracy szarwarkowej miało nawet stać się przyczyną wykorzystania nadarzającej się okazji przez „dozorców przy tych drogach, zwykle z niższych oficyalistów złożonych” do „licznych i bezwstydnich nadużyć”. Można zatem powiedzieć, iż przy ocenie aktywności władz lokalnych przy budowie i naprawie dróg wnioski Glogera i osób „zorientowanych” ogólnie się pokrywały.

<sup>18</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1883, nr 119, s. 2.

<sup>19</sup> Tenże, *Drogi bite*, „Gazeta Warszawska” 1876, nr 4, s. 1. O propozycjach zmian zarządzania szarwarkiem i finansowaniem transportu oraz naprawy i budowy dróg w Królestwie Polskim w pierwszej połowie lat 60-tych XIX wieku, por.: III RS 256.

<sup>20</sup> Tenże, *Drogi bite*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 129, s. 1. Przewodnik dla służby drogowej ułożony miesiącami przez administrację utrzymania dróg bitych w Królestwie Polskim, Warszawa 1862; O budowie traktu białostockiego por. *Strategiczne znaczenie budowy dróg modlińskiej, białostockiej i wołyńskiej w Królestwie Polskim*, „Taktyka i Strategia. Militaryny Magazyn Historyczny” 2006, nr 2 (18), s. 37–40. Nie trzeba też być zanadto przenikliwym, aby stwierdzić, iż opisane przykłady stały w jawnej sprzeczności z formalnymi przepisami, gdzie dokładnie określono obowiązki dróżników i konduktorów w zakresie naprawy dróg i rozsypywania szabru.

de 4 wiorsty był [na traktcie białostockim] jeden dróżnik, to w ciągu ostatnich 8 lat na trzydzieści kilka wiorst wystarczył jeden dozorca, a dróżników nie było”<sup>21</sup>. W tej sytuacji koszary drogowe, w których dróżnicy z reguły zamieszkiwali, stały się zatem kolejnym tematem rozważań Glogera. Wbrew jednak ponurej rzeczywistości, z nadzieją i niedowierzaniem donosi on w roku 1874: „co wiorst sześć mają być koszary drogowe dla dwóch dróżników, które (...) drogą administracyjną będą budowane. Pod każde koszary z podwórkiem i ogródkiem przeznaczono 900 sążni kwadratowych ziemi (...)”<sup>22</sup>. Licząc na poprawę sytuacji, pisze z zachwytem nad minionymi, lepszymi czasami w ogrodnictwie lokalnych dróżników, wspominając: „pamiętamy nawet, jak w szkółkach powyższych plantowano morwę, której nasienie było przez władzę rozsyłane”<sup>23</sup>. Kilka lat później ten optymizm jednakowoż go opuszcza, szczególnie gdy pisze o zaniechaniu obsadzania szkółek dróżniczych, „(...) które dawniej wszyscy dróżnicy co cztery wiorsty mieszkający z obowiązku zakładali, ogradzali i starannie pielęgowali”. Felietonista konstatuje w roku 1877: „od lat dwunastu nie tylko nie ma mowy o szkółkach i dosadzaniu drzew, ale i drzewa dawniejsze już straciły łaskę (...). Po dawnych szkółkach drzew, które dawniej przy każdym domku dróżnika we wzorowym utrzymywane były porządku, już tylko tu i owdzie nieznaczące ślady wyszukać można. Ogrodzenie znikło, drzewka wyłamane lub niewysadzone wyrosły w gęstą kępę (...)”<sup>24</sup>.

Podobny, jeśli nie smutniejszy jeszcze obraz przedstawiają drzewa przydrożne. Niegdyś przecież „z prawdziwą przyjemnością na przykład jechało się traktem bitym tak zwanym białostockim, mianowicie między Złotorią a Ostrowią (w guberni łomżyńskiej), gdzie na dziesięciomilowej przestrzeni ciągnęła się jedna piękna aleja z brzoź, topoli i wierzb, tym pięknych, że nigdy nieobcinanych”<sup>25</sup>. Innym razem Gloger zachwyca się dawnymi szlakami, pisząc: „niektóre trakty (...) zostały pięknie wysadzone drzewami w cztery rzędy i utworzyły prześliczne aleje, jak na przykład między innymi trakt białostocki, zwłaszcza na 11-milowej długości od Ostrowia do Złotori”. Niestety, to już przeszłość. W roku 1878 Gloger jechał już traktem białostockim, „(...) oglądając na całej przestrzeni wyżej wzmiankowanej wysokie zaniedbanie i niszczytelstwo wspaniałej alei”<sup>26</sup>. Powody były dwa: niezrozumiała i nielogiczna ekonomicznie działalność samej służby transportowej, która wycina drzewostan przydrożny na sprzedaż<sup>27</sup>, oraz przywara „(...) niszczytelstwa w naszym ludzie, który znajduje przyjemność w łamaniu i wrywaniu młodych drzewek przy drogach”. Co więcej, robili to mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy jakoby „(...) dawniej z obawy odpowiedzialności, żadnych uszkodzeń w drzewach nie dopuszczali się”<sup>28</sup>. Widać tu kolejny przykład zaobserwowanego przez Glogera upadku polskiego drogownictwa ostatniej już ćwierci XIX wieku.

Mając niezaprzeczną admirację dla drzew alejowych i owocowych, którymi wysadzano niegdyś polskie drogi, Gloger krytykuje jednak inne rozwiązania przyjęte przez dawne władze w aspekcie nasadzeniowym, w szczególności powszechne niegdyś przydrożne zasadzanie topoli kanadyjskiej, która „(...) zapuszczając korzenie swoje na przestrzeni dalszej niż wszystkie inne drzewa, ma przy tym własność nadmiernego wyjąławiania gleby urodzajnej”<sup>29</sup>. Swoją dezaprobatę posuwa w roku 1890 autor nawet dalej, żądając od

<sup>21</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego, 8 lutego*, „Gazeta Handlowa” 1874, nr 33, s. 2.

<sup>22</sup> W m. c. O koszarach drogowych i mieszkających tam dróżnikach por. M. Rutkowski, *Uwarunkowania funkcjonowania koszar drogowych, celbud i domów dróżniczych w Królestwie Polskim*, „Logistyka” 2014, nr 6, s. 73–75.

<sup>23</sup> Z. Gloger, *Z guberni łomżyńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 144, s. 2.

<sup>24</sup> W m. c.

<sup>25</sup> J. w.

<sup>26</sup> Z. Gloger, *Drogi bite*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 129, s. 1.

<sup>27</sup> Tenże, *Z guberni łomżyńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 144, s. 2.

<sup>28</sup> Tenże, *Drogi bite*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 129, s. 1; M. Rutkowski, *Zarządzenie logistyką w Królestwie Polskim. Infrastruktura przydrożna*, Białystok 2015, s. 109–114. Ta idylliczna wizja prostego ludu bojącego się wycinać drzewa przydrożne nie znajdowała niestety potwierdzenia w faktach, gdyż nie bez naglącej potrzeby wydano w tym względzie rozporządzenie Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych Duchownych i Oświecenia Publicznego z 5/17 października 1837 roku; nie pomagały też zapisy art. 306, 307 oraz 308 Kodeksu karnego Królestwa Polskiego. Tym mniej jeszcze było przestrzegane przez polski lud wydane 5 grudnia 1860 roku rozporządzenie Zarządu XIII Okręgu Komunikacji, dotyczące karania wycinania i uszkodzania drzewostanu przydrożnego.

<sup>29</sup> Z. Gloger, *Tykocin*, „Gazeta Warszawska” 1889, nr 343, s. 2; Instrukcja do zakładania i pielęgnowania ogrodów przy koszarach dróg bitych, tudzież użytkowania tychże i obsadzania dróg, 6/18 marca 1836 roku, Dyrekcja Komunikacji Lądowych i Wodnych. W rzeczywistości instrukcja ta wymieniała m.in. następujące zasady zakładania ogródków przydrożnych: u części

Towarzystwa Popierania Przemysłu i Hadlu: „(...) wyjednania u władzy rozporządzeń nakazujących służbie drogowej niezwłoczne usunięcie topoli kanadyjskich, a zastąpienie ich drzewkami mniej szkodliwych gatunków, jak na przykład lipa, klon, grab, jarząb, wierzba i tym podobne”<sup>30</sup>.

Inną kwestią i to o znaczeniu kluczowym dla rozwoju drogownictwa polskiego, a poruszaną przez Glogera, jest tzw. entreprzyż, czyli podejmowanie się wykonania zleceń rządowych przez prywatnych przedsiębiorców na zasadzie przetargu. Przede wszystkim Gloger fatalnie ocenia naprawy dróg dokonywane w drodze tej właśnie entreprzyż. Podaje on w roku 1872 na przykład: „drogę bitą szarwarkową, łączącą Tykocin z traktem warszawsko-białostockim, naprawiano przez entreprzyż. (...) Nie nastąpiło jednak wcale odbudowanie, tylko arcynieudana reperacja”<sup>31</sup>. Gloger obala też zarzut, iż „(...) rząd nie może sobie dać rady z koalicją przedsiębiorców” na skutek tego, że obywatele ziemscy „(...) nie biorą udziału w entreprzyżach”. Według autora, najlepszym przeciwdziałaniem przeciwko ewentualnej znowie kontrahentów drogowych byłoby bowiem „(...) podzielnie robót na drobne oddziały, na przykład naprawy dróg półmilowe lub milowe, a wtedy gdy licytacja dróg odbywać się będzie w gminie lub powiecie, to każda okolica dostarczy wielu przedsiębiorców”<sup>32</sup>. Jednocześnie przykład niewłaściwego postępowania „obcego” przedsiębiorcy został przez Glogera opisany w roku 1874. Pisząc wówczas o zbyt gorliwym przedsiębiorcy, który jesienią tego roku dostarczył na trakt białostocki – bez akceptacji petersburskiego ministerstwa transportu – znaczną ilość kamienia „do reparacji tej drogi”, Gloger wskazuje, iż przedsiębiorca ten otrzymał tylko zapłatę za część dostarczonego towaru, i dalej roztacza wynikające z tego fatalne konsekwencje dla podwykonawców<sup>33</sup>.

Odnosząc się do kwestii porządkowych na drogach, autor wspomina o drutowaniu świń jako o niezwykle pożytecznym przepisie, wprowadzonym „przed trzydziestu laty” i porzuconym „tylko przez zaniechanie”<sup>34</sup>. Nabiera on z czasem przekonania, iż „za czasów wzorowego utrzymania dróg bitych Zarząd Komunikacji (...) odwołał się do tych przepisów i było lat kilka, w których cała chlewnia w wioskach przydrożnych miała nosy opatrzone w ozdobę indyjską: kółka”. Uznaje jednak autor pełną nieskuteczność omawianego prawa. Notuje dalej z rezygnacją w tym samym 1875 roku: „przed paru laty wójtowie w gminach, przez które przechodzą drogi bite, mieli znowu zalecone sobie te przepisy, ale skończyło się na odczytaniu ich wobec właścian”. Gloger wyraża przy tym nadzieję, iż rolnicy zastosują się do tych wezwań nadchodzącej wiosny<sup>35</sup>.

---

ogrodu przeznaczoną do uprawy alejowych drzew wysokopiennych (tzw. część „a”) przewidywano nasadzenie sadzonek: topoli włoskich i kanadyjskich, lip, klonów, jesionów. W miejscu przeznaczonym na szkółkę drzew owocowych (obszar „c”) sadzono przede wszystkim tzw. „płonki”, przeznaczone do szczepienia i okulizowania, oraz siano różnorodne nasiona drzew owocowych. Warto zauważyć, iż istniało specjalne „prawo topolowe”. Było to wydane przez Zarządzającego Komunikacjami Lądowymi i Wodnymi w Królestwie generała-majora Teniszewa rozporządzenie o wysadzeniu przy drogach przede wszystkim topoli, a kasztanów i lip w dobrym jedynie gruncie, w miejscach zaś wilgotnych – wierzb, z 2/14 sierpnia 1844 roku, o numerze 6531.

<sup>30</sup> Z. Gloger, *Topole przy drogach*, „Gazeta Rolnicza” 1890, nr 2, s. 18–19.

<sup>31</sup> Tenże, *Z Tykocina, 9 lipca*, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 152, s. 2.

<sup>32</sup> Tenże, *Z Tykocina, 27 listopada*, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 269, s. 2. Gloger zdaje się jednak nie zauważać, iż problemy z entreprzyżą okazywały się w warunkach polskich prawie nierozwiązywalne, a stosowne prawa przetargowe z 28 maja 1833 roku, 15 września 1840 roku oraz 1 października 1864 roku nader często były obchodzone.

<sup>33</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego, 1 grudnia*, „Gazeta Handlowa”, nr 268, s. 2. O zamieszczeniu w kontraktach warunku, że przedsiębiorca zrzeka się wynagrodzenia za roboty wykonane na kosztorys bez upoważnienia por.: reskrypt Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Oświecenia Publicznego do Zarządu Komunikacji Lądowych i Wodnych, 20 lutego /4 marca 1839 roku, nr 1 143. Słuszny skądinąd logiczny wywód Glogera w pełni koincydował z treścią wskazanego rozporządzenia KRSWDiO-ŚP w kwestii braku konieczności opłaty za niezamówioną entreprzyż.

<sup>34</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 53, s. 2.

<sup>35</sup> Tenże, *Z okolic Zambrowa*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 66, s. 2. M. Rutkowski, *Przepisy porządkowe na drogach Królestwa Polskiego w epoce konstytucyjnej*, „Scientific Journal of Silesian University of Technology. Series Transport”, vol. 29 (2015), p. 141–154. Rozporządzenie wskazujące środki, jakimi zabezpieczać należy pola, łąki i drogi bite od uszkodzeń przez trzodę chlewną zarządzanych, Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji, pismo podpisane w zastępstwie ministra przez radcę stanu Staszica, 3 czerwca 1824 roku, nr 1 897/95; Rozporządzenie zastrzegające, że trzoda chlewna w miastach i wsiach drogami bitymi przyległymi ma być zaopatrzona w kółka z drutu przez nozdrze przeciagnione, a zarazem aby wzbroniono wypoczywania pędzonej trzody chlewnej na drogach i popasania jej obok dróg, Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji, pismo podpisane w zastępstwie ministra przydującego przez radcę stanu Koźmiana, 19 czerwca 1826 roku, nr 963/ 1292. Poza oczywistym rozprze-

Innym zdumiewającym, a opisanym przez Glogera, przykładem braku respektowania przez ludność północnego-wschodu Królestwa obowiązujących ustaw drogowych był proceder jeżdżenia po drogach wokół Tykocina saniami z krótkimi płozami, co powodowało, że „(...) wytwarza się na każdej mili może z tysięcy wybojów głębokich na stóp kilka, których powierzchnia przypomina fale wzburzonego morza, a jazda po nich z większym ciężarem zupełnie niemożliwa, z mniejszym jest także katuszą dla ludzi i koni. Im ruch gdzie większy, tym droga staje się okropniejszą”<sup>36</sup>.

Wreszcie odnosząc się Glogerowych rozważań o transporcie lądowym, nie możemy pominąć jeszcze jednej kwestii. Otóż wzbudza nieukrywany szacunek przynajmniej słowny opór Glogera wobec rozwiązania nawet na czasy znacznego regresu polskiego drogownictwa kuriozalnego. Autor oprotestował bowiem zaprojektowane w roku 1878 zwężenia i tak bardzo wąskiej jednej z lokalnych dróg bitych „o cztery stopy”. Zwężenie to miało polegać na przekopaniu kamieni stanowiących boczne krawężniki drogi (tzw. burty) z każdej jej strony o dwie stopy. Zastanawiał się tu nie bez racji, co się będzie działo na tak dramatycznie wąskim trakcie, kiedy „(...) droga zostanie zwężona do 20 stóp i po bokach ładownego frachtu będzie tylko po cztery stopy szosy do mijania?”. Gloger nie bez ironii dodawał jeszcze: „(...) nie zdarzyło nam się nigdy słyszeć o zwężaniu dróg bitych, już gotowych, z wielkim kosztem przez skarb ku wygodzie kraju pobudowanych”. Powoływał się przy tym autor na „paragraf 23 przepisów z roku 1822, ponowionych w roku 1860”, który „(...) pozwala ładownym wozom dochodzić do 12 stóp szerokości”<sup>37</sup>. Najwidoczniej publicysta nie był przygotowany mentalnie na tego typu degradacyjne działania w drogownictwie północno-wschodniego Królestwa Polskiego.

### *Transport wodny*

W odnoszących się do transportu wodnego tekstach Glogera najwięcej miejsca zajmują oczywiście Niemen, Narew i Bug, często Biebrza.

I tak, kwestie transportu niemeńskiego nie umknęły uwadze autora, począwszy od roku 1872. Już w tym czasie opisywał on pruskie statki parowe dopływające do Kowna i holujące tam baty i inne stateczki z ładunkami<sup>38</sup>. Bacznie obserwowany na przestrzeni lat, transport ten rozwijał się z punktu widzenia felietonisty całkiem dobrze. Tymczasem bowiem w roku 1893 na Niemnie pojawił się „(...) widok zaciętej i niesłychanej konkurencji w żegludze parowej pomiędzy towarzystwem miejscowym, posiadającym 6 parowców, i przybyłymi niedawno dwoma parowcami z Warszawy. Doszło do tego wreszcie, że z Kowna do pruskiej granicy, mil prawie kilkanaście, statki miejscowe przewożą pasażerów za 5 kop., a niedługo może będą obie kompanie wozić darmo i jeszcze wyrywać ich sobie wzajemnie”<sup>39</sup>.

---

niem społecznym widocznym z glogerowskich opisów, uderza swoisty optymizm pisarza, który zdaje się wierzyć w przyszłość (w ostatniej ćwierci XIX wieku) respektowanie przez chłopów rozporządzeń, rozpoczętych jeszcze poleceniami Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji z 3 czerwca 1824 oraz 19 czerwca 1826 roku, zgodnie z którymi już od połowy lat dwudziestych w teorii przynajmniej niezabezpieczone drucianymi kołkami świnie podlegały wystrzelaniu przez straż i rzemieślników drogowych.

<sup>36</sup> Tenże, *Spod Tykocina, 6 marca 1889 roku*, „Gazeta Warszawska” 1889, nr 61, s. 2. M. Rutkowski, *Przepisy porządkowe*. Postanowienie wzbraniające jazdy krótkimi saniami, zwanymi szłaje, na traktach i drogach, Rada Administracyjna, rozporządzenie podpisane przez feldmarszałka Iwana Paskiewicza, 28 lipca/ 9 sierpnia 1844 roku. Już zatem dnia 9 sierpnia 1844 roku Rada Administracyjna nakazała ostatecznie zaprzestania używania na traktach bitych Królestwa jazdy szłajami, czyli krótkimi saniami, począwszy od dnia 19 listopada /1 grudnia 1844 roku. Na pozostałych drogach krajowych zakaz taki wprowadzono z rocznym opóźnieniem, tj. od jesieni roku 1845.

<sup>37</sup> Tenże, *Drogi bite*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 129, s. 1. Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego, Wydział Komunikacji Lądowych i Wodnych, Warszawa 1866, t. II. Komunikacje lądowe, s. 275. Popelnia przy tym Gloger pewne zasadnicze przeoczenie, nie wspomina bowiem autor o przepisach dotyczących samej szerokości dróg, ustalonych jeszcze ostatecznie za czasów konstytucyjnego Królestwa Polskiego. Otóż zgodnie z nimi szerokość dróg głównych określono finalnie w dniu 19 kwietnia 1819 roku, wprowadzając tu standaryzację rządu 18 łokci, inaczej mówiąc: 36 stóp polskich, czy 34,016 stóp rosyjskich. Do tego dochodziło tzw. „darniowanie” szerokości 1 stopy z każdej strony drogi. W konsekwencji, począwszy od kwietnia 1819 roku, całkowita szerokość drogi głównej w Królestwie Polskim wynosiła 38 stóp polskich, czyli 35,9 stóp ruskich. Ta ostanía szerokość była traktowana następnie przez budowniczych dróg jako standardowa.

<sup>38</sup> Tenże, *Znad Niemna, w końcu czerwca*, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 143, s. 2; nr 144, s. 2.

<sup>39</sup> Tenże, *Z Mariampola*, „Kurier Codzienny” 1893, nr 232, s. 3.

Pisarz nie omieszkiał zwrócić uwagę na niemeńskie utrudnienia komunikacyjne, najczęściej związane z występowaniem na obszarze pomiędzy Kownem i Grodnem raf na- i podwodnych. Opisując dawniejsze zlikwidowanie komunikacji statków parowych Kowna z Grodnem z powodu kamieni rzecznych, podaje on: „takich raf (...) liczą niemeńscy żeglarze 25 (...). Są to na maleńką skalę dniewprowe porohy (...)”. Podaje też Gloger informację, iż przed kilkunasty laty w Petersburgu wydrukowano projekt usunięcia raf niemeńskich, oraz wspomina o poparciu lokalnego posesjonata – Wołłowicza dla tego projektu, który „(...) nie jest trudny do wykonania, trzeba tylko paru milionów złotych i wytrwałości”<sup>40</sup>.

W innym miejscu czytamy o niezwykle małym ruchu na Biebrzy stanowiącej część systemu kanałowego, z założenia mającego łączyć Wisłę z Morzem Bałtyckim, a przynajmniej z Niemnem. Z widocznym ubolewaniem autor stwierdza w 1882 roku: „przed zbudowaniem kolei ruch handlowy na tej drodze wodnej był większy, dziś stracił swoje znaczenie. Berlinki prawie nigdy już teraz tędy nie przepływają, a tylko raz na kilkanaście lat na dziwowisko okolicy zjawia się jakiś statek parowy”<sup>41</sup>.

Odnotowując możliwości oczyszczenia cieków wodnych, Gloger nie zapomina też nadmienić o idei istotnego projektu kanałowego w Królestwie Polskim. W 1892 roku wspomina bowiem, iż jest „(...) projektowany przez radcę Skarzyńskiego kanał trzymilowy od Zegrza do Pragi (...)”. Mówiąc przy tym o czasach prehistorycznych, Gloger zauważa, że nowy „(...) kanał byłby przywróceniem tylko starej komunikacji bezpośredniej między Bugiem i Narwią a Warszawą, niezmiernie ważnej pod względem handlowym zarówno dla Warszawy, jak okolic nadbużnych i nadnarwiańskich, a zwłaszcza dla guberni łomżyńskiej”<sup>42</sup>.

Pisząc o spławach niejednokrotnie, Gloger zauważa na Narwi i Bugu blokady tratw z drewnem. I tak, płynąc w roku 1875 Bugiem, widzi „pod wsią Kukurykami (...) wielkie nagromadzenie tratw, które zajmując całą szerokość rzeki, osiadły tu przed kilku dniami na mieliznach”. W kolejnym miejscu tego samego tekstu odnajdujemy passus o dużej ilości tratw, które osiadły „na mieliznach”. Innym razem Gloger odnosi się do sytuacji zastanej na Bugu: „koło Pratulina mijamy znowu kilkadziesiąt tratw osiadłych na haku (...)”<sup>43</sup>.

<sup>40</sup> Tenże, *Znad Niemna, w końcu czerwca*, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 143, s. 2; nr 144, s. 2. III RS 256/85–96. Tymczasem próba oczyszczenia Niemna z raf została zablokowana właśnie w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Wskazać tu można na wyrażone w roku 1862 zasadnicze zastrzeżenia, będącego już wówczas szefem Zarządu Komunikacji Lądowych i Wodnych w Królestwie generała-majora Kierbedzia. Inżynier i wojskowy ten mianowicie formalnie wówczas kwestionował (a jego głos był decydujący) celowość prowadzenia nawigacji m.in. szlakiem niemeńskim, wskazując jako jedną z przyczyn fakt, iż statki musiałyby pokonywać Niemen na odcinku od Grodna do Kowna, „gdzie występowały rafa”. Uznawał przy tym Kierbedź jeszcze w roku 1862 owe rafa za jedną z zasadniczych przyczyn uniemożliwiających faktyczne wybudowanie Kanału Windawskiego. A ponieważ kwestia była tyleż natury politycznej, co ekonomicznej, nie należało liczyć na jej dające się przewidzieć rozwiązanie.

<sup>41</sup> Tenże, *Nad Biebrzą*, „Kronika Rodzinna” 1882, nr 4, s. 112–116; nr 5, s. 144–147. Postanowienie zatwierdzające nową taryfę do poboru opłat za przepuszczenie statków i tratw przez służę Kanału Augustowskiego. Rada Administracyjna, 22 maja / 3 czerwca 1842 roku. Poza oczywistością utraty znaczenia Kanału Augustowskiego w dobie kolei żelaznej (którego utrzymanie zresztą praktycznie nigdy nie było opłacalne i zawsze przynosiło skarbowi Królestwa Polskiego wymierne straty), Gloger pomija jednak kwestię zasadniczą – a były nią wysokie opłaty spławne na tymże kanale, które skutecznie zmniejszały zyskowność samego spławu drewna tą trasą. Wystarczy tu wymienić i tak już ograniczającą pierwotnie bardzo wysoką (od marca 1840 roku) taryfę opłat spławnego na Kanale Augustowskim, która zaczęła obowiązywać jeszcze 6/18 czerwca 1842 roku, i jako taka pozostawała nadal w mocy w większej części interesującego nas okresu. Dziennik Urzędowy Guberni Augustowskiej, dodatek nadzwyczajny do nr 33 z 1/13 sierpnia 1859 roku, s. 618. Rząd Gubernialny Augustowski, Wydział Administracyjny, 28 lipca / 9 sierpnia 1859 roku, nr 47 782 / 1 119. Samo zaś zjawisko rzadkiego pojawiania się statków parowych na Biebrzy związane było raczej z problemem natury technicznej. Otóż jak się okazywało z reskryptu Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych z 13/25 lipca 1859 roku właściciele tratw i berlinek nie zwalniali parowcom wolnego przepływu na rzekach, w tym Biebrzy, oraz nie zostawiali żadnego miejsca dla przepłynięcia statków parowych. W konsekwencji władze guberni augustowskiej ostrzegały np. w dniu 9 sierpnia 1859 roku (pismem nr 47 782 / 1119), że wydały one polecenie miejscowym władzom wykonawczym, aby w wypadku zaobserwowania dalszego uporu ze strony właścicieli tratw, berlinek czy innych statków udzieliły one żegludze parowej pomocy prawnej „i zmuszały opornych do wykonywania przepisów”. Rozporządzenie to jednak było trudno egzekwowalne.

<sup>42</sup> Tenże, *Sprzedż kamieni i nowy kanał*, „Gazeta Warszawska” 1892, nr 66, s. 2–3. III RS 258/94–96. Pisząc o tak dawnych odniesieniach do budowy Kanału Zegrzyńskiego, felietonista nie wspomina jednak o dużo świeższych inicjatywach, bo z końca lat dwudziestych i początku lat sześćdziesiątych XIX wieku. Otóż propozycje budowy kanałów pomiędzy Zegrzem (Narwią) a Warszawą pojawiły się już w roku 1828, aby następnie zostać podjęte przez przedsiębiorcę Adolfa Kurtza w roku 1857.

<sup>43</sup> Tenże, *Dziennik podróży po Bugu*, „Kronika Rodzinna” 1875, nr 20, 23 i 24, s. 314–316, 365–366, 384–387. II RS 104/354–355. Przedstawiwszy malowniczy obraz Bugu jako swoistej „dzikiej rzeki”, Gloger nie wspomina jednak o rosyjsko-polskich projektach regulacji tego cieku wodnego z lat 1829–1836.

W jego kolejnym opisie z roku tym razem 1898 powiada on, iż „pod wsią Kukurykami spotkaliśmy mnóstwo tratw, które osiadłszy tu przed kilku dniami na mieliznach, z powodu nazbyt niskiego poziomu wody, zajmowały całą szerokość Bugu”<sup>44</sup>. Z kolei w 1892 roku autor wspomina o wyjątkowej sytuacji dotyczącej spławu na Narwi, gdy odnotowuje: „najstarsi ludzie nie pamiętają, aby kiedykolwiek spławiano po tej rzece tyle drzewa budulcowego, jak obecnie. Literalnie w wielu miejscach prawie cała powierzchnia modrych a przezroczystych fal narwianych pokrywa się potężnymi kłodami sosen, świerków, dębów, olch i brzoź z lasów guberni grodzieńskiej”<sup>45</sup>.

Jazy rozumie Gloger dość szeroko: „płoty, groble i gaty”<sup>46</sup>. Opis ich występowania jest zarazem przedstawieniem swoistego chaosu. Píše bowiem w roku 1875, iż „Bug w okolicach tutejszych srodze zanieczyszczony jest kamiennymi tamami, czyli groblami, stanowiącymi nieraz niebezpieczne przejście dla statków i tratw”<sup>47</sup>. Innym razem autor narzeka, iż: „(...) nie ulega wątpliwości, że odpływ (...) wód [Narwi] utrudniony jest także w wysokim stopniu przez kilka tysięcy jazów, czyli rybackich grobli, i tam haniebnie zanieczyszczających koryto Narwi”. Pyta Gloger retorycznie: „oprócz jazów nowszych i widocznych ileż jest pod wodą odwiecznych tego rodzaju zawałów?”<sup>48</sup>. Nie dziwi go jednak dotychczasowy brak usunięcia tych przeszkód, skoro stwierdza filozoficznie: „cóż dziwnego, że tych grobli nie burzono w wieku XVI, kiedy XIX nie lepiej się popisuje, zapominając o nich zupełnie. Ziemianie nie mieli czasu o tym pomyśleć, zajęci badaniem tajemnic zagranicznej dyplomacji i doskonaleniem dziatwy w paryskim akcencie”<sup>49</sup>. I ponownie w 1891 roku Gloger odnotowuje: „do zalewów nad Narwią przyczyniają się wielce tak zwane jazy, czyli groble i tamy rybackie, niezmiernie liczne, a haniebnie zanieczyszczające koryto i odnogi tej rzeki, począwszy od jej źródeł, aż do połączenia się z Biebrzą, czyli na długości mil mniej więcej 20-tu”<sup>50</sup>. Proponuje też Gloger czasowe chociażby rozwiązanie narastającego problemu, wnosząc, iż „byłoby rzeczą wielce pożądaną, aby ziemianie nadnarwiańscy nie pozwalali rybakom utrzymywać jazów przy brzegach dworskich i postarali się o dokładną niwelację koryta Narwi i jej doliny, co nie jest rzeczą tak kosztowną”<sup>51</sup>.

Pisząc o transporcie wodnym, nie możemy zapominać, iż mosty stanowiły stały punkt zainteresowania Glogera-publicyisty. Już w roku 1871 roku nadmienia stanowczo: „mieszkańcy Tykocina z niecierpliwością oczekują odbudowania mostów na Narwi, od lat kilkunastu grożących upadkiem, a łączących to miasto z okolicą zanarwiańską i z tego względu dla handlu i wygody wielce ważnych”<sup>52</sup>. Stan mostów tykocińskich nie przestaje być troską autora i w kolejnym roku 1872, kiedy donosi on, iż „(...) pod Tykocinem z dziewięciu mostów trzy nie istnieją od roku 1863, inne nienaprawianie od lat dawnych albo runęły w części, albo stanowią archeologiczne zabytki dawnego budownictwa”<sup>53</sup>. W kolejnym 1873 roku, pisząc o przeprawie pod Tykocinem, donosi: „a choć i prom dobry, to jeszcze jest za nim do przebycia 8 zgniłych

<sup>44</sup> Tenże, *Szlakiem Bugu*, „Tygodnik Polski. Pismo Społeczne, Literackie, Ilustrowane” 1898, nr 1, s. 6–7; nr 2, s. 7–28; nr 3, s. 47–48; nr 4, s. 65–67; nr 5, s. 97–98; nr 6, s. 107–108; nr 7, s. 137–138; nr 8, s. 151–152; nr 9, s. 171–172; nr 10, s. 191–192; nr 12, s. 249–251.

<sup>45</sup> Tenże, *Znad Narwi*, „Gazeta Warszawska” 1892, nr 162, s. 4.

<sup>46</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego, 13 kwietnia*, „Gazeta Handlowa” 1874, nr 84, s. 2–3.

<sup>47</sup> Tenże, *Dziennik podróży po Bugu*, „Kronika Rodzinna” 1875, nr 20, 23 i 24, s. 314–316, 365–366, 384–387.

<sup>48</sup> Tenże, *Znad Narwi, 1 maja 1888 roku*, „Gazeta Warszawska” 1888, nr 119, s. 3.

<sup>49</sup> Tenże, *Dziennik podróży po Bugu*, „Kronika Rodzinna” 1875, nr 20, 23 i 24, s. 314–316, 365–366, 384–387.

<sup>50</sup> Tenże, *Spod Tykocina*, „Gazeta Warszawska” 1891, nr 45, s. 2.

<sup>51</sup> Tenże, *Znad Narwi, 1 maja 1888 roku*, „Gazeta Warszawska” 1888, nr 119, s. 3. Rozporządzenie o usunięciu młynów pływaków uznanych za szkodliwe, Komisja Rządowa spraw Wewnętrznych Duchownych i Oświecenia Publicznego, dyrektor wydziału radca stanu Mateusz Lubowidzki do komisji wojewódzkich, 31 października 1835 roku, nr 9528/30035. Rozporządzenie ostrzegające, że bez zatwierdzonych planów nie wolno budować na rzekach młynów, jazów, sypać grobli itp., przedsięwziąć robót szkodliwych spławom, Zarząd Komunikacji Łądowych i Wodnych, głównie zarządzający komunikacjami generał-adiutant Józef Rautenstrauch, do rządów gubernialnych 12/24 października 1840 r, nr 299. Jak zatem widać, już np. 31 października 1835 roku Mateusz Lubowidzki (dyrektor wydziału w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych Duchownych i Oświecenia Publicznego) wydał rozporządzenie, gdzie domagał się bezwzględnego usunięcia z nurtu spławnych cieków wodnych wszystkich bez wyjątków jazów, służących do połowu ryb. Warto też zaznaczyć, iż zagadnienie utrudniania spławu poprzez nielegalną budowę m.in. młynów, jazów czy nawet grobli pojawiło się ponownie w gestii zainteresowania władz Królestwa w roku 1840. Wówczas to generał-adiutant Rautenstrauch wystosował do rządów gubernialnych Królestwa pismo, w którym przypominał o konieczności pozyskania zatwierdzenia planów budowlanych dla legalnego budowania na spławnych ciekach wodnych młynów czy jazów, jak też sypania grobli.

<sup>52</sup> Z. Gloger, *Z Tykocińskiego, 3 września*, „Gazeta Handlowa” 1871, nr 197, s. 3.

<sup>53</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego 30 stycznia*, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 28, s. 2.

i wywracających się mostów na odnogach Narwi, o których odbudowaniu nikt nie myśli (...)”<sup>54</sup>. Dalej Gloger podaje: „(...) mosty na Narwi pod Tykocinem od 20 lat nie są naprawiane, a te, które spalone zostały przed 10 laty, nieodbudowane”<sup>55</sup>. Aby przywołać nieco inny przykład frasunku nad mostami, podajemy, co autor spisał w roku 1874 o moście na trakcie białostockim, który to: „(...) most na Narwi i trakcie bitym pod wsią Złotorią przedstawia wielkie niebezpieczeństwo dla przejeżdżających, grożąc zawaleniem się co chwila od lat kilku”<sup>56</sup>. Nie widzi on jednocześnie rozwiązania problemu szybkiego odbudowania czy naprawy, praktycznie nienadających się do użytku mostów, bo przykładowa „gmina stelmachowska (...) otrzymała zawiadomienie od władzy gubernialnej łomżyńskiej, iż ma złożyć okrągłą sumę (...) na odbudowanie (...) lokalnego mostu”.

W tej sytuacji Gloger pragnie dowiedzieć się, jakie obowiązują przepisy o budowie i naprawie mostów na gruntach prywatnych<sup>57</sup>. Ta niepewność prawno-sytuacyjna daje się odczuć i w roku 1883, przy opisie groteskowej sytuacji z poborem opłaty za przeprawę wodną, pobieraną przez Izraelitę pod Tykocinem, gdzie funkcjonował „(...) lichej prom wypuszczany przez magistrat tykociński w dzierzawę”. Otóż zgodnie z opisem Glogera „dzierżawca tego promu targuje się z każdym podróżnym o przewóz (...). Wisi wprawdzie w pobliżu taryfa urzędowa cen przewozu, ale ci, którzy się na nią powołują, otrzymują zwykle nielogiczną odpowiedź. »To niech was taryfa przewiezie za taką cenę«”<sup>58</sup>. O nieistnieniu stałej taryfy przewozowej przez Narew pisał zresztą Gloger jeszcze w roku 1872, wskazując: „dziś z braku głównego mostu na Narwi starozakonni przewożą promem przez główne koryto i tyle za to każą płacić sobie, ile im się podoba, bo taryfy przewozowej przy promie wcale nie ma, a w nocy nie przewożą zupełnie”<sup>59</sup>. Autor nie kwestionuje jednak tego jawnego bezprawia<sup>60</sup>. Powyższe opisy dowolności w poborze opłat taryfowych za przewóz na Narwi zdają się kwintesencją ukazanego w tekstach Glogera stanu komunikacji wodnych Królestwa Polskiego.

### *Transport kolejowy*

Najbardziej plastycznie z zagadnień transportowych Gloger przedstawia kwestie kolejowe. Jest tu wszystko. Już sam problem krętych torów Kolei Brzesko-Grajewskiej budzi zrozumiałe zainteresowanie czytelnika. Po tym, jak przedłożony 3-4 lutego 1867 roku w petersburskim Komitecie Dróg Żelaznych projekt przedłużenia pruskiej drogi Piława – Lyck (Elk) przez Białystok do Brześcia został zaakceptowany<sup>61</sup>. Kolej ta jawi się już w Glogerowskiej wizji roku 1872 jako niezwykła, gdyż: „kraj nasz, a podobno i inne, nie posiadają drugiej tak kręto prowadzonej drogi żelaznej względnie do płaszczyzn, jakie przechodzi. Dla oszczędności w robotach najmniejsze pagórki są tu omijane (...)”<sup>62</sup>. Pisząc o ruchu towarowym i osobowym na Kolei Brzesko-Grajewskiej, publicysta w kolejnym roku 1873 nie omieszkał ponownie przypomnieć o jej niedogodnościach, zaznaczając, iż ta właśnie linia kolejowa „(...) niezmiernie krzywo jest prowadzoną, a wykonanie robót nie wytrzymuje żadnego porównania z drogą petersburską”<sup>63</sup>. Ów opis krzywizn toru kolei grajewskiej jest

<sup>54</sup> Tenże, *Tykocin*, 12 marca, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 60, s. 3.

<sup>55</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 12 kwietnia, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 86, s. 2.

<sup>56</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 13 września, „Gazeta Handlowa” 1874, nr 201, s. 2.

<sup>57</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 148, s. 1.

<sup>58</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, w czerwcu, „Gazeta Handlowa” 1883, nr 130, s. 2.

<sup>59</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego* 30 stycznia, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 28, s. 2.

<sup>60</sup> Postanowienie zawierające prawo zasadnicze opłat od przewozów [na rzekach], taryfę opłat, środki bezpieczeństwa, policję i szczegółowe urządzenia, preambuła. Rada Administracyjna, 21 lipca 1818 roku. Przepisy tej ustawy precyzowały opłaty przeprawowe w Królestwie Polskim. Na podstawie artykułu 18-go rzeczonoego prawa właściciele przepraw oraz sami przewoźnicy pod żadnym pozorem ani w jakichkolwiek okolicznościach nie mogli pobierać wyższych opłat przewozowych niż te, które zostały określone w oficjalnej, zatwierdzonej urzędowo taryfie. Za przekroczenie wysokości pobieranego myta groziła kara administracyjna w wysokości od 30 do 60 złp. Przy stwierdzonej recydywie winnych można było traktować jako „przestępców dopuszczających się oszustwa”.

<sup>61</sup> RGIA, f 207, op. 3, d 208, s. 1–92.

<sup>62</sup> Z. Gloger, *Z Grodzieńskiego*, 29 października, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 244, s. 2.

<sup>63</sup> Tenże, *Z Białostockiego*, 10 października, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 232, s. 2.



jakby kolejną swoistą alegorią upadku jakości sieci transportowej Królestwa, a szczególnie jego północno-wschodnich przyległości<sup>64</sup>.

Nie omija też autor przy opisie prac kolejowych jawnej plagi czasów mu współczesnych – łapówkarstwa. Oddalenie dworca goniądzkiego od samej miejscowości tłumaczy przecież tym, iż „inżynierowie kompanii zagranicznej, wytykając kierunek tej linii i miejsce stacji, zażądali pewnych ofiar od Goniądza za to, żeby miejsce stacji nazaczyli pod miastem, a że tych ofiar ubodzy mieszkańcy dać nie chcieli, więc stację Goniądz zbudowano o wiorst pięć”. Podchodzi jednak do patologii z odczuwalnym dystansem. Podobnie i chłód dziennikarski daje się odczuć przy opisie negatywnego wpływu „najazdu” licznych pracowników na spokojną dotychczas goniądzką okolicę, gdzie „pod względem materialnym okolica tymczasowo skorzystała, ale za to szwankuje na moralnym, bo robotnicy, przybyli ze stron dalekich, odznaczają się nalogiem pijaństwa i kradzieży. A zaczynają się już i zbrodnie wydarzać”<sup>65</sup>. Być może w niewielkim chociaż stopniu fatalizm opisu daje się zrównoważyć spodziewanymi zyskami, jakie Gloger widzi w rozwoju połączeń kolejowych. Na przykład: podając w roku 1872 informację o przewidzianym otwarciu Kolei Brzesko-Grajewskiej, donosi on: „w każdym razie kolej grajewska, znakomite dla Białegostoku wyświadczy przysługi. Odległość do Królewca zmniejszy się przeszło o połowę drogi (...)”<sup>66</sup>. Można takie właśnie intencje wyczytać też w opisie otwarcia tejże Kolei Brzesko-Gajewskiej w dniu 8 sierpnia 1873 roku, gdzie tę pozytywną informację twórca łączy z adnotacją, iż lina ta została oddana do użytku „po usunięciu rozmaitych przeszkód i zarzutów robionych jej budowie i po naprawieniu rzeczy uszkodzonych (...)”<sup>67</sup>.

Te nadzieje wiążą się z marzeniami. Wiele bowiem Gloger sobie obiecywał po zupełnie niesprawdzonych na wstępnym etapie informacjach o budowie kolei łomżyńskiej. Już w roku 1878 donosił przecież: „dochodzą nas pogłoski, iż sąsiadująca z naszą okolicą łomżyńska otrzyma nową drogę żelazną, która łączy Czyżew (...) z Łomżą. Ma to być droga idąca w dalszym kierunku, ale w każdym razie dla Łomżyńskiego i Łomży bardzo ważna (...)”<sup>68</sup>. W dziesięć lat później znowu Gloger opiera się w tym względzie na niepotwierdzonych informacjach, gdy w roku 1888 podaje: „Powtarzamy też tutaj pogłoskę o projekcie tej nowej drogi [kolejowej] z Białegostoku do Łomży (...). Tym sposobem i okolice łomżyńskie, dotąd kolei nieposiadające (...), pozyskałyby pożądaną drogę żelazną”<sup>69</sup>. Jakkolwiek też w roku 1891 może napisać: „budowa drogi żelaznej z Łap w okolice Łomży i Ostrołęki została już rozpoczęta”<sup>70</sup>, to jeszcze w artykule tej samej daty rocznej nasz autor przedstawia dane – jakby z brakiem wiary – o budowie trakcji kolejowej do Łomży i dalej do Ostrołęki, „(...) której linię w roku ubiegłym zbadano i wytknięto z Białegostoku przez okolice Tykocina (...)”. Według jego informacji, stały tam wówczas jedynie „(...) wiechy, czyli tyczki z pozawieszanymi na nich chustkami od nosa, które pod wpływem kurzu i deszczu zamieniły się na onuczki, ale ani panów inżynierów, ani taczek, łopat i roboczego mrowia kopaczów nie widać”<sup>71</sup>.

W tekście z kolejnego roku 1892 dowiadujemy się już jednak więcej szczegółów dotyczących budowy tej linii kolejowej. Poza informacją o zatrudnianiu do budowy tej trasy robotników z terenu Rosji centralnej czytamy wówczas o tym, że: „mosty tej drogi budują się drewniane i budynki kolejowe także (...)”<sup>72</sup>.

<sup>64</sup> Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, zespół Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego (RA) 27/358–359. Przecież gdy na podstawie decyzji Rady Administracyjnej z 19 listopada 1832 roku budowano trakt białostocki (z Modlina do Złotorii i Białegostoku), droga ta okazała się najprościej wyprowadzoną z możliwych. Tenże, *Zza Wisły*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 259, s. 1–2. Pamięć dawnej świetności wykonawczej jest tym bardziej niewygodna, gdy w felietonach porównywano jakość budowania „dawniejszych” nasypów drogowych z „późniejszymi” kolejowymi. Porównując w roku 1877 sposób sypania nasypu na grobli kolejowej „wprost na trzęsawiska, tj. na grunt ruchomy, który zawsze zachowuje szkodliwą sprężystość (...)”, autor wpisu nie bez zadumy podaje, że: „(...) na przykład przy budowie traktu białostockiego w roku 1832 (...) usunięto na przestrzeni paryset sążni sześć stóp grubą warstwę torfu, aby nasyp szosowy oprzeć na gruncie nieruchomym”.

<sup>65</sup> Tenże, *Z Goniądza*, „Gazeta Warszawska” 1882, nr 244, s. 2.

<sup>66</sup> Z. Gloger, *Z Białostockiego*, 11 lipca, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 153.

<sup>67</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 11 sierpnia, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 182, s. 2.

<sup>68</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, d. 27 lutego, „Gazeta Handlowa” 1878, nr 54, s. 2.

<sup>69</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1888, nr 341, s. 3.

<sup>70</sup> Tenże, *Z guberni łomżyńskiej*, „Gazeta Rolnicza” 1891, nr 50, s. 3.

<sup>71</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1891, nr 149, s. 2.

<sup>72</sup> Tenże, *Znad Narwi*, „Gazeta Warszawska” 1892, nr 162, s. 4. Kolej łączącą Łapy z Ostrołęką oddano ostatecznie do użytku w roku 1893.

To ostatnie zagadnienie z opisanych tu kwestii drogowych zajmujących Glogera jest jakby zwieńczeniem jego wysiłków i dociekań w zakresie zwracania uwagi na konieczność polepszenia stanu lokalnego transportu. Pełen dobrej woli, ale i niejednokrotnie przy niedoborach fachowej wiedzy (co nie jest w żadnym razie zarzutem), przedstawiał on w swoich pismach stan zastany, ale często nierozpoznany co do zarówno przyczyn, jak i możliwości jego zmiany<sup>73</sup>.

### *Wystawy rolniczo-przemysłowe*

Wystawy rolniczo-przemysłowe cieszyły się, przynajmniej przez pewien czas, sporym zainteresowaniem Glogera. Czy były to ekshibicje w Retowie czy Szawlach na Żmudzi, czy też pokazy warszawskie, przynosiły one wiele istotnych obserwacji<sup>74</sup>. Szczególnie, że „(...) o ważności i potrzebie prowincjonalnych wystaw rolniczo-przemysłowych (...)” każdy „(...) jest tak głęboko przekonany, że ani ich celu pochwałać, ani pożytku dowodzić (...) nie będziemy”<sup>75</sup>. Byłyby zatem owe wystawy prezentujące osiągnięcia rolnicze i przemysłowe, ich organizacja i samo przeprowadzenie czymś dla współczesnych oczywiście ważnym i potrzebnym. W porównaniu do mokotowskiej wystawy warszawskiej „przedstawienia” żmudzkie miały też i walor *stricte* „cywilizacyjny”. Może nie tyle zresztą wystawa szawelska, ile retowska, jako służąca okolicom nadbałtyckiego interioru, „(...) pozbawionym dróg żelaznych i bliższej łączności ze światem nowoczesnej kultury i przemysłu”<sup>76</sup>.

Opisując poszczególne wystawy, nie omieszkał przy okazji Gloger wypomnieć wielkiej własności ziemskiej jej obowiązków, gdyż na jej przedstawicielach właśnie miały ciążyć „(...) obowiązki dla kraju, rosnące w stosunku posiadanej inteligencji, posiadanych środków i posiadanych przestrzeni (...)”. Miały to być swoiste moralne „obligacje”, których „(...) nieuznawanie lub niewypełnianie usuwa grunt spod nóg i prawo bytu, cały ciężar zwała na słabszych, rodzi szkodliwe, kastowe w sferach społecznych rozdwojenie i sprowadza chroniczny rozstrój w organizmie ekonomicznym, czyli w gospodarstwie narodowym”<sup>77</sup>. Doskonale – jak to przedstawia Gloger – ten wykaz realizowanych nakazów moralnych (i patriotycznych) pasuje do gospodarującej w Retowie rodziny Ogińskich, która wykonywała „(...) arcygorliwą, mozolną, serdeczną pracę (...)”, posiadając przy tym „(...) złote chęci i doniosłe zasługi”<sup>78</sup>. Pięknie współgra z tą charakterystyką opis spotkanego przez Glogera u bramy wjazdowej przed pałacem retowskim zwierza, który w duszy znawcy kultury polskiej jawił się jako symbol przeszłości kraju. Pisał Gloger przecież: „(...) przez bramę przybraną w wieńce z zieleni wchodzimy na arenę prowincjonalnej wystawy rolniczo-przemysłowej. Na wstępie uderza nas wielki niedźwiedź, uwiązany na łańcuchu, dziwnie rozpieszczony i przyjacielski, a przypominający zarazem, że ten król lasów litewskich, dziś na Żmudzi już zaginiony, jest herbem Księstwa Żmudzkiego, a także i miasta Retowa”<sup>79</sup>. Dodajmy tylko, iż tańczące niedźwiedzie żmudzkie przez bardzo długi okres czasu kojarzyły się nie tyle z samym Księstwem Żmudzkiem, ile raczej z równie słynną jak one Akademią Smorgońską<sup>80</sup>. Nawiązanie to wydaje się oczywiste, szczególnie, gdy uświadomimy sobie zasadniczy cel obrazującej postęp naukowy w rolnictwie i przemyśle wystawy.

<sup>73</sup> RGIA, f. 207, op. 3, d. 205, s. 1–108. Wiele zresztą było pomysłów – co niejako usprawiedliwia Glogera w jego domniemaniach – budowy kolei na obszarze będącym domeną jego zainteresowań. Już chociażby w 12/22 lipca 1867 roku (24 lipca / 3 sierpnia) 1867 roku petersburski Komitet Dróg Żelaznych rozpatrywał m.in. projekt budowy kolei pińsko-białostockiej.

<sup>74</sup> Z. Gloger, *Trzecia wystawa przemysłowa w Szawlach*, „Kronika Rodzinna” 1879, nr 20, s. 621–623.

<sup>75</sup> Tenże, *Wystawa rolnicza w Retowie (dnia 10–13 października r. b.)*, „Kłosa” 1878, tom XXVII, nr 696, s. 278–279; nr 697, s. 304.

<sup>76</sup> W m. c.

<sup>77</sup> J. w.

<sup>78</sup> Z. Gloger, *Wystawa rolnicza w Retowie (dnia 10–13 października r. b.)*, „Kłosa” 1878, tom XXVII, nr 696, s. 278–279; nr 697, s. 304. <http://www.kresy.pl/kresopedia.postacie?zobacz/michal-kleofas-oginski> [dostęp: 22 luty 2017 rok]. Należy pamiętać, iż chodziło tu o tych Ogińskich, mających za przodka Michała Kleofasa – jakże znanego polityka i obywatela, wsławionego polonezami i wybuchami gorliwego patriotyzmu, ale i podpisującym traktatów cesyjnych drugiego rozbioru Rzeczypospolitej.

<sup>79</sup> Z. Gloger, *Z wystawy retowskiej, d. 13 października*, „Kronika Rodzinna” 1878, nr 21, s. 661–668.

<sup>80</sup> *Polska, jej dzieje i kultura*, T. II, s. 209. Tu czytamy: „Poseł angielski w Polsce, Woodward, kpił ze stanu oświaty w Polsce, mówiąc, że najlepsza jest akademія smorgońska na Litwie, gdzie ćwiczą niedźwiedzie w tańcach”.

Nieco inaczej jednak wygląda sytuacja gospodarującego w Szawłach księcia Zubowa, nie tylko patrząc na jego linię heraldyczną, ale i na oczywiście prorosyjski wydzźwięk proponowanego przez tego najezdniczego pokroju arystokratę wystroju lokalnej wystawy. Nie może przecież dziwić, iż potomek wdzięcznego nabywcy z rąk samej Katarzyny II dóbr skonfiskowanych po rozbiorach Rzeczypospolitej doprowadził w roku 1876 do tego, iż „obszerne i schludne budynki przybrano zewnątrz w liczne trójbarwne flagi dwóch rodzajów (...)”<sup>81</sup>, przez co narrator rozumie oczywiście biało-niebiesko-czerwone państwowe kolory rosyjskie, i tę drugą flagę Imperium Rosyjskiego: czarno-żółto-białą, stosowaną w owym czasie w aleksandrowskiej Rosji do „uroczystości”. Do tego jeszcze na zubowskiej wystawie odwiedzającym przygrywały dwie orkiestry: „(...) jedna wojskowa austriacka na głównym dziedzińcu wśród machin, a druga ze starozakonnych artystów złożona, [które] (...) od czasu do czasu napełniały rolniczo-przemysłową atmosferę dźwiękami marszów i hejnałów”. Obraz tego symbolicznego oddania dla (jakkolwiek rozumianego) „kraju” szawelskiego księcia Zubowa doskonale uzupełnia i zamyka zarazem przedstawienie „(...) wielkiej bramy wjazdowej w wieńce z dębowych liści”<sup>82</sup>. Zaiste, nie mogło być niewiadome odwiedzającym, czyje zwycięstwo owe laury uwidaczniają: czy chodziło tu o przedstawienie tryumfu ludzkiego ducha, czy raczej bardziej nawiązywano do symboliki zwycięskich – nad „krajowcami” – carskich flag. Tak czy inaczej, i tak wystawa szawelska, jakkolwiek „(...) w porównaniu do prowincjonalnych wystaw zagranicznych i zeszłorocznej w Warszawie mogła się wydać dość ubogą (...)”, miała ogromne pozytywne znaczenie w kraju, gdzie „(...) były takie okoliczności, które osłabiają słabe organizmy społeczne”<sup>83</sup>.

Wreszcie i cel rolniczej wystawy mokotowsko-warszawskiej wydaje się dla Glogera oczywisty. Według niego, „(...) dyrekcja dzisiejsza [wyścigów konnych na Służewcu] ma niepospolitą zasługę, bo po czterdziestu latach mało pożytecznych wyścigów wyjednała staraniami swymi najpomysłniejszy i wiele obiecujący dla rolnictwa zwrot wystawowy”<sup>84</sup>. I tak, paskiewiczowski pomysł na odciążenie Polaków od poważnych spraw kraju poprzez zajęcie mieszkańców stolicy państwa hazardem miał zostać obrócony ku pożytkowi krajowego rolnictwa. Opis warunków prowadzenia tej ekshibycji „zwierząt na Placu Ujazdowskim” odsłania, o dziwo, pewien glogerowski brak iluzji. Podaje on przecież: „trzeba wiedzieć, że dyrekcja wyścigów na urządzenie wystawy ponosi znaczne koszta. (...) Koszta te pokryć się muszą z biletów wejścia publiczności – inaczej wystawa byłaby niemożliwą. A publiczność tłumnie napływa tylko wtedy, gdy się spodziewa zobaczyć jakąś hecę. Dyrekcja więc, żeby nie zbankrutować i zapewnić byt wystawie w roku następnym, musi z konieczności łamać sobie głowę nad urządzeniem wabików cyrkowych i trzeba jej to wybaczyć”<sup>85</sup>. Przy zrozumieniu dla opisanych zabiegów socjotechnicznych z jawną krytyką spotyka się niepotrzebne na wystawie rolniczej rozpowszechnienie języka obcego, który zostaje nazwany przez obserwatora „pajacerią”. Była zaś nią rzecz „(...) tak pospolitą na bruku warszawskim, że nie ściąga na wystawę nikogo, a nawet niektórych odstręcza. Każdy czytelnik odgadnie, że mamy na myśli panującą tam francuszczyznę”<sup>86</sup>. No cóż, można było i polską agrokulturę sławić w Warszawie – bez glogerowskiego błogosławieństwa – w języku ważnych dla Polaków XIX wieku nadsekwańskich przyjaciół. Z tym, że Gloger nie podaje na przykład, w jakim języku książę Zubow zagadywał swoich gości w udostępnionych w celach wystawowych budynkach swego majątku w Szawłach.

Kwestia doboru eksperckich władz wystawowych zaprzętała publicystę o tyle, o ile można ją było odnieść bardziej do swoistej kroniki towarzyskiej niż do mechanicznego opisu administracyjno-strukturalnego<sup>87</sup>, chyba że chodziło o istotną kwestię ocenną samej jakości rozsądzania. I tak, z nieukrywanym oburzeniem krytykował felietonista ostatecznie negatywny rezultat starań polskiej części jury przy próbie wręczenia złotego medalu ministerialnego dla „arcykiewanego, poważnego i nowego (...)” przedstawienia „(...) piskykultury (...) w jej najciekawszych gałęziach”<sup>88</sup>. Wbrew jednak temu, co mogłby sądzić schematycznie

<sup>81</sup> Z. Gloger, *Wystawa rolnicza w Szawłach*, „Kłosy” 1876, nr 588–589, t. XXIII, s. 215–218 oraz 230–231.

<sup>82</sup> Tamże.

<sup>83</sup> Z. Gloger, *Ze Żmujdzi, we wrześniu*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 216, s. 3.

<sup>84</sup> Tenże, *Kilka słów o wystawie zwierząt w Warszawie*, „Kłosy” 1881, nr 834, s. 391.

<sup>85</sup> W m. c.

<sup>86</sup> J. w.

<sup>87</sup> Z. Gloger, *Trzecia wystawa przemysłowo-rolnicza w Szawłach*, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 212, s. 1-2.

<sup>88</sup> Tenże, *Szawle na Żmujdzi, 15 września 1876 roku*, „Biblioteka Warszawska”, T. IV, s. 166–170.

myślący czytelnik, opisane zadrażnienia nie dotyczyły jakiegokolwiek konfliktu polsko-rosyjskiego (gdyż zachowawcza autocenzura zapewne nie dozwalałaby autorowi na powyższe), ale Gloger pozwolił sobie jedynie na opisanie zadrażnień pomiędzy żmudzkiimi Polakami a kurlandzkimi Niemcami<sup>89</sup>. I przy przedstawianiu trzeciej już wystawy rolniczo-przemysłowej w Szawlach z 1879 roku publicysta ponownie pozwolił sobie na wyrażenie ogólnie merytorycznie negatywnej opinii o jurorach, pisząc: „Eksperci spełniali swoje zadanie w wielu razach zbyt pobieżnie i powierzchownie, nie żądając od wystawców prawie żadnych objaśnień lub cyfr. Przede wszystkim nagradzano znane firmy, a czasami osobliwości pojedyncze, wyskoki natury”<sup>90</sup>. Nie jest zatem pisarz bynajmniej łagodny w opisie poczynań decydentów w zakresie przydzielania nagród wystawowych.

Krytykuje też wolny transport towarów nadsyłanych koleją na opisywane przez siebie wystawy. Pełne oburzenia są jego konstatacje, z których wynika na przykład, iż „(...) 500 pudów narzędzi i machin amerykańskich, wyprawionych przez firmę Muszyńskiego z Warszawy, Kolej Petersburska i Libawska wiozły półtora tygodnia, to jest prawie tyle czasu, ile maszyny te potrzebują dla dostania się z Ameryki do Europy”. Następnie dodaje: „Kilkanaście wozów wysłanych z Retowa 14 mil do stacji Prekuln na transport długo oczekiwały i dopiero w dniu ostatnim wystawy maszyny mogły być rozpakowane na jej placu”. Za takie opóźnienia w dostawie towarów ekspozycyjnych Gloger jednak w zasadzie rosyjskich kolei nie wini, uważając je za swoisty standard. Donosił na przykład o jednym z wystawców, iż najwidoczniej nie wiedział on, „(...) że podobny los spotyka prawie wszystkie transporty na kolejach w Cesarstwie”. Podawał na przyszłość sposób na obejście problemu, wskazując: „radzilibyśmy też fabrykom warszawskim, jeżeli mają zamiar wysłać co na przyszłoroczną wrześniową wystawę do Szawel, aby już teraz o wysyłce pomyślały”<sup>91</sup>.

Chwaląc generalnie propagowanie idei wystawowych, odnosi się też autor do lokalnej mentalności, wskazując, iż „Żmujdzini i Litwini są praktyczni. Chociaż nie brak tam ludzi majątnych, to jednak żaden z wystawców nie pokusił się o zbyt kowny pawilon, każdy wolał korzystać z widnych i chędogo wybielonych koszar. Pawilony zostawiono wielkim wystawom i wielkim miastom. W Szawlach, gdzie się zbierają sami prawie znajomi, zakrawałyby one na blagę”<sup>92</sup>. W innym miejscu oddaje on sprawiedliwość lokalnemu społeczeństwu żmudzkiemu, a szczególnie jego wysokim normom moralnym, gdy zauważa, że pomimo „(...) małej ilości dozorców, a wielkiego mnóstwa drobnych przedmiotów wystawowych i łechcących podniebienie produktów, nic przez ciąg wystawy nie ubyło”. Stwierdza zatem Gloger z widocznym zadowoleniem: „okazuje się, że stara poczciwość nie wygasła jeszcze wśród religijnego ludu Żmujdzi”<sup>93</sup>. Zresztą wystawy żmudzkie miały „publiczność przeważnie z ludu złożoną”<sup>94</sup>. Gloger zwracając uwagę, iż odwiedzający musieli oczywiście płacić za bilety wstępu, wskazuje jednocześnie – przynajmniej w wypadku wystawy szawelskiej – na pewną niekonsekwencję postępowania organizatorów ekshibicji. Zatem podczas gdy jeszcze w roku 1875 opłaty za wejście były tu ustawione stosunkowo rozsądnie (tj. po 30 kopiejek w dwu pierwszych dniach, a w dniu trzecim po 50 kopiejek)<sup>95</sup>, to już w roku 1878 nastąpił w Szawlach ogromny wzrost ich ceny. Stąd z oburzeniem stwierdza wówczas reporter: „czego pochwalić nie możemy, to tego, że bilety wejścia były dla klasy uboższej za drogie i na niedzielę, kiedy ludność okoliczna mogła przybyć, nieznizzone. W sobotę i niedzielę wejście kosztowało rubla! W poniedziałek połowę tej ceny, a dopiero we wtorek – 25 kop”. W konsekwencji felietonista uznaje, iż w Szawlach hrabiego Zubowa „(...) cel wystawy został w połowie spaczony”<sup>96</sup>. Co zaś do samych wystawców, Gloger niejednokrotnie narzeka na stosunkowo mały udział w wystawach kobiet<sup>97</sup>, krytykując też niewielkie zainteresowanie wystawami żmudzkiimi

<sup>89</sup> Tenże, *Szawle na Żmujdzi, 15 września 1876 roku*, „Biblioteka Warszawska”, T. IV, s. 166–170. Tenże, *Z wystawy szawelskiej we wrześniu 1876 roku*, „Kronika Rodzinna” 1976, nr 19, s. 297–298.

<sup>90</sup> Tenże, *Trzecia wystawa rolniczo-przemysłowa w Szawlach*, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 215, s. 2; nr 216, s. 1–2.

<sup>91</sup> Z. Gloger, *Wystawa rolnicza w Retowie*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 245, s. 1–2.

<sup>92</sup> Tenże, *Trzecia wystawa przemysłowo-rolnicza w Szawlach*, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 212, s. 1–2.

<sup>93</sup> Tenże, *Trzecia wystawa przemysłowo-rolnicza w Szawlach*, „Kronika Rodzinna” 1879, nr 20, s. 621–623.

<sup>94</sup> Tenże, *Wystawa rolnicza w Retowie*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 245, s. 1–2.

<sup>95</sup> Tenże, *Wystawa rolnicza w Szawlach*, „Kłosa” 1875, nr 534–535, t. XXI, s. 208 oraz 219–220.

<sup>96</sup> Tenże, *Trzecia wystawa przemysłowo-rolnicza w Szawlach*, „Kłosa” 1879, nr 746, tom XXIX, s. 242–243.

<sup>97</sup> Tenże, *Z wystawy retowskiej, d. 13 października*, „Kronika Rodzinna” 1878, nr 21, s. 661–668; tenże, *Z wystawy szawelskiej we wrześniu 1876 roku*, „Kronika Rodzinna” 1976, nr 19, s. 297–298.

ze strony producentów ze stolicy, a nawet Instytutu Agronomicznego w Puławach<sup>98</sup>. O samej zaś wystawie mokotowskiej oznajmia: „pomiędzy wystawcami koni było tylko trzech włościan”<sup>99</sup>.

Wreszcie nie bez właściwej sobie trafnej konkluzji Gloger zauważa w roku 1878: „czym są dzisiaj kongresy naukowe dla nauki i uczonych, tym wystawy rolnicze dla rolnictwa i rolników. Że zaś rolnictwo jest tylko gałęzią ogólnego przemysłu, wystawy więc rolnicze nie ograniczają się zazwyczaj na samych płodach roli, ale służą zarazem i dla innych połączonych z rolnictwem gałęzi przemysłu, więc dla pszczelnictwa, rybactwa, fabrykacji machin, tkanin itd.”<sup>100</sup>.

Gwoli ścisłości trzeba dodać, iż nie tylko wystawy przemysłowo-rolnicze z obszaru guberni kowieńskiej (czy też stołeczne) zwracały jego uwagę. Otóż i znacznie późniejsza lubelska ekshibicja została przez niego dokładnie opisana w roku 1901. Relacja ta zdumiewa wręcz swoim zachwytem, jako że Gloger podawał wówczas: „ani za lat dawniejszych, ani w czasach ostatnich podobnie świetnie zorganizowanej, ani tak umiejętnie charakteryzującej wytwórczość [wystawy] nie było”. I jeszcze dodaje: „porządek wzorowy. Staranność o wygodę przybyłych na każdym kroku, uprzejmość i gościnność staropolska (...)”. Efekt też przechodzić musiał oczekiwania, co znajdowało swoje odzwierciedlenie między innymi w tym, że „(...) frekwencja dzienna dosięga przeciętnie 4 tysięcy”<sup>101</sup>.

Niekwestionowane zainteresowanie Glogera tematyką wystaw przemysłowo-rolniczych można najpewniej powiązać tak z jego naturalnymi cechami ciekawego świata umysłu, jak i z silną potrzebą poszukiwania remedium na zagarniające niekiedy horyzont myślowy współczesnych przeszkody i utrudnienia rozwoju gospodarczego.

### *Kradzieże i bandytyzm*

Stałym motywem artykułów były (wiejskie) kradzieże. Napisany jeszcze w roku 1873 tekst podaje: „kradzieże i rozboje w guberni naszej nie ustają, łotry wszelkiego rodzaju uorganizowani są znamienicie, a o wypadkach pochwycenia ich w ręce sprawiedliwości dotąd nie dało się słyszeć”. Wylaniający się z powyższej konstatacji przerażający obraz pełnej nieskuteczności lokalnych władz policyjnych jest w pewnym przynajmniej stopniu jakby rozmyślnie łagodzony przez brak przypisania złodziejom cech *stricte* rozbójniczych. Przecież „są to raczej złodzieje niż zbrodniarze, którzy nie chcąc zbyt jątrzyć czujności policji, rzadko targają się na życie ludzi, ale za to co dzień na ich konie, rzeczy i pieniądze”<sup>102</sup>. Podobnie i w roku 1881 pióro Glogera skrzypi przeraźliwie: „rozboje, napady, grabieże i różnego rodzaju kradzieże, które dawniej do rzadkości należały, od lat kilku zatrwajająco wzrastają w liczbę”<sup>103</sup>. Ta groźna plaga jest wszechobecna, a jej najbardziej znaczące przejawy bynajmniej się nie znajdują na Podlasiu czy w Ziemi Łomżyńskiej, gdy weźmiemy na przykład pod uwagę wieści „(...) o odkryciu w Radomskim bandy zajmującej się kradzieżą koni, a złożonej z 200 osób (...)”. Informacja ta nie jest dla autora analizowanych tekstów szokująca ani nawet zadziwiająca, gdyż Królestwo Polskie ostatniej ćwierci XIX wieku to kraj, który „(...) jak długi i szeroki ma stale uorganizowane złodziejstwo koni, posiadające swoją hierarchię i swoje ustawy. W każdej okolicy jest miasteczko będące siedliskiem głównych złodziei końskich, są trakty złodziejskie i karczmy będące stacjami złodziei”. Podobieństwo do organizacji mafijnej czy typu *camorra* przywołuje nawet i to, iż „głównych złodziei znają wszyscy okoliczni mieszkańcy”. Dodajmy: znają, ale policji nie wydają<sup>104</sup>.

<sup>98</sup> Tenże, *Wystawa rolnicza w Szawłach*, „Kłosy” 1876, nr 588–589, t. XXIII, s. 215–218 oraz 230–231.

<sup>99</sup> Tenże, *Kilka słów o wystawie zwierząt w Warszawie*, „Kłosy” 1881, nr 834, s. 391.

<sup>100</sup> Tenże, *Wystawa rolnicza w Retowie*, „Gazeta Warszawska” 1878, nr 245, s. 1–2.

<sup>101</sup> Z. Gloger, *Wystawa lubelska*, „Kraj” 1901, nr 25, s. 23. Nie ma co się dziwić takiemu stanowisku – w czasach Glogera nie obowiązywała współczesna klasyfikacja działów gospodarki narodowej. Dziwi jednak trochę pominięcie przez pisarza – z pewnością mu znanej – klasyfikacji niemieckiej szkoły historycznej, jeszcze z pierwszej połowy XIX wieku.

<sup>102</sup> Tenże, *Z Grodzieńskiego, 17 lutego*, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 44, s. 2.

<sup>103</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 270, s. 1–2. II RS 104/215–216. II RS 105/93–94. Co do rzekomej „rzadkości” takich występów myli się zresztą Gloger srodze, wystarczy przeczytać rozliczne informacje, szczególnie z czasów paskiewiczowskich, aby się o tym jawnie i dowodnie przekonać.

<sup>104</sup> Z. Gloger, *Z guberni łomżyńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 157, s. 2.

I znowu: nie ma – bo i nie może być – w tym niczego dziwnego. Przecież „każda okolica, każdy powiat ma uprzywilejowanych swoich złodziei, głównych i pomniejszych. Głównych znają wszyscy i okradzeni udają się do nich, a jeżeli uczynią to spiesznie, to zwykle odkupują swoje konie mniej więcej za połowę ich wartości. (...) Znane są nawet trakty złodziejskie i łąki wynajmowane na pastewnik dla kradzionych koni”<sup>105</sup>.

W innym miejscu felietonista ponownie przychodzi do prawie identycznej konstatacji o praktycznie mafijnej strukturze opisywanych organizacji przestępczych, donosząc, iż „złodzieje koni stanowią u nas stan oddzielny, korporację porządnie uorganizowaną, nieźle uzbrojoną, zamożną (...), [posiadającą] zwyczajowe statuta, uprzywilejowane stacje, trakty, popasy i rozgałęziony handel, który gdyby mógł być ujęty w ramy statystyki, przedstawiałby wcale poważną rubrykę przemysłu krajowego”. Według Glogera: „przemysł ten ze względu, że w każdej okolicy ludność zna dobrze głównych jego przedsiębiorców, mógłby nawet być połączony do podatku dochodowego”. Kuriozalnym wręcz stwierdzeniem jest informacja o tym, że doskonale podobno zorganizowane, mafijne gangi koniokradów posiadają „własną dobrą policję”<sup>106</sup>. Stopień wyszukanej sprawności organizacyjnej oraz rozzuchwalenia koniokradów wydaje się zatem przechodzić wszelkie wyobrażenia. Dzieje się tak na przykład w guberni łomżyńskiej, gdzie „jakkolwiek z powodu wysłania kilkudziesięciu złodziei końskich (...) na Syberię organizacja band złodziejskich poniosła cios dotkliwy, jednakże była ona tak rozgałęziona i solidarna, że bezpieczeństwo publiczne niewiele na tym zyskało i druga połowa złodziei, która uniknęła kary, nie myśli wcale porzucać swego korzystnego rzemiosła”<sup>107</sup>.

Wymienia też Gloger skład narodowościowy owych grup przestępczych. Raz dowiadujemy się bowiem: „rzecz szczególna, że do składu każdej spółki złodziejskiej należą zawsze dwie narodowości: Żydzi i chrześcijanie. Chrześcijanin, obeznany z miejscowością, wyprowadza konia spod zamku na umówione miejsce, za co dostaje zwykle od sztuki rubli rosyjskich. Żydzi zajmują się transportem i sprzedają, ciągnąc główny zysk”<sup>108</sup>. Domniemana narodowość owych złodziei może też w opisach Glogera ulegać zmianie. Gdy w roku 1892 pisze on ponownie o rozprzestrzeniającym się zjawisku kradzieży koni (mającym się wówczas nasilić po kilku latach przerwy związanej z częściowym rozbiem lokalnej szajki łomżyńskiej), konstatuje on otwarcie: „do przyczyn [kradzieży] (...) należy ciągle, a bezkarne włóczęgostwo Cyganów (...)”. Poza Romami na pomawianych o kradzież koni awansują też „(...) ludzie podejrzani oraz włóczęgi i zatrzymani czasowo w więzieniach powiatowych (...)”<sup>109</sup>. I w innym jeszcze miejscu, pisząc o okolicy i samym Białymstoku, donosi: „nadużycia te (...) przechodzą teraz w fazę zupełnie nową i bardzo zatrważającą, której cechą jest rozzuchwalenie się złodziei do niebywałych przedtem granic, do czego upoważnia bierne zachowanie się ogółu współwyznawców wobec publicznych napadów, rabunków itd. Drugą cechą jest i ta, że gdy dawniej padali ofiarą [kradzieży koni] przeważnie chrześcijanie, dziś nastąpiło w kodeksie złodziei białostockich najzupełniejsze równouprawienie wyznań”<sup>110</sup>.

Co najbardziej jednak w tym smutnym i groźnym zarazem opisie druzgocące, to uświadomienie faktu, iż plaga złodziejstwa (no bo nie tylko kradzieży koni) była o tyle nie do zniesienia, iż stawała się ona niejako specyfiką Królestwa (i guberni ościennych z terenu Cesarstwa); można rzec lokalną cechą typowej krajowej skazy społecznej. Ten rodzaj złodziejstwa obejmował przecież praktycznie – jak wspomniano powyżej – cały kraj<sup>111</sup>. Co smutniejsze, dzieje się to, gdy w sąsiednich „(...) Prusiech, nieoddzielonych od Królestwa rzeką, ani nawet dobrym rowem”<sup>112</sup>, ukradzenie konia lub rozbicie podróżnego należy do wypadków historycznych. U nas jest to wypadkiem tak spowszedniałym, że ludziska przyjęli go za chleb powsze-

<sup>105</sup> Tenże, *Głos ze wsi*, „Niwa” 1879, z. 102, s. 447–451.

<sup>106</sup> Tenże, *Znad Narwi*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 4, s. 1–2.

<sup>107</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1887, nr 309, s. 2.

<sup>108</sup> Tenże, *Głos ze wsi*, „Niwa” 1879, z. 102, s. 447–451.

<sup>109</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1892, nr 236, s. 2.

<sup>110</sup> Tenże, *Z Białostockiego*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 19, s. 2.

<sup>111</sup> Tenże, *Kradzieże koni*, „Kurier Codzienny” 1893, nr 309, s. 1–2.

<sup>112</sup> Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych Duchownych i Oświecenia Publicznego, reskrypt nr 5194 z roku 1836. Na podstawie tego rozporządzenia na granicy pruskiej nakazano wykopanie rowu o szerokości u podstawy 3 stóp (około metra), natomiast u góry 9 stóp (ok. 3 metrów). Rów ten był głęboki na kolejne 3 stopy. Ziemia wydobyta podczas kopania owego rowu granicznego miała „formować wał porządną od strony Królestwa Polskiego”. Do wykopania rowu wynajęto „doskonalszych do roboty kopaczów”. Zapewne jednak rów ten wykopany w Augustowskim jeszcze w roku 1836, w czasach Glogera już zdążył się zapisać.

dni<sup>113</sup>. Przecież w Królestwie proces kradzieży koni jest tak wszechogarniający, iż pisząc o okresowym wzroście czy spowolnieniu w hodowli koni na wsi polskiej, Gloger stawia w końcu niezwykle śmiałą tezę, iż „(...) pewne doby kilkoletnie, w których ona upada lub dźwiga się”, związane były bezpośrednio z tą plagą<sup>114</sup>.

Ogólnie kradzieże czy wzrost bandytyzmu na wsi był przez twórcę, szczególnie w okresie zaburzeń początku wieku XX, kojarzony z ponownie rozpowszechniającym się na dużą skalę zjawiskiem włóczęgostwa. Tym razem jednak owi włóczędzy mieli pochodzić głównie z miast, nie ze wsi. Podawał Gloger: „(...) plaga próżniaczego i brutalnie wyzyskującego prowincję włóczęgostwa urosła dziś do rozmiarów nadzwyczajnych”. W odróżnieniu do czasów występowania w Królestwie Polskim silnej władzy carskiej, teraz: „(...) strażnik sam nierad rozpoczynać zwadę z kilku ludźmi, uzbrojonymi w kije i prawdopodobny rewolwer, najczęściej więc omija ich<sup>115</sup>. Ten klarowny obraz bezwładu społecznego felietonista uzupełnia jeszcze w roku 1906 o opis ogólnego rozpowszechnienia się różnorodnych występków, mających w tym czasie miejsce na wsi polskiej. Ówczesne wnioski Glogera są jednoznaczne. Pisze on: „mamy więc dziś tak liczny i różnolity dobór bandytów u nas, jakim żaden inny kraj ani naród, z wyjątkiem chyba Rosji, poszczycić się nie może”.

Nowe formy udręki zawitały szczególnie często na wieś łomżyńską czy lubelską, kiedy do licznych dworów zajeżdżały najczęściej czteroosobowe „bandy”. Inni „emisariusze” mieli z kolei jawnie podburzać chłopów przeciw posesjonatom, gdy tymczasem ci sami ludzie „we dworach żądają sowitej jałmużny w monecie”. Jeszcze kolejni podczas wydarzeń 1905–1906 mieli dążyć do zerwania kruchej równowagi pomiędzy pracodawcami a pracownikami wiejskimi. Podobno byli pośród nich i tacy, „(...) których wprost irytuje widok pracującej czeladzi, a przede wszystkim jej życzliwość dla chlebowdawcy. Więc usiłują zniwieczyć ten stosunek”. Gdy brakowało zaś w okolicy prawodawcy o rodowodzie szlacheckim, za cel swoich działań obierano bogatszych, zatrudniających parobków gospodarzy rolnych<sup>116</sup>. Tym sposobem zwykłe kradzieże i rozboje o wyłącznie ekonomicznym podłożu nabrały w początkach wieku XX wyraźne ideologiczne odcienie, a Glogerowi przyszło to ze głęboką zgrozą opisywać. Zresztą – jak się wydaje – zdawał on sobie doskonale sprawę ze znacznie szerszego niż ekonomiczne czy ideologiczne nawet, bo natury niekiedy czysto politycznej, podłoża tych działań, co jakże dobitnie wyraził w swoim wpisie z 1907 roku. Znajdujemy tam bowiem znamienity passus: „toteż niedobrze ten myśli lub niedobre ma zamiary, kto dla pokłócenia ludzi dzisiejszych, czy to gębą, czy na piśmie, porusza w grobach dawną szlachtę polską, która przez lat tysiąc przelewała krew swoją, broniąc wiary świętej i swego kraju, i narodu, a pobudowała i pofundowała tysiące kościołów, klasztorów, szkół, szpitali<sup>117</sup>”.

Wypada dodać, iż Gloger opisywał też negatywny wpływ procederu kontrabandy (będącej zarazem przejawem swoistego bandytyzmu, a to szczególnie wobec częstych konfrontacji fizycznych przemytników ze strażnikami celnymi) na możliwości prawidłowego funkcjonowania lokalnych struktur gospodarczych. Podawał na przykład do wiadomości: „gospodarstwo w okolicach graniczących z Prusami ponosi u nas niepowetowane ciężki, z [tego] powodu, że ludność w dość szerokim pasie nadgranicznym zajmuje się kontrabandą. Przemytnicy występują tu konno i uzbrojeni w rewolwery, a zbierają się nieraz w bandy po kilkudziesięciu, a nawet do stu ludzi. (...) Wskutek tego o fornali, parobków i najemnika męskiego bardzo tu ciężko, bo każdy chce w dzień spać, a w nocy przemycać<sup>118</sup>”. Problem przemytu na granicy Królestwa z Prusami (Niemcami), nawet wobec wprowadzenia dużo wcześniej tzw. drugiej linii granicznej, nie przestał, jak widać, być aktualnym przez cały XIX wiek.

<sup>113</sup> Z. Gloger, *Znad Narwi*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 4, s. 1–2.

<sup>114</sup> Tenże, *Listy z prowincji*, „Tygodnik Ilustrowany” 1892, nr 118, s. 211.

<sup>115</sup> Tenże, *Plaga włóczęgostwa*, „Gazeta Polska” 1905, nr 101, strony nienumerowane.

<sup>116</sup> Tenże, *Bandytyzm po wsiach*, „Kurier Warszawski” 1906, nr 19, s. 2.

<sup>117</sup> Tenże, *Spod wiejskiej strzechy*, „Gazeta Świąteczna” 1907, nr 1355, s. 6–7.

<sup>118</sup> Tenże, *Z Augustowskiego*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 278, s. 2.

*Pożary*

Bynajmniej nie lżejszą od kradzieży czy rozbojów plagą okazywały się w Królestwie Polskim pożary. Gloger czuł się zobligowany do zajęcia się tym problemem. Donosił: „epidemiczna klęska pożarów, nawiedzająca kraj nasz (...) od lat kilku lub kilkunastu, wywołuje zwykle w następstwie szereg artykułów i uwag, które po chwilowym przejściu niebezpieczeństwa idą w niepamięć. Naszym zdaniem, prasa ma obowiązek uprzedzając porę ogniową, rozpowszechniać praktyczne rady, ostrzegać ogół i kołatać do władz o odpowiednie środki ostrożności i przepisy”<sup>119</sup>.

Publicysta rozwodził się szeroko nad przyczynami i ilością pożarów, a już w roku 1876 doszedł do wniosku, iż na ich znaczącą ilość „(...) wpłynął głównie upowszechniający się w tym czasie wśród ludności uboższej miejskiej i wiejskiej użytek: świec, nafty, zapalek i papierosów”<sup>120</sup>. W innym miejscu i czasie Gloger dodaje: „dawniej, gdy świec, nafty, zapalek i papierosów nie znano, a tylko łuczywo i krzesiwo, pożary do rzadkich wypadków należały”<sup>121</sup>. Zatem swoiście pojmowany postęp cywilizacyjny stawał się w jego oczach główną przyczyną widocznego szerzenia się tego nieszczęścia. Autor dodawał salomonowo: „rozmysłne podpalenia nie grają tutaj tak rozległej roli, jak im pospolicie ogół przypisuje”<sup>122</sup>. Po jakimś czasie Gloger zmienia jednak zdanie w tej kwestii; najwyraźniej dzieje się tak wobec okresowego nasilenia zjawiska ewidentnych podpaień. W roku 1881 możemy się już przecieżyć z pism dowiedzieć, iż „choć co rok w porze letniej częste bywają w kraju naszym pożary, nigdy jednak nie były tak liczne i straszne jak obecnie”. Autor pisze wówczas wprost: „dwie są główne tego przyczyny, a mianowicie: 1) rozmnożenie się zbrodniarzy, którzy podpalają, i 2) coraz powszechniejsze palenie papierosów i cygar”. Ujawnia się zarazem – według Glogera – niezwykle znamieny wątek psychologiczny, świadczący o szerzeniu się (przynajmniej w lokalnym społeczeństwie) niebywałych wręcz rozmiarów apatii, czy nawet bezmyślności. Pisząc o zwyczajach palenia tytoniu, Gloger podaje zarazem: „ten ostatni nałóg przyprawia naród o ciężkie straty, a jednak ludzie obojętnie na niego patrzą”<sup>123</sup>.

Opierając się w początkach lat osiemdziesiątych XIX wieku na oficjalnych danych statystycznych, publicysta ubolewa nad brakiem formalnego śledzenia przyczyn zachodzących pożarów. Przeczytać przecieżyć można było: „z wiadomości urzędowych o wszystkich pożarach w kraju widzimy, że tylko w małej ich liczbie przyczyna ognia była wysłiedzona, a najwięcej pożarów wynikło »z przyczyny niewiadomej«”. Gloger będzie się jednak upierał, że może wskazać prawdziwe źródło „niewysłiedzonych” pożarów. Donosi w roku 1881: „ale my za to wiemy dobrze, choć nie urzędownie, że na dziesięć takich pożarów pewnie w dziewięciu wypadkach powodem strasznego nieszczęścia był ogień z papierosa. Przyczyny nie wykryto, bo o świadków zaproszenia ognia z papierosa najtrudniej”<sup>124</sup>. Zresztą publicysta bywa w swoich krytycznych opisach dochodzeń pożarowych jeszcze bardziej krytyczny, kiedy na przykład wspomina po raz kolejny o skali nierozpoznania przyczyn pożaru. Według niego: „na prowincji do rubryki tej należy około trzech czwartych pogorzeli”<sup>125</sup>. Tak czy inaczej, jeśli się porówna te dane z informacjami dostarczonymi przed laty przez Towarzystwo Ubezpieczeń Ogniowych Miast i Wsi oraz Własności Ruchomych<sup>126</sup>, uderza w oczy niekompetencja organów dochodzeniowych okresu końca XIX wieku.

Analizując obowiązujące współcześnie w kwestii zapobiegania pożarom przepisy policyjne, Gloger staje się w sposób oczywisty wobec nich krytyczny. Podnosi, po pierwsze, iż jednym z problemów jest brak możliwości surowego karania osób nieletnich. Podobnie i wyraża on wątpliwości co do realnej możliwości skutecznego egzekwowania prawa penalizacyjno-pożarowego wobec osób dorosłych. Podaje w roku 1880: „sądy gminne mają prawo karać za nieostrożne obchodzenie się z ogniem na grzywny do wysokości rubli

<sup>119</sup> Tenże, *Listy z Podlasia [IV]*, „Echo” 1878, nr 155, s. 4–5.

<sup>120</sup> Z. Gloger, *Z guberni tomżyńskiej w maju*, „Kłosy” 1876, tom XXII, nr 570, s. 343.

<sup>121</sup> Tenże, *Listy z Podlasia*, „Gazeta Świąteczna” 1881, nr 35, s. 3.

<sup>122</sup> Tenże, *Z guberni tomżyńskiej w maju*, „Kłosy” 1876, tom XXII, nr 570, s. 343.

<sup>123</sup> Tenże, *W sprawie pożarów*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 201, s. 2.

<sup>124</sup> Tenże, *W sprawie pożarów*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 201, s. 2.

<sup>125</sup> Z. Gloger, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 251, s. 1.

<sup>126</sup> Dziennik Urzędowy Województwa Mazowieckiego, 1834, s. 1386–1390. Dla przykładu w roku 1833 na wsi na ogólną ilość 1018 pożarów nie rozpoznano przyczyn 290 z nich, czyli mniej niż 1/3. Z tego wynika, że nierozpoznawalność zwiększyła się w międzyczasie aż trzykrotnie.



25 lub na wieżę, licząc jej dzień w stosunku rubli 5-u. Przepis taki jest bardzo elastyczny i tylko pozornie surowy i wystarczający<sup>127</sup>.

Publicysta widzi jednak pewne remedium na straszą plagę pożarów, odnotowując w roku 1880: „wolilibyśmy widzieć w miasteczkach tych na próżno wyglądaną dotąd inicjatywę i zachętę do zawiązywania straży ochotniczych od ognia”. Tymczasem „o zakładaniu straży ochotniczych rzadkie nadchodzą wiadomości, a o energicznych przepisach względem ostrożności z ogniem mowy nie ma<sup>128</sup>. W rok później podaje: „(...) należałoby sobie życzyć, aby niebawem wszystkie miasta, miasteczka, osady i gminy posiadały własne straże ochotnicze, ku czemu dopomagać mają obowiązek władze miejscowe, jako czuwające z urzędu nad bezpieczeństwem mieszkańców. Tylko bowiem straże ochotnicze, jak to z doświadczenia widzimy, dobrze urządzone we wszystkich miastach i wioskach, zapobiec mogą onej olbrzymiej klęsce ognia, która kraj cały trapi, a państwo, naród i w ogóle skarb publiczny uboży<sup>129</sup>. Po ośmiu latach publicysta znowu nawołuje do tworzenia stowarzyszeń ogniowych, wskazując, iż „byłoby prawdziwym dobrodziejstwem, zwłaszcza dla klas uboższych, przymusowe zawiązywanie ochotniczych straży pożarnych w każdym miasteczku, osadzie wiejskiej i wiosce”.

Jako negatywne skutki dotychczasowego braku takich stowarzyszeń wylicza: a) zaniedbanie prawidłowego utrzymywania narzędzi gaśniczych; b) brak odpowiednich kompetencji u osoby zarządzającej na wypadek nieszczęścia gaszenia pożaru; c) powodowaną zabobonami odmowę gaszenia przez chłopów pożarów spowodowanych przez pioruny; d) grabież dokonywaną podczas gaszenia, etc.<sup>130</sup>. Brak stowarzyszeń ogniowych (na wsiach) był tym bardziej uderzający, że – zdaniem Glogera: „nie ma nic niedołęźniejszego na świecie nad wiejską gromadę naszego ludu, pozostającą bez narzędzi i komendy wobec ognia. Baby, zalamując ręce, płaczą i krzyczą w niebogłose, mężczyźni gapią się i rozprawiają w bezładnym tumultcie<sup>131</sup>. Trudno było zatem w tej sytuacji nie domagać się powstania na terenie polskich wsi jak największej ilości straży ogniowych.

## Handel

Handel – jako jedna z głównych gałęzi gospodarki – nie mógł być przez Glogera w jego licznych felietonach pominięty. Zarówno sama struktura organizacyjna handlu, jak i odpowiednie ukształtowanie produkcji, przewija się zatem w pismach autora relatywnie często. Zresztą samemu prowadzeniu detalicznego handlu przez przekupniów – szczególnie w stolicy – Gloger za bardzo nie dowierza, co wynikałoby na przykład z jego prostej konstatacji, iż jakkolwiek „nie można twierdzić stanowczo, że na wszystkich straganach znajduje się (...) fałszywy wymiar wagi, ale trzeba przypuszczać, że oszustwo grasuje potężnie, zadając co dzień ciężką krzywdę ludności trzykroć stutysięcznej naszego grodu<sup>132</sup>.

Remedium na rozliczne kłopoty i niedociągnięcia handlu krajowego miałyby być – wielokrotnie opisywane i przedstawiane w felietonach – swoiście rozumiane sklepy gospodarskie. Jest to wręcz *idee fixe*. Nadmieniając o tzw. sklepach obywatelskich, wyraża przecież dobitną opinię, iż „wszędzie, gdzie się wzięto do podobnego przedsiębiorstwa, zaprowadzono je praktycznie, najlepsze osiągnięto rezultaty”. Wiara ta jest niewzruszona. Tym bardziej dziwi autora pewna obojętność społeczeństwa rolniczego (wszystkich stanów) Królestwa na tę – zdawałoby się – doskonałą inicjatywę. Pyta Gloger: „dlaczego więc nie stowarzyszą się do tego panie i nie zakładają sklepów we wszystkich miastach, gdy nic temu nie stoi na przeszkodzie<sup>133</sup>”.

Wkrótce pojawia się jednakowoż promyk nadziei na zmianę tego niekorzystnego trendu. W roku 1878 podaje już pisarz – znowu odnosząc się w pierwszej kolejności do stolicy – informacje o pojawieniu się takiej właśnie pierwszej inicjatywy. Czytamy wówczas: „podnoszona od lat kilku przez pisma nasze po-

<sup>127</sup> Z. Gloger, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 251, s. 1.

<sup>128</sup> W m. c.

<sup>129</sup> Tenże, *Z powiatu ostrowskiego*, „Gazeta Warszawska” 1882, nr 246, s. 2.

<sup>130</sup> Tenże, *Przeciw pożarom*, „Kurier Codzienny” 1890, nr 87, s. 1–2.

<sup>131</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1891, nr 179, s. 3.

<sup>132</sup> Tenże, *(O wagach na straganach przekupniów)*, „Kurier Warszawski” 1879, nr 146, s. 3.

<sup>133</sup> Z. Gloger, *Znad Narwi*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 254, s. 3.

trzeba sklepów z produktami wiejskimi zaczyna się przynajmniej w Warszawie urzeczywistniać”. Podniesiony nieco na duchu, dodaje on zaraz: „Warszawę powinny naśladować na prowincji miasta gubernialne, fabryczne, a nawet powiatowe”. Proponuje jeszcze wprowadzenie znacznej różnorodności oferty sklepów obywatelskich, notując: „doradzamy tylko, aby w sklepach podobnych nie oglądano się wyłącznie na to, co panie wiejskie dostarczą, bo często przez prosty przypadek może najpospolitszego produktu zabraknąć w sklepie, co bardzo wpływa na zniechęcenie się miejskich konsumentów”<sup>134</sup>.

Opisując najprostsze zasady prowadzenia sklepów obywatelskich (w wielkim mieście), nie mógł autor powstrzymać się od wyrażenia swojej opinii o takich sklepach na terenie wiejskim. Jest bowiem Gloger przekonany, że „(...) ułatwienie zbytu przedmiotów produkcji gospodarstwa domowego na wsi jest rzeczą niezmiernie ważną (...)”. Mówimy tu zasadniczo o pewnej nieokreślonej jeszcze ostatecznie idei, gdyż „(...) nie chodzi tu nam dzisiaj o to, czy owo ułatwienie zbytu ma być osiągnięte koniecznie tym, a nie innym sposobem. Chodzi nam tylko o uznanie ważności celu przez ogół producentek, chodzi o konieczną potrzebę działania i praktycznego próbowania różnych środków do tego celu wiodących. (...) Środków zaś tych jest kilka, a niewątpliwie bardzo skutecznym byłyby: sklepy stowarzyszonych gospodyń wiejskich, gdyby nasze panie wzięły się do tego praktycznie. Drugim środkiem mogą być sklepy niestowarzyszonych, czyli pojedynczych gospodyń i gospodarstw”<sup>135</sup>. Gloger zresztą otwarcie stwierdza: „nie myślę (...) bynajmniej roztrząsać, czy każda właścicielka kilku majątków powinna posiadać w jakimś mieście własny sklep do sprzedaży wiejskich produktów, czy kilkanaście gospodyń powinno się stowarzyszyć w podobnym celu, czy jakaś praktyczna osoba z innej sfery powinna być do otworzenia sklepu spożywczego w danej miejscowości zobowiązana (...)”<sup>136</sup>. Z kolei w kolejnym artykule, tym razem z 1890 roku, autor nakłania ponownie do zakładania „sklepów obywatelskich”, które mogłyby tym razem „(...) w zbyciu produktów gospodarstwa domowego pośredniczyć między dworem wiejskim a miastami stołecznymi (...)”<sup>137</sup>. Jak widać z powyższego, owe sklepy obywatelskie pozostawały dla Glogera samego w zasadzie jedną wielką niewiadomą, a sama nie do końca sprecyzowana koncepcja ich powstawania i prowadzenia, oscylując pomiędzy działalnością jednostkową a zorganizowaną, wydawała się nader mglista.

Pisząc o handlu (wiejskim), Gloger oczywiście nie mógł pominąć i propinacji, czyli możliwości sprzedaży trunku, tym bardziej, iż kwestia ta przechodziła ogromne przeobrażenia w związku z właśnie wprowadzaną na przełomie wieków w Cesarstwie Rosyjskim monopolizacją sprzedaży alkoholu. Nowa ustawa monopolowa likwidowała wszelkie dotychczasowe prywatne uprawnienia propinacyjne, przyznając równocześnie stosowne wynagrodzenie za utratę prawa do produkcji i wyszynku alkoholu<sup>138</sup>. Jak można sądzić, gospodarz z Jeżewa patrzy jednak na sprawę z klasowego punktu widzenia. Według zaniepokojonego zapowiedzianymi zmianami felietonisty, „(...) odjęcie choć niewielkiego, ale czystego dochodu propinacyjnego folwarkom, bez bonifikacji odbiłoby się niebezpiecznie w wycieńczonym budżecie rolników”, przez których Gloger oczywiście rozumie warstwę dotychczasowych posesjonatów<sup>139</sup>.

### *Stowarzyszenia rolnicze*

Odnosząc się do kwestii ogólnokrajowych stowarzyszeń rolniczych, Gloger stawia się mimochodem niejako w roli obrońcy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Takie stanowisko nie może budzić zdziwienia, szczególnie gdy przyjrzymy się trudnej do przecenienia roli, jaką odgrywało w kraju nad Wisłą, założone jeszcze w roku 1825 przy staraniach księcia Druckiego-Lubeckiego, to rolnicze stowarzyszenie, ratujące w praktyce swego czasu znaczą ilość posesjonatów przez bankructwem i przymusową licytacją mająt-

<sup>134</sup> Tenże, *Z guberni łomżyńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1878/9 (26 grudnia/7 stycznia), nr 4, s. 1.

<sup>135</sup> Tenże, *Znad Narwi*, „Kronika Rodzinna” 1878, nr 13, s. 401–403.

<sup>136</sup> Tenże, *Rola gospodyń wiejskich*, „Kurier Codzienny” 1890, nr 125, s. 1.

<sup>137</sup> Tenże, *Listy z nad Narwi*, „Kłosa” 1890, nr 1297, s. 295–298.

<sup>138</sup> Z. Gloger, *Propinacje wiejskie*, „Kurier Warszawski” 1898, nr 174, s. 1–3.

<sup>139</sup> Tenże, *Skup propinacji wiejskich*, „Gazeta Warszawska” 1898, nr 170, s. 2–3.

ków<sup>140</sup>. Bazując na obserwacji praktyki i odnośnych przepisów, autor odrzuca w roku 1892 oskarżenia TKZ o dążenie do wywłaszczania znacznej ilości jego członków, uznając w większości te zarzuty za przejaw urazów o charakterze prywatnym, a zatem subiektywnym. Według niego, „(...) Towarzystwo uważa wywłaszczenie za wstrętą ostateczność, i jest faktem, że uwalnia wszystkie majątki nawet w dniu licytacji, telegraficznie, jeżeli właściciel zapłaci choć większą część należnych od niego rat (...)”<sup>141</sup>. W kolejnym roku 1893 dodaje, jakby usprawiedliwiając mnożące się jednak w tym czasie wśród członków tegoż stowarzyszenia bankructwa: „Towarzystwo Kredytowe nie może być nigdy administratorem prywatnego mienia ogółu stowarzyszonych, nie może urządzać im gospodarstw, regulować serwitutów, uszlachetniać rzek, budować dróg i zniżać lub opłacać rujnujących nasze rolnictwo zagranicznych ceł zbożowych”<sup>142</sup>.

Gloger jest jednocześnie – jak można sądzić – teoretycznym przynajmniej zwolennikiem ogólnej idei propagowania rozwoju w Królestwie lokalnych stowarzyszeń rolniczych. Będąc tu zaskakującym pesymistą (a może tylko realistą?), podaje on przecież: „potrzeba [rolniczych] stowarzyszeń powiatowych lub gubernialnych, na wzór prowincjonalnych francuskich, jest tak ważna w każdym kraju rolniczym, ale zarazem tak daleka od urzeczywistnienia u nas, że korespondent nadnarwiański nie chce więcej mówić o stowarzyszeniach, ale tylko o życiu towarzyskim rolników”. Taka, pochodząca z końca lat siedemdziesiątych XIX wieku, konkluzja w odniesieniu do społeczeństwa kraju niegdyś doskonale wręcz strukturalnie rolniczo zorganizowanego (wspomnijmy tu przedpowstaniowe Towarzystwo Rolnicze z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX wieku) mogła wydawać się być kontrowersyjna. Szczególnie, że zaraz potem felietonista nadmienia: „dodalibyśmy tu jednak, że to, co jest dalekie w Królestwie, nie jest tak dalekie gdzie indziej. I tak na przykład, w guberni kowieńskiej ma być bliskie urzeczywistnienia miejscowe Towarzystwo Rolnicze (...)”. Innym przykładem rzekomej „wyższości” organizacyjnej guberni litewskich nad obszarem prowincjonalnego Królestwa w zakresie rolniczo-organizacyjnym miałyby być organizowane na Żmudzi wystawy rolniczo-przemysłowe (o których piszę we wcześniejszej części tekstu), przeprowadzane jednak – co sam Gloger przyznaje – „(...) na wzór tych, które Potoccy wielokrotnie urządzali w Krzeszowicach koło Krakowa, a które i u nas w Królestwie dałyby się przeprowadzić przy współdziałaniu właścicieli wielkich posiadłości”.

Innymi słowy, przy braku inicjatywy magnackiej czy rządowo-administracyjnej, Gloger nie widzi jednak realnej perspektywy tworzenia w Królestwie Polskim ostatniej ćwierci XIX wieku lokalnych stowarzyszeń rolniczych. Istniałby jednak pewien sposób na efektywne podjęcie tego wyzwania – a to poprzez zaangażowanie coraz większej ilości rolników w procesy ulepszania i unowocześniania rolnictwa krajowego. Wystarczyłby przecież ich coraz liczniejszy udział w coraz to większej liczbie wystaw rolniczo-przemysłowych. Aby zaś ten cel osiągnąć: „należałoby tylko udać się do władzy i przedstawić, jak bezwarunkowo konieczne są podobne wystawy dla mniejszych gospodarstw, a mianowicie włościan, którzy tylko w wystawach powiatowych mogą szerszy niż dotąd brać udział”<sup>143</sup>. Tym sposobem Gloger chciałby optymistycznie zaangażować najezdnicze carskie władze administracyjne w aktywne wspieranie rozwoju polskiego rolnictwa.

### *Sadownictwo i ogrodnictwo*

W samej produkcji rolnej Gloger skupia się niejako na kilku tylko jej aspektach – tu się najpierw odniesiemy do sadownictwa i ogrodnictwa. Nawiązując do sadownictwa, autor klarownie zauważa oczywiste nieprawidłowości w krajowej produkcji owoców. Według niego: „prawie każdy właściciel ogrodu na prowincji, widząc w cennikach mnóstwo pysznych gatunków, rad by mieć choć po drzew parę z każdego i sprowadza wielką różnorodność szczepów, z których zwykle część wymarza i naraża na straty, część wydaje owoce wcale nieosobliwe, a reszta gatunków, które są piękne i na mrozy wytrwałe, zaledwie wystarcza na

<sup>140</sup> Por. A. Sulikowski, *Krótki rys i zasady Towarzystwa Kredytowego Ziemiańskiego*, Warszawa 1865.

<sup>141</sup> Z. Gloger, *Znad Buga*, „Gazeta Warszawska” 1892, nr 113, s. 3.

<sup>142</sup> Tenże, *Kartka z wagonu*, „Gazeta Polska” 1893, nr 83, s. 2.

<sup>143</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 68, s. 1–2.

domową potrzebę, czyniąc z sadu zabawkę, a nie źródło istotnego dochodu właściciela”. Ten ponury obraz braku w Królestwie prawidłowej „polityki sadowniczej” jest może smutny, ale nie zniechęcający do podjęcia prorozwojowych działań w ich właściwym wymiarze. Gloger chciałby uczynić z polskiego sadownictwa jeden z podstawowych sposobów na utrzymanie się gospodarstw rolnych. Tymczasem „(...) ciężary, które dziś własność ziemską obarczają, których nawet powiększenie przewidywać można – już same jedne domagają się upatrywania nowych sposobów zarobku dla rolnika”. Jest na ten problem rada. Wystarczy zrozumieć i przyjąć do wiadomości, że „obowiązkiem też każdego rolnika jest umiejętność wydobycia korzyści z ziemi nie tylko w postaci ziarna, ale także w postaci wszelkiego produktu, który, zwracając koszt pracy, przynosi należyty procent od kapitału, reprezentowanego przez ziemię”<sup>144</sup>. Tym produktem oczywiście mają być owoce, pochodzące z umiejętnie prowadzonego własnego sadu.

Aby osiągnąć tak zamierzone cele i przezwyciężyć różnorodne bariery, trzeba było jeszcze zająć się wykształceniem i pozyskaniem kompetentnych ogrodników. Było dla autora jasne, że „utyskiwania i lamenty na niski stan ogrodnictwa w naszym kraju dopóty muszą być grochem rzucanym o ścianę, dopóki nie będziemy mieli klasy dobrych, sumiennych, pracowitych, a niezbyt drogich ogrodników”. Postulat ten był jednakowoż w czasach owych niezwykle trudny do zrealizowania, jako że „(...) o ogrodnika posiadającego te przymioty bardzo trudno dziś na wsi. Jeżeli znajdzie się umiętny, to ceni się drogo, wiedząc, że jako rzadkie zjawisko poszukiwanym jest przez ludzi możnych do większych ogrodów”. Felietonista widzi rozwiązanie tej kwestii w sposobie prostym, acz od lokalnej społeczności krajowej w pełni niezależnym, gdyż pozostającym w gestii administracyjnych władz najeźdźczych. Według Glogera, aby mogła się pojawić w Królestwie Polskim niezbędna ilość kompetentnych i niezbyt jednocześnie ceniących swoje usługi ogrodników, „(...) potrzebny jest koniecznie [w Kongresówce] jeden lub kilka zakładów, w których byłby połączony ogród ze szkołą, praktyka z kursami botaniki i ogrodnictwa”. Zgodnie z tak przedstawioną koncepcją, w owych ogrodniczych zakładach naukowych miałyby się kształcić tylko pewien procent krajowych sadowników, którzy „(...) rozchodząc się po prowincji (...)”, mogliby sami dalej nauczać i wykształcić tym sposobem kolejnych z nich, stanowiących już wówczas grupę „dobrych ogrodników”<sup>145</sup>.

Felietonista zwraca uwagę na rozwój sadownictwa Królestwa przede wszystkim dlatego, że widzi on nieograniczone wręcz możliwości wywozu polskich owoców do Rosji, a szczególnie do jej ówczesnej stolicy – Petersburga. Przekonuje: „(...) tak olbrzymi konsument, jak Petersburg, sprowadza sobie owoce z południa i zachodu Europy, płacąc za nie nader wysokie ceny. Od czasu (...) zbudowania drogi żelaznej petersbursko-warszawskiej, to jest od roku 1861, otworzył się w kraju naszym dla okolic przyległych tej kolei korzystny zbył owoców na północ, korzystniejszy daleko niż do Warszawy, gdy handlarze rosyjscy poszukują u nas owoców, czego ze strony warszawskich nie mamy”<sup>146</sup>. To otwartość carskiej Rosji i jej handlowców na polskie owoce ma zatem stać się motorem rozwoju krajowego sadownictwa, a w miarę szeroki „pas” kraju położonego wzdłuż kolei petersburskiej winien podjąć tę rzadko nadarżającą się sposobność szybkiego wzbogacenia. I w innym jeszcze tekście Gloger potwierdza z naciskiem swoje obserwacje w tym względzie, kiedy zauważa: „(...) wobec dzisiejszych komunikacji kolejowych otworzył się dla wielu okolic punkt zbytu, tak bezwarunkowo konieczny do rozwoju samej produkcji sadowniczej. (...) Olbrzymim na przykład spożywcą może być między innymi Petersburg, sprowadzający corocznie za miliony rubli owoce z dalszych okolic Europy (...)”. Skorzystać na „petersburskim apetycie na owoce” mogą „(...) na przykład gubernie przytykające do Kolei Petersbursko-Warszawskiej między Wilnem a Warszawą, w których to okolicach owoce jesienne i zimowe jeszcze dojrzewają wtedy, gdy północne kraje Rosji nie produkują już smacznych owoców, a nawet Rosja środkowa głównie tylko jabłka ma w swoich sadach”<sup>147</sup>. Wzrost czy raczej rozrost programu sadowniczego winien być tak czy inaczej powszechny. Stąd: „każdy folwark i folwarczek powinien (...) mieć dwa do trzech morgów wyłącznie owocowego sadu (licząc mniej więcej po sto drzew na morgu)”. Gloger poucza w tym samym czasie, co należy w owych sadach sadzić, jako iż – wedle jego wiedzy: „doświadczenie (...) w handlu owocowym przekonało, że większą korzyść dla właściciela sadu przyno-

<sup>144</sup> Tenże, *Kilka słów o sadownictwie i ogrodnictwie*, „Kłosy” 1878, nr 669, tom XXVI, s. 266–267.

<sup>145</sup> Tenże, *Szkoła ogrodnicza*, „Kłosy” 1878, nr 701, tom XXVII, s. 359.

<sup>146</sup> Z. Gloger, *Z Białostockiego, w sierpniu*, „Gazeta Rolnicza” 1874, nr 34, s. 271–272.

<sup>147</sup> Tenże, *Kilka słów o sadownictwie i ogrodnictwie*, „Kłosy” 1878, nr 669, tom XXVI, s. 266–267.

szą gatunki choćby proste, ale trwałe, niż znaczniejsze, a do przewozu trudne<sup>148</sup>. Nie ulega wątpliwości, iż w Glogerowej koncepcji polskie sadownictwo nierozdzielnie miało się wiązać z rynkiem rosyjskim.

### *„Drob” i inne zwierzęta; przepisy fitosanitarne*

Opisując krajową produkcję szeroko rozumianego „drobiu”, publicysta zauważa zasadniczy problem, polegający na tym, iż „(...) najwięcej krępuje spekulacyjną hodowlę domowego ptactwa brak uregulowanych stosunków handlowych w tej gałęzi przemysłu pomiędzy prowincją a Warszawą<sup>149</sup>. Takie stwierdzenie było o tyle ważne, że tymczasem otwierały się inne możliwości rozwoju handlu zwierzęcego, prowadzonego „(...) drogą, którą dziesiątki tysięcy gęsi i nierogaczyny corocznie z guberni naszej kolej żelazna uwozi do Berlina (...)”<sup>150</sup>.

Przy dokonaniu dość głębokiej specyfikacji tej gałęzi produkcji rolnej wnioski, do jakich Gloger dochodzi w latach siedemdziesiątych XIX wieku, są dość jednoznaczne. Zgodnie z zebranymi danymi, mógł on stwierdzić, iż ogromnie rozpowszechniona w Królestwie hodowla „drobiu” najczęściej była praktykowana przez chłopów. Jakkolwiek na przykład chów gęsi był bardzo zyskowny, działa się tak, gdyż „(...) wszelkie porządniejsze i większe gospodarstwo nie znosi tego psotnego i szkodliwie zanieczyszczającego pastewniki drobiu (...)”<sup>151</sup>. Natomiast „po dworach głównym spekulacyjnym drobiem są indyki; z tego źródła zaopatruje się w nie Warszawa, do której skupuje takowe i dowozi przeważnie zagonowa szlachta zza Wiśły. Najmniej rozwiniętą jest u nas spekulacyjna hodowla kurcząt i pulard”. Stałego czytelnika felietonów Glogera nie mogło oczywiście wprowadzić w zdziwienie proponowane przez niego założenie specjalnego towarzystwa rolniczego, a to celem „(...) podniesienia w kraju naszym hodowli drobiu (...)” właśnie<sup>152</sup>.

Jakkolwiek handel owym „drobiem” był w felietonach Glogera niezmiennie przedstawiany jako zyskowny, to jednak sam opis stosunku eksportu do spożycia krajowego gęsi w jego artykułach się zmieniał. Pisał na przykład, odnosząc się do wywozu i miejscowej konsumpcji tych zwierząt, iż „(...) do Prus w jednym roku 1873 wyprawiono z Królestwa przez komory graniczne za paręset tysięcy rubli, a trzy lub cztery razy więcej zbawicielei kapitołińskich spożywa corocznie ludność starozakonna krajowa (...)”<sup>153</sup>. Zaraz potem podawał jednak: „olbrzymia liczba gęsi wyprowadzana jest corocznie z kraju naszego przez komory pruskie, bo Niemcy wolą gęś kupić, niż hodować; równie wielką ilość konsumuje ludność starozakonna w kraju, zastępująca smalcem gęsim tłuszcz wieprzowy”<sup>154</sup>.

Gloger co do zasady był przy ocenie produkcji drobiowej optymistą. I tak, okazjonalny znaczący wywóz kurcząt z przyległych do Kolei Petersbursko-Warszawskiej okolic Królestwa daje autorowi podstawy do snucia daleko idących spostrzeżeń, do czego miałyby zachęcać „ogromna różnica cen petersburskich od miejscowych, [która] będzie prawdopodobnie podstawą dość rozległego handlu drobiem, jeżeli potrafimy z położenia korzystać i jeżeli handel ten nie stanie się monopolem kilku dostawców”<sup>155</sup>.

Z drugiej strony na ostrą krytykę zasługuje – według autora – źle prowadzony wewnątrz kraju handel rogaczną, na przykład wołami. Odnosząc się bowiem do obrotu tymi zwierzętami, nie bez goryczy Gloger zauważa, iż „handel z obcym krajem, narodem i miastem o sto mil odległym, okazał się łatwiejszym niż z własną stolicą o mil kilkanaście. Jest to zarówno uderzające, jak zawstydzające”. Autor niepoprawnie widzi jednakowoż i tutaj przyszłość w dość jasnych barwach, pisząc: „jeżeli zapobieżenie intrygom, monopolom i zaprowadzenie w stolicy naszej podobnego handlu rogaczną, jaki ma Królewiec lub Berlin, nie zdoła w jednej chwili podnieść hodowli bydła w całym kraju, co jest oczywiście fizycznym nieprawdopodobień-

<sup>148</sup> Tenże, *Znad Narwi, w marcu 1876 roku*, „Kronika Rodzinna” 1876, nr 7, s. 102–103.

<sup>149</sup> Tenże, *Z Podlasia, w styczniu 1875*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 34, s. 3.

<sup>150</sup> Z. Gloger, *(List o drożyznie mięsa)*, „Kurier Warszawski” 1880, nr 160, s. 2–3.

<sup>151</sup> Tenże *Z Podlasia, w styczniu 1875*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 34, s. 3.

<sup>152</sup> Tenże, *Przemysł drobiowy*, „Kurier Warszawski” 1880, nr 274, s. 2.

<sup>153</sup> Tenże, *Z Podlasia, w styczniu 1875*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 34, s. 3.

<sup>154</sup> W m. c.

<sup>155</sup> Z. Gloger, *Z guberni łomżyńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 173, s. 2.

stwem, to niewątpliwie w ciągu lat kilku tak dla rolników, jak i spoźywców miejskich, požądane i trwałe wyda owoce”<sup>156</sup>. Trzeba jeszcze zauważyć, iż gdy o koniach wypowiadał się Gloger niejednokrotnie, szczególnie przy okazji opisu wystaw przemysłowo-rolniczych, to zaskakuje brak licznych relacji na temat stonkunkowo niedawnej jeszcze podstawy polskiego rolnictwa – owiec<sup>157</sup>.

Wreszcie analizuje autor przepisy fitosanitarne, obowiązujące w odniesieniu do epidemii zaraźliwych chorób zwierzęcych, szczególnie tzw. księgosuszu. Opisując na szeregu przykładach przebieg szerzenia się tych epidemii, zaznaczał, iż według „(...) przepisów obowiązujących w Królestwie, biegli, którzy w liczbie trzech (dwóch sołtysów i wójt) dopełniają oszacowania we dworze lub na wsi, muszą być wszyscy z urodzenia włościanami, a żaden z nich nie może być szlachcicem lub mieszczaninem”<sup>158</sup>. Pisząc też o niedoskonałości tzw. przepisów księgosuszowych, prowadzących często do ogólnego wybicia bydła w danej okolicy, wskazywał autor na niejednokrotnie lepsze rozwiązania sprzed wielu, nawet trzydziestu lat, kiedy to udało się w Tykocinie ocalić podczas epidemii księgosuszu nawet czterysta zwierząt<sup>159</sup>. Tym sposobem Gloger uznawał swoistą wyższość rozwiązań i praktyk realizowanych w Królestwie w kwestii epidemiologicznej przed wielu jeszcze laty nad praktykami, które wykonywano w jego czasach.

### *Narzędzia rolnicze*

Przełomowe zmiany w zastosowaniu nowoczesnych narzędzi w produkcji rolnej nie mogły oczywiście ująć uwadze tak uważnego publicyisty, jakim był Gloger. Działo się tak, jakkolwiek jeszcze w roku 1872 podawał on: „(...) dotąd w okolicy naszej główną rolę ma sierp przy spręcie zboża”. Widać przecież było już wówczas pierwsze jaskółki zmian, gdyż „mechaniczna żniwiarka pojawiła się już jedna i w naszych stronach i przez kilka dni funkcjonowała w majątku Mazury”<sup>160</sup>. Równie powolny proces dostrzegał pisarz i w zmianach sposobu orki, szczególnie, że „uprawę roli na północnym Podlasiu, czyli w okolicy Tykocina, Goniądza i Białegostoku, uskuteczniiano dotąd wszędzie sochą (...)”. Ocena tego narzędzia wypadła jednoznacznie, gdyż rzeczona socha „(...) w wielu jednak razach jest niższa od pługa, któremu ustąpić musi”. Tu postęp technologiczny był najszybszy i nawet wyprzedzał dotychczasowe ostrożne antycypacje. Jak zauważał felietonista w roku 1872: „jeszcze niedawno sądziliśmy, że trzeba około dziesięciu lat na wprowadzenie pługa w tych stronach. Dziś z pociechą donieść możemy, że najdalej w czasie o połowę krótszym w żadnym folwarku sochy nikt już nie zobaczy”<sup>161</sup>.

Rok później donosi: „w większej części majątków orzą już nie sochami, ale pługami domowej roboty, bo fabryk tych narzędzi tu nie ma (...)”<sup>162</sup>. O postępie w zastosowaniu różnorodnych narzędzi rolniczych pisał co prawda Gloger niewiele, ale za to – wyjątkowo niejako – przyznając, iż jego pierwotne ostrożne przewidywania co do ich ulepszenia nie sprostały szybko zmieniającej się na Podlasiu rzeczywistości.

### *Parcelacja i scalenia gruntów*

Wśród wielu kwestii nurtujących społeczeństwo Królestwa Polskiego po reformie rolnej pierwszej połowy lat sześćdziesiątych XIX wieku była na poczesnym miejscu – stanowiąca najczęściej jej bezpośredni skutek – parcelacja większych majątków ziemskich czy też mniejszych folwarków. Problem ten nie mógł nie być zauważany przez Glogera. W roku 1874 oceniał on ów proces jako jeden z „(...) niekorzystnych ob-

<sup>156</sup> Tenże, *List o drożyznie mięsa*, „Kurier Warszawski” 1880, nr 160, s. 2–3.

<sup>157</sup> RA 20/79-80, 110–112, 409–413 etc. Tu m.in. informacje o potężnym pogłowiu owiec w Królestwie Polskim w latach trzydziestych XIX wieku.

<sup>158</sup> Tenże, *Epopeja księgosuszowa*, „Kurier Warszawski” 1881, nr 20, s. 2.

<sup>159</sup> Z. Gloger, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1882, nr 72, s. 2.

<sup>160</sup> Tenże, *Z Tykocina, 24 lipca*, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 165, s. 2.

<sup>161</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego, 21 września*, „Gazeta Handlowa” 1872, nr 214, s. 2.

<sup>162</sup> Z. Gloger, *Z Grodzieńskiego, 16 stycznia*, „Gazeta Handlowa” 1873, nr 16, s. 2.

jawów dla postępu naszego rolnictwa (...)”, jawnie kwestionując sensowność takiego rozwiązania. Pytał się w tym samym czasie retorycznie o możliwy postęp produkcyjny i technologiczny w rozprzedawanych na mniejsze części niewielkich teraz gospodarstwach, odpowiadając sam sobie w sposób pesymistyczny, czy wręcz negatywny. Podnosił: „zapewne że w ciągu wieków postęp zrobi tu sobie wyłom, bo takie jest prawo dziejów ludzkich; lecz skądże ta jutrzienka ma rychlej zaświtać i jeżeli w jednym domu widzimy cofnięcie gospodarstwa przynajmniej o cały wiek wstecz, i jeżeli cząstkowi nowonabywcy są dzisiaj mniej światli niż byli właściciele folwarku przed dwustu laty”<sup>163</sup>. Uwidacznia się tu druzgocąca skala oceny o charakterze negatywnym. Po kilku latach, w roku 1880, autor ponownie wyraża swoją negatywną opinię co do zaistniałego procesu parcelacyjnego, wymieniając go wśród konkretnych przyczyn postępującej dewastacji rolnej. Pisał: „parcelacja (...) odwiecznych siedzib szlacheckich pociąga za sobą złe skutki dla rolnictwa dlatego, że nie jest to parcelacja kolonialna lub mała, ale oddzielne folwarki wytwarzająca, ale parcelacja zagonowa i trzypolowa, srodze produkcyjności i postępowi rolniczemu przeciwna”. Zgodnie z opinią Glogera, na skutek ciągłego postępu parcelacji zagonowej poprzednio duże majątki miały się przeistaczać w nieproduktywne szachownice „tysiąca kawałków”, co powodowało nieustanne procesowanie się nowych właścicieli między sobą, a nawet prowadziło do „zatargów, skarg i bijatyk”<sup>164</sup>. Dla Glogera było oczywiste, że na skutek trwającego od czasów reformy rolnej sukcesywnego rozkupowania folwarków przez chłopską, bezrolną i małorolną ludność liczba folwarków musiała się drastycznie zmniejszać. Ostrzegał on jednak, iż tam, „(...) gdzie znika w gminie folwark już ostatni, włościanie zostają przez to istotnie pokrzywdzeni, bo tracą jedyny praktyczny wzór i przewodnika postępu rolniczego”<sup>165</sup>.

Przy okazji przedmiotem „ubolewania” okazał się objawiający się właśnie w nawiązaniu do zjawiska parcelacji z całą jaskrawością brak solidarności społecznej. Ze znacznym stopniem oburzenia spotykało się jednocześnie fałszywe – przynajmniej zdaniem Glogera – przedstawianie w prasie stołecznej problematyki parcelacyjnej, niejednokrotnie związane z zachętami do jej dalszego przeprowadzania. Zachęty te miały nie brać bowiem pod uwagę ogromnej przewagi w całym procesie tzw. parcelacji zagonowej, którą tykociński reporter określał ponownie i jednoznacznie jako „pod wszystkimi względami dla rolnictwa najszkodliwszą”<sup>166</sup>. Pisał Gloger niezachwianie: „upatrywanie polepszenia ekonomicznej doli społeczeństwa w rozparcelowaniu wszystkich folwarków, choćby przez rozczłonkowanie ich na zagony, byle z pozbyciem się owej tak zwanej »szlachty«, jest po prostu nonsensem (...)”<sup>167</sup>.

Zatem głęboką wiarę w szkodliwość parcelacji zagonowej (w przeciwieństwie do dogłębnego przekonania o oczywistym pożytku podziału prowadzącego do powstania na skutek tego procesu jednolitych, samodzielnych i niezadłużonych finansowo mniejszych gospodarstw rolnych, niedużych folwarków czy kolonii) wyrażał Gloger niejednokrotnie, uparcie stojąc na niezmiennym w tym względzie stanowisku<sup>168</sup>. Dla niego – na przykład jeszcze w roku 1890 – „parcelacja jest jako ten miecz obusieczny, którego jedno ostrze, użyte właściwie, może oddać niepospolitą przysługę dobrobytowi krajowemu, a drugie spowodować niepowetowaną klęskę ekonomiczną dla kraju”. Na tej podstawie wnioskował ponownie: „ogólnikowe więc zachwalanie i doradzanie parcelacji (...) dowodziło tylko nieznamości stosunków rolniczych i wypływającej stąd niekonsekwencji ekonomicznych poglądów”<sup>169</sup>. To idealistyczne pojmowanie procesu przemian własności rolnej, które jednak nie mogło być z oczywistych powodów tak natury ekonomicznej, jak i psychologicznej realizowane, świadczyć może w miarę dobrze o jednej z głównych cech twórczości Glogera na polu gospodarczym – o jego znacznym walorze postulatycznym. Niestety, walor ten nie obejmował sobą praktyczności.

Nie znaczy powyższe, iż Gloger nie przedstawiał w tym względzie postulatów, które chociażby przez swoją sensowność i przy teoretycznej przynajmniej dobrej woli ze strony najezdnicznych władz administra-

<sup>163</sup> Tenże, *Z guberni łomżyńskiej, 25 lutego 1874 roku*, „Gazeta Warszawska” (cz. I) 1874, nr 54, s. 3; (cz. II) nr 55, s. 3–4.

<sup>164</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 256, s. 2.

<sup>165</sup> Tenże, *W sprawie rolnej*, „Kurier Warszawski” 1906, nr 203, s. 1.

<sup>166</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 256, s. 2.

<sup>167</sup> Z. Gloger, *Folwark i zagon*, „Gazeta Rolnicza” 1891, nr 23, s. 1–2.

<sup>168</sup> Tenże, *Z gub. łomżyńskiej*, „Gazeta Warszawska” 1886, nr 241, s. 2.

<sup>169</sup> Tenże, *Czym była u nas parcelacja?*, „Słowo” 1890, nr 150, s. 2.

cyjnych miałyby w ówczesnej rzeczywistości szansę realizacji. I tak, felietonista jeszcze w roku 1877 krytykował stosunkowo niedawno wprowadzone w Królestwie Polskim nowe przepisy o zamianie szachownic gruntów dworskich i włościańskich. Stwierdzał wówczas z nieukrywaną goryczą, iż „(...) usunięcie szachownic na podstawie wskazanej przez powyższe przepisy okazało się możliwym w tak małej liczbie miejscowości, iż pojedyncze te wypadki nowego rozgraniczenia nie posiadają wcale ogólniejszej doniosłości”. Wskazując na znaczną ilość wprowadzonych do nowych rozwiązań wyjątków prawnych, podnosił, iż były one *zazwyczaj* stosowane dokładnie w sytuacjach, „(...) które właśnie obejmują w sobie najszkodliwsze dla rolnictwa i najdrażliwsze dla stron obu sytuacje szachownic”. Do tego dochodził brak przymusowej regulacji dla tzw. ogrodów etc.<sup>170</sup>

Ów brak szybkiej regulacji był z drugiej strony dla Glogera w pewnym przynajmniej stopniu zrozumiałą. Przecież miał on pełną świadomość, iż „znaczna (...) większość [gruntów rolnych] nigdy nie posiadała planów żadnych (...)”<sup>171</sup>. Było jednocześnie w pełni dla Glogera jasne, że „niesłychany zamęt i brak ustalenia niewątpliwych tytułów drobnej własności (...) jest rezultatem braku hipotek dla własności stworzonej ukazem z dnia 2 marca 1864 roku”. Nierozwiązany problem hipoteczny w sposób naturalny niejako narastał – szczególnie w warstwie chłopskiej – wraz z upływem czasu, przy pokoleniowej i „handlowej” zmianie właścicieli, gdyż „(...) włościanin nasz po większej części (...) o ustalenie tytułów mało się kłopotuje, zadowolając się posiadaniem (...)”<sup>172</sup>.

Dając przykład lokalnego, gubernialnego rządu łomżyńskiego, wskazywał jednak publicysta na podjęte tamże pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku, celem określenia własności ziemskiej, działania. Władze te mianowicie zawarły wówczas z grupą kilkudziesięciu geometrów umowy, mające na celu dokonanie w ciągu kilku lat obliczenia powierzchni ok. tysiąca wiosek szlacheckich, zlokalizowanych oczywiście w samej tylko guberni łomżyńskiej. Co więcej, na żądanie lokalnych drobnych właścicieli najęci pierwotnie przez gubernialne władze łomżyńskie geometry sporządzali jeszcze dodatkowo szczegółowe mapy posesji prywatnych posiadłości rolnych, „(...) a raczej (...) zagonowych szachownic”. Ten, wydawałoby się, oczywisty proces kontrolno-regulacyjny (który w przyszłości miał stać się „wielkim dobrodziejstwem”), był także pożyteczny i z innego względu. Otóż jego znaczenie zwiększało się, gdy tylko brało się pod uwagę, tak typową dla szlachty zagonowej „mnogość sporów granicznych i pieniactwo (...)”<sup>173</sup>.

W wypowiedziach tych widać pewne zróżnicowanie w podejściu Glogera do drobnej własności szlacheckiej i chłopskiej, co być może było reminiscencją jego – jak można sądzić – częściowo negatywnego stosunku, jeśli już nie do samej idei, to przynajmniej do sposobu przeprowadzenia uwłaszczenia.

### *Służebności i podatki*

Tak czy inaczej, sama idea pełnego uregulowania własności ziemskiej była dla Glogera oczywistością. Nie mógł się tym bardziej autor nadziwić, dlaczego już wkrótce po reformie pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, nie dokonano najszybciej jak tylko było możliwe całkowitej regulacji wszelkich form tejże własności<sup>174</sup>. Szczególnie chodziło Glogerowi o tzw. służebności, pozostawione do wykorzystywania na terenie lasów i pastwisk. Poza bowiem wskazanymi powyżej niedogodnościami, wynikającymi z pozostawienia szachownic własnościowych na terenie pól, wspominał jeszcze pisarz o niewątpliwych szkodach wyrządzonych poprzez brak ich likwidacji na terenie wielu ogrodów, sadów „(...) i niekiedy wewnątrz domów mieszkalnych”. Uznawał szachownice za formę bezpośredniej współwłasności gruntowej, a zachowane służebności były dla niego taką współwłasnością pośrednią. Nie trzeba tłumaczyć, iż taki stan był zdaniem Glogera ab-

<sup>170</sup> Z. Gloger, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 176, s. 1.

<sup>171</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, 6 sierpnia 1889 roku, „Gazeta Warszawska” 1889, nr 203, s. 2–3.

<sup>172</sup> Tenże, *Ze wsi*, „Słowo” 1882, nr 122, s. 1–2.

<sup>173</sup> Z. Gloger, *Z Tykocińskiego*, 6 sierpnia 1889 roku, „Gazeta Warszawska” 1889, nr 203, s. 2–3.

<sup>174</sup> Tenże, *Układ o służebności*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 95, s. 5. Sam jednak Gloger tak szybko zniesienia służebności nie dokonał. Jak bowiem czytamy w tymże artykule: „W majątku Jeżewo, położonym w guberni łomżyńskiej, powiecie mazowieckim, będącym własnością Zygmunta Glogera zawarta została po kilkunastoletnich staraniach właściciela umowa z włościanami o zniesienie służebności”.



solutnie niedopuszczalny, stanowiąc formę gospodarowania o wiele nawet gorszą od pierwotnej współwłasności gminnej sprzed wieków. Tłumaczył zaś swoje stanowisko Gloger tym, iż „(...) dziś na każdej jednostce społecznej i na każdej piędzi ziemi oparte są rozliczne potrzeby i ciężary społeczne”<sup>175</sup>.

W początku lat osiemdziesiątych XIX wieku felietonista przypominał zatem o tymczasowości utrzymywania leśnych i pastwiskowych służebności, ponownie wskazując na ich szkodliwość zarówno dla właścicieli folwarków, jak i dla samych chłopów. Argument był prosty: aby utrzymać gospodarkę rolną na odpowiednim poziomie, należy zapewnić jej prawidłowe, stałe prowadzenie. Tymczasem w ocenie publicysty, kwestię tę potraktowano „jednostronnie”, niejako z punktu widzenia większej własności rolnej (sic!), zapatrząc się na nią tym samym prawie wyłącznie ze stanowiska większych gospodarstw, obciążonych różnorodnymi służebnościami. Główny problem serwitutowy uderzał natomiast w drobnych posiadaczy rolnych – chłopów, „(...) dla których służebności przysługują”. Bazując na własnym, wieloletnim doświadczeniu rolniczym, Gloger był przekonany o zdecydowanie negatywnym wpływie dalszego utrzymywania takiego właśnie rozwiązania na polskich włościan. Typowy chłop bowiem w owej sytuacji „(...) nie przystępuje (...) wcale do uprawy roślin pastewnych, będącej dziś podstawą dobrobytu rolniczego wszystkich większych i mniejszych gospodarstw, (...) a przeciwnie, zasłaniając się prawem, a najczęściej siłą liczebną, wysiła się na unoszenie z lasu dworskiego, co tylko się da najwięcej”<sup>176</sup>. Wynikający z posiadania prawa do serwitutów na gruntach szlacheckich chwilowy i bezwzględnie egzekwowany zysk chłopski miał się zatem w ocenie Glogera obrócić przeciwko tym, którzy dopuszczaliby się podobnych eksploatacyjnych praktyk.

Z kolei z punktu widzenia Glogera innym istotnym problemem polskiego postycziowego rolnictwa było takie ukształtowanie przez carski aparat władzy obowiązującego systemu podatkowego, który „(...) dotknął stosunkowo więcej posiadłości większe niż małe”. Autor dochodzi do prostej konkluzji. Po pierwsze, uwłaszczenie zmusiło wielu mniej energicznych posiadaczy sporej własności rolnej do szukania sposobów pozbycia się posiadanych gruntów. Po drugie, przy generalnie pozytywnym wpływie nowego systemu własnościowo-podatkowego na chłopów, na nowej rzeczywistości zyskali też i przedstawiciele drobnej szlachty zagonowej, którzy egzystowali „bez potrzeb właściwych inteligencji, ciuając w ukryciu grosz do grosza i korzystając w ostatnich kilkunastu latach z wysokich cen zboża (...)”<sup>177</sup>.

Nie umknęła zarazem historykowi na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku inicjatywa rządu carskiego, zmierzającego do modyfikacji podatków i opłat gminnych w Królestwie Polskim. Uważał on przy tym, iż prawidłowe „uregulowanie kwestii ciężarów gminnych w guberniach Królestwa mogłoby (...) nastąpić nawet bez zmiany ustaw zasadniczych”<sup>178</sup>. Tym bardziej pełne gorzkiej wymowy są opinie Glogera wypowiedziane po upływie kolejnych 16-tu lat, a mianowicie w 1906 roku, kiedy wskazywał on, iż „każdy szmat ziemi w Królestwie Polskim, mający na przykład milę wzdłuż i wszerz, płaci przeciętnie tyle ogółem różnych rządowych i gminnych podatków, opłat i ciężarów, ile w Rosji szmat ziemi mający 26 mil w kwadrat; znaczy to, że rolnik w Królestwie płaci podatków 26 razy więcej, aniżeli w cesarstwie (...)”<sup>179</sup>. Brak prawidłowego rozwiązania problematyki serwitutów oraz znaczne obciążenia finansowo-rolne stanowiły zatem niebagatelne utrudnienia w prawidłowym rozwoju polskiego rolnictwa.

### *Wyprzedaż ziemi*

Te wszystkie niedogodności – czy wręcz katastrofy spadające na rolnictwo Królestwa Polskiego końca XIX wieku – łączyły się w sposób naturalny z problemem największym, z groźbą wyprzedaży ziemi i przejścia jej w obce ręce. I nie miał tutaj na myśli oczywiście Gloger tak przez siebie krytykowanego „absenteizmu”, który „(...) pod względem materialnym sprowadza bogactwo do miast, a ubóstwo, ciemnotę i zaco-fanie do wiosek”<sup>180</sup>. Przecież proces ten, określany przez publicystę jako „(...) podrozomania przycichł nie-

<sup>175</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1877, nr 256, s. 1.

<sup>176</sup> Z. Gloger, *Z Zawisła*, „Gazeta Warszawska” 1879, nr 177, s. 1.

<sup>177</sup> Tenże, *O wyprzedaży i rozprzedaży ziemi*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 64, s. 1.

<sup>178</sup> Tenże, *Oplaty gminne w Królestwie*, „Kraj” 1890, nr 9, s. 2–3.

<sup>179</sup> Tenże, *Głos o bezrobociach*, „Gazeta Świąteczna” 1906, nr 1339, s. 4–5; nr 1340, s. 4.

<sup>180</sup> Z. Gloger, *Absenteizm*, „Gazeta Warszawska” 1875, nr 34, s. 2.

co”, co zresztą w niczym nie zmieniało faktu, iż „(...) jako przesiedlanie się do miast grasuje epidemicznie i wielkie zrządza szkody społeczne”<sup>181</sup>. Było to bowiem zjawisko niekorzystne, ale nie mogące jako takie – na ówczesnym przynajmniej etapie urbanizacji w Polsce – stanowczo zaszkodzić lokalnej gospodarce rolnej.

Dla znawcy i admiratora polskiej tradycji prawdziwe zagrożenie tkwiło gdzie indziej. Jak pisał Gloger w 1877 roku: „oto na przykład statystyka wykazuje wśród właścicieli ziemskich w Królestwie zmniejszającą się ciągle liczbę nazwisk starej szlachty polskiej”. Szukając przyczyn tego zjawiska, felietonista nawiązuje do tak popularnego w jego czasach „prawa Strzeleckiego”, jednak nie chce się pogodzić z dziejową koniecznością postępującego zaniku polskiej szlachty-posesjonatów. Dziwi się jednakowoż, dlaczego nasilająca się wyprzedaż „rodzimej ziemi” nie prowadzi w Polsce do pojawienia się „(...) tysięcy rozpraw, polemik i dzieł (...)”; dlaczego proces ten nie przywołuje do głosu „(...) różnych czynników moralnych”<sup>182</sup>. Jedynym może plusem takiej wyprzedaży majątków celem podziału na zagony jest to, iż w ten sposób dostają się one najczęściej nie w ręce obce, a polskie, gdyż „(...) zagon kmiecia naszego lub zagrodowego szlachcica nigdy już nie przejdzie w ręce cudzoziemca”<sup>183</sup>.

Dużo gorszym złem jawi się Glogerowi – co w pełni rozumiałe – wyprzedaż ziemi obcym. Przecież „są okolice, mianowicie w pobliżu granicy pruskiej, gdzie Niemcy wykupili już wielką część posiadłości ziemskich i postępują ciągle w tym ekonomicznym, najniebezpieczniejszym podboju ziemi słowiańskiej”<sup>184</sup>. Inna grupa przejmująca ziemię to oczywiście Starozakonni; szczególnie, że „od czasu (...) możliwości wydzierżawiania [przez włościan] mieszkań we własnych chatach lub gruntu pod stawianie nowych domów i wskutek wzrostu potrzeb codziennego życia ludu, widzimy pewny ruch ludności żydowskiej skierowany do osiadania na wsi”<sup>185</sup>. Zresztą felietonista przedstawia jasno swój sposób rozumowania, podając, iż: „wszystkie reformy i starania rządu w celu podniesienia dobrobytu włościan przechodzą z wolna na wyłączną korzyść innej klasy ludności (...)”. Posługując się przykładem galicyjskim, wskazuje on jednocześnie, iż chodzi mu o grupę ludności starozakonnej<sup>186</sup>. Przechodzenie ziemi z rąk posesjonatów szlacheckich w posiadanie włościan, ludności starozakonnej oraz obcokrajowców było zatem przez Glogera klarownie definiowane i wartościowane.

### *Robotnicy rolni*

Bardziej z produkcją rolną, niż z wiejskimi stosunkami własnościowymi, związana była jeszcze jedna kwestia, na którą Gloger „dawał znaczne baczenie”. Było nią zagadnienie stosunku do robotników rolnych, niejednokrotnie w jego felietonach nazywanych ogólnym terminem „służby”. Pierwszym i zasadniczym niejako problemem był dla felietonisty oczywiście coraz to bardziej wzrastający koszt ich najmu. Typowego robotnika rolnego, żądającego zazwyczaj w Polsce północno-wschodniej stosunkowo wyższych stawek niż w reszcie Królestwa, autor określał zazwyczaj jako „drogiego i niełatwego”<sup>187</sup>. Narzekaniom tym nie było końca, szczególnie, że owa służba miała być „coraz droższa, grymaśniejsza i więcej zdemoralizowana”; a do tego jeszcze fatalną dla posesjonatów sytuację na rynku pracy pogarszała „(...) prawie zupełny brak dobrych ogrodników, kucharek i kluczników dla dworów wiejskich (...)”. To z kolei wymuszać miałyby na właścicielach większych gospodarstw poważniejsze zainteresowanie się kwestią możliwości doboru właściwie wyszkolonych i opłacanych pracowników<sup>188</sup>. W innym miejscu Gloger narzeka: „a i robotnik zdrożał, a co gorsza, że go w najważniejszych chwilach częstokroć za żadne pieniądze dostać nie można”<sup>189</sup>. Cały problem ujął autor bardzo dosadnie, pisząc: „w kraju naszym zaledwie wyjątkowe okolice posiadają dostatek

<sup>181</sup> Tenże, *Absenteizm*, „Gazeta Rolnicza” 1878, nr 10, s. 80.

<sup>182</sup> Tenże, *Słowo o wyprzedaży ziemi*, „Gazeta Rolnicza” 1877, nr 33, str. 260.

<sup>183</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 256, s. 2.

<sup>184</sup> Z. Gloger, *Listy z Podlasia [VIII]*, „Echo” 1879, nr 86, s. 2–3.

<sup>185</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 131, s. 2.

<sup>186</sup> Tenże, *Z powiatu mazowieckiego*, „Gazeta Warszawska” 1880, nr 158, s. 1.

<sup>187</sup> Tenże, *Z powiatu grodzieńskiego, dnia 27 października 1874 roku*, „Gazeta Warszawska” 1874, nr 241.

<sup>188</sup> Tenże, *Listy z Podlasia [XI]*, „Echo” 1880, nr 105, s. 2.

<sup>189</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego, d. 25 lipca*, „Gazeta Handlowa” 1879, nr 170, s. 2.

ląk do pracy, bo kmięć nasz wtedy tylko idzie do dworu na zarobek, gdy go przycięnie potrzeba. Często w dnie jarmarczne niepodobna dostać robotników za żadną cenę”<sup>190</sup>.

Trudności te powiększała jeszcze rzekoma nieuczciwość wielu z rolnych pracowników sezonowych, gdyż „niektórzy biorą zadatki z kilku miejsc, przepijają takowe i robią naraz kilka dotkliwych dla gospodarzy zawodów, ufając w ślamazarność policji wójtowskiej (...), szczególnie, że ta ostatnio złe i nieczęsto prawidłowo wypełniać miała swoje ustawowe obowiązki”. W ocenie Glogera wszystkie te trudności, powiększone jeszcze przez rzekomą „konkurencję o pracownika”, prowadziły w zakresie relacji pracodawca – służba wiejska do powstania i utrzymywania się sytuacji wręcz kuriozalnej. Gloger stawiał nawet pytanie, „(...) która strona [jest] proletariatem i pracą, a która kapitałem?”<sup>191</sup>. Rozgoryczony odpowiada w roku 1882 przecząco na skierowane do właścicieli dużych gospodarstw rolnych zarzuty prasy lokalnej o niedostatecznie wynagradzanie służby i czeladzi wiejskiej. Na dowód prawdziwości swoich tez przytacza wypowiedzi polemiczne, napływające z różnych stron łomżyńskiego i kwestionujące jednocześnie rewelacje o rzekomym „wyzysku” jako podane „(...) z całkowitą niezajomością rzeczy, stosunków rolniczych i wiejskich, na domysł”<sup>192</sup>.

Z kolei w 1906 roku pisze autor z oczywistą dezaprobatą o strajkach rolnych w Królestwie Polskim jako uderzających ekonomicznie w istniejące jeszcze folwarki i ich właścicieli<sup>193</sup>. W innym tekście tej samej daty pisze dosadnie, iż w Królestwie „(...) każdy bojkot przeciw zasiewom lub zbiorom zboża byłby prostą zbrodnią wobec bytu rolnictwa polskiego, a pracą na korzyść rosyjskiego”<sup>194</sup>.

Na koniec dodajmy, iż problemem bezpośrednio nawiązującym do relacji na rynku pracy była oczywiście emigracja, którą – niezwykle zbulwersowany tzw. „awanturą brazylijską” – Gloger się szczególnie zajął w latach 1890/1891. Podając, iż na skutek niezwykle nieuczciwej akcji agitacyjnej „kraj poniósł wielką ekonomiczną klęskę”, zachęcał on wówczas do wprowadzenia szeregu środków zaradczych przeciwko podobnym „nieszczęściom” w przyszłości. Zaliczał do nich przede wszystkim „(...) rozszerzenie oświaty między ludem i zakładanie na prowincji kantorów stręczenia pracy”<sup>195</sup>. Oceniając w roku 1891 cały proces rekrutacji na wyjazd emigracyjny do Brazylii, autor podawał nawet, iż w jego ocenie „hydra nikczemnej spekulacji podobno nigdy nie miała takiego powodzenia, nie zebrała takich plonów i nie wycisnęła tylu łez, jak w tej sprawie”<sup>196</sup>.

Abstrahując od problematyki emigracyjnej, nie ulega wątpliwości, iż opisując kwestie wiejskiej pracy najemnej Gloger kierował się zasadniczo interesem swojej warstwy ekonomicznej, niekoniecznie i nie zawsze przy tym będąc w pełni obiektywnym.

\* \* \*

Tak ujęty krótki przegląd poruszanych przez Zygmunta Glogera w jego artykułach rozlicznych aspektów problematyki gospodarczej nie może z oczywistych względów wyczerpywać tego, jakże wielowątkowego i skomplikowanego, zagadnienia. Winien on jednak znacząco przybliżyć przynajmniej część ze stawianych przez tego autora tez i prezentowanych przez niego poglądów i opisów. Miejmy nadzieję, iż dzięki powyższemu zestawieniu nieco łatwiej będzie nam poruszać się w fascynującym świecie tak odległej w czasie, a tak nam z wielu powodów bliskiej Glogerowskiej ekonomii.

<sup>190</sup> Tenże, *W odpowiedzi na kwestionariusz Ludwika hr. Krasińskiego*, „Niwa” 1885, t. XXVII, s. 750–757.

<sup>191</sup> Tenże, *Z Łomżyńskiego*, „Gazeta Warszawska” 1881, nr 242, s. 1–2.

<sup>192</sup> Z. Gloger, *Z powiatu szczuczynskiego*, „Gazeta Warszawska” 1882, nr 274, s. 2.

<sup>193</sup> Tenże, *Rolnictwo i strajki rolne*, „Kurier Warszawski” 1906, nr 75, s. 1–2.

<sup>194</sup> Tenże, *Z Tykocińskiego*, „Kurier Warszawski” 1906, nr 109, s. 5.

<sup>195</sup> Tenże, *Z miast i wiosek*, „Tygodnik Ilustrowany” 1890, nr 46, s. 310–311.

<sup>196</sup> Z. Gloger, *Listy z prowincji*, „Tygodnik Ilustrowany” 1891, nr 70, s. 279.

## „JA KU TOBIE PODAŻAM, DOMOWY NIEMNIE”. ZYGMUNT GLOGER JAKO PISARZ

Obcy ludzie opiszą świat cały dla nas, a nawet gdy nie będzie nas  
stać na to, to i nasze śmiecie opiszą – ale już nie dla nas.

Zygmunt Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*<sup>1</sup>

### *Pisarz z ducha XIX stulecia*

W odniesieniu do niewielu postaci historii i literatury polskiej powtarzaliśmy tak często pytanie: kim on właściwie był? Naukowcem czy popularyzatorem nauki? Historykiem bardziej czy archeologiem? Etnografem, a może po prostu amatorem, dyletantem, jakich wielu w XIX stuleciu, zakochanych w przeszłości, folklorze, kulturze własnego narodu?

Zygmunt Gloger nie został umiejscowiony na mapie kultury także z własnej „winy”: parał się tak wieloma dyscyplinami wiedzy, że każda z nich, korzystając z jego prac, zazwyczaj obficie się na nie powołując, miała go za reprezentanta innej. Historycy odsyłali po prace Glogera do etnografów (podobnie historycy literatury i języka), etnografowie do archeologów, ci ostatni niebezzasadnie wskazywali, że jest on publicystą, a publicyści przecież przyjąc w swoje grono nie mogli autora monumentów takich jak *Encyklopedia staropolska ilustrowana* (T. I–IV, 1900–1903) czy niedokończone *Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce* (1907, 1909)<sup>2</sup>. Ta bezdomność Zygmunta „bez Ziemi” miała też swoje dobre strony. W niezbyt licznych pracach o nim dominowało spojrzenie reprezentantów różnych dyscyplin: języko- i kulturoznawców, historyków i archeologów etc. Prawie jednak nigdy nie zajmowano się Glogerem w ujęciu interdyscyplinarnym. Nikt nie szukał wspólnej podstawy jego pisarstwa<sup>3</sup>. Bo, dodać musimy, zdawano sobie sprawę z tego, że jest to jakiś rodzaj, typ, gatunek literatury, trudny wszelako do przyporządkowania i opisywania dla etnologa czy historyka rolnictwa na ziemiach polskich.

Pytanie zasadnicze brzmi: czy istnieje taka perspektywa spojrzenia na dorobek piśmienniczy Glogera, która ujmowałaby jakąś cechę wspólną wszystkich jego tekstów? Pytanie drugie stąd wynikające formułuję następująco: czy dla wszystkich rodzajów aktywności (nie tylko pisanej, piśmienniczej) istnieje jakiś mianownik wspólny, idea je integrująca, scalająca? Wyjaśnienie tych kwestii powinna umożliwić odpowiedź na pytanie, które ciśnie się po przeczytaniu XX-wiecznych prac o Glogerze: czy był on (tylko? aż?) „popularyzatorem nauki”? Historii, archeologii, etnografii?

Na pytanie pierwsze chciałbym sformułować odpowiedź jasną i stanowczą: perspektywę scalającą wszystkie teksty Glogera wyznacza jego język. To polszczyzna literacka, niesłychanie swobodna, wyro-

<sup>1</sup> Z. Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*, „Kronika Rodzinna” 1873–1874, nr 10–16 (13 odcinków), cyt. za: Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. I: 1863–1876, pod red. J. Ławskiego i J. Leończuka, wstęp J. Ławski, G. Kowalski, opr. tekstów i przypisy G. Kowalski, Ł. Zabielski, noty i słownik czasopism A. Janicka, indeksy M. Siedlecki i M. Jurkowska, Białystok 2014, s. 269.

<sup>2</sup> Zob. Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, T. I–IV, Warszawa 1900–1903; tegoż, *Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce*, T. I, Warszawa 1907, ss. 383; *Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce*, T. II, Warszawa 1909, ss. 192. Obie prace dostępne są w reprintach XX-wiecznych.

<sup>3</sup> Zob. szczególnie: A. Kutrzeba-Pojnarowa, *Zasługi Zygmunta Glogera w zakresie etnografii*; T. Komorowska, *Zygmunt Gloger – folklorysta zapobiegliwy*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz przeszłości ziemi ojczystej*, Warszawa 1978, s. 63–70, 51–62.

biona stylistycznie, w różnych (w zależności od gatunku) odmianach, balansująca między językiem prozy podróżniczej, eseju, czasem liryki i prozy literackiej a biegunem publicystyki i gatunków naukowych lub użytkowych (hasło encyklopedyczne, studium, recenzja). Gloger we wszystkich tekstach jest znakomitym pisarzem: ma talent stylistyczny, który już od pierwszych prac zdradza jego proza o tematyce historycznej i etnograficznej. Wszystkie teksty, co znać od razu, należą więc do tego samego pióra i talentu. Jest to polszczyzna, jak wskazano trafnie, zakorzeniona w tradycji polszczyzny XIX-wiecznej, lecz nie archaiczna; przeciwnie, dojrzymy w niej tendencje językowe, które określają rozwój języka polskiego w XX wieku<sup>4</sup>. Właśnie dlatego teksty Glogera XXI-wieczny czytelnik czyta bez trudu. Język okazał się w tym przypadku najgłębszym znakiem uzdolnienia, które nazywamy literackim.

Gloger jest twórcą przywiązanym do faktów, lecz też malującym zrekonstruowane w wyobraźni obrazy przeszłości niesłychanie plastycznie, jak w odczycie o prehistorii ziem polskich:

Sztuka kuchenna troglodytów z doliny Prądnika różniła się bardzo od 365 naszych obiadów. Gdy w tysiące lat później Strabon mówi o ludożerczych Antrofozach i Melanchlenach wśród Scytii; gdy dziś jeszcze żyją ludy dzikie, u których synowie pożerają zgrzybiałych ojców, któż wie, azali uczyły podobne nie odbywały się w malowniczej dolinie Ojcowca? Ale nie idzie zatem, żeby nasi troglodyci mieli inne nerwy podniebienne od dzisiejszych; owszem, wszystkie grubsze kości zwierząt znalazł pan Zawisza rozłupane dla wydostania szpiku. Szpik więc jest najdawniejszym przysmakiem człowieka.

Mamutowy mieszkaniec ciemnych i dymnych pieczar miał nawet skłonności te same, co strojniś naszych salonów. Troglodyta, nie znając złota i klejnotów, przedziurawiał kły wilcze i niedźwiedzie, by je zawieszając na sobie jako ozdoby i amulety. Znalazł się nawet zagadkowy, zręcznie z kości mamuta oszlifowany brelok, który należy zapewne do tych czasów, z których pan Zawisza odkrył narzędzia także kościane, podobne kształtem do ryby, uznane przez badaczy w Paryżu za wrzeciona.<sup>5</sup>

Literacka dyspozycja Glogera łączy się u niego z inną: naukową. Świadomie stał się on pełnym pasją poszukiwaczem pamiątek kultury i historii. Te dwie dyspozycje łączą się z trzecią: jest on żywym komentatorem współczesności, publicystą, polemistą, szermierzem postępu, lansującym najnowsze trendy postępu cywilizacyjnego w przemyśle, rolnictwie, kulturze. Już na tym elementarnym poziomie stwierdzić można: wszystkie teksty Glogera napisane są jego idiolektem. Polszczyzna ta zdradza trzy predyspozycje (ambicje!) umysłu Glogera: literacką, naukową i publicystyczną (tutaj też skłonności moralisty i rzadziej polemisty). Słowem – niezwykle prostym i chyba dlatego lekceważonym – które trafnie chwyta ambicję ziemianina z Jeżewa jest czasownik *opisać* – pragnie on ogarnąć, ocalić, ująć, objąć słowem, więc właśnie *o-pisać*, całą przeszłą i teraźniejszą rzeczywistość polską i w ten sposób wpłynąć na jej kształt w przyszłości. *O-pis* ten ma charakter deskrypcji mimetycznej, w miarę wiernej faktom i rzeczywistości.

Ów mimetyzm i realizm Glogera zderza się stale z jego pasją, fantazją i wyobraźnią, przez co nawet w pismach historiograficznych staje się on często wizjonerem, plastycznym kreatorem zamierzchłych światów; a zaś w pismach odnoszących się do współczesności okazuje się on wtedy moralistą i polemistą<sup>6</sup>. Nie znaczy to, że ten wizjoner-publicysta jest wtedy „popularyzatorem” czegokolwiek; ani sam się tak nie określa, ani nie widać tu takiego zamysłu. Gloger we wszystkich tekstach jest zatem uzdolnionym pisarzem autorem oryginalnym.

Czy wszystkie jego teksty należą do literatury?

<sup>4</sup> Por. tezy rozprawy Doroty Rembiszewskiej, *O języku pism Glogera*, [w:] Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. II: 1877–1889, pod red. J. Ławskiego i J. Leończuka, wstęp A. Janicka, D. Rembiszewska, opr. tekstów i przypisy Ł. Zabielski, S. Kochaniec, M. Siedlecki, G. Kowalski, indeksy M. Siedlecki i M. Al-Kaber, Białystok 2015, s. 41–54.

<sup>5</sup> Z. Gloger, *Obrazy zamierzchłych dziejów. Odczyt na rzecz osad rolnych w wielkiej aleksandrowskiej sali ratuszowej w Warszawie*, „Biblioteka Warszawska” 1879, T. II, s. 143–153 i 390–400, cyt. za: tegoż, *Pisma rozproszone*, T. II, s. 141. Gloger nawiązuje z humorem do książek kucharskiej: L. Ćwierciakiewiczowa, *365 obiadów za pięć złotych*, Warszawa 1860 i pierwszej na świecie *Geografii Strabona* z ok. 17. r. n. e.

<sup>6</sup> Por. prace naukowe: A. Adamek-Świechowska, *Reporterskie spotkanie Zygmunta Glogera i Henryka Sienkiewicza w Puszczy Białowieskiej*; ks. J. Sikora, „Rzeka” u Glogera i „rzeka” u Miłosza – studium porównawcze, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz, myśliciel, uczonek*. Studia, red. J. Leończuk, J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016, s. 133–158, 317–328.

W XIX-wiecznym, szerokim pojęciu literatury – tak. Wiek ten obejmował mianem literatury wszystkie wytwory piśmiennicze, które utrwały zbiorową pamięć, dorobek i twórczość kultury polskiej, znajdującej się w śmiertelnym zagrożeniu. Do literatury włączano więc teksty filozofów, prawników, etnografów etc. W tym, historycznie wiarygodnym, kontekście wszystkie prace Glogera należą do literatury XIX wieku w jej XIX-wiecznym rozumieniu. W odniesieniu do współczesnego – o wiele węższego – pojęcia literatury możemy stwierdzić, że niemal we wszystkich tekstach Glogera znajdujemy element literacki, choćby świadomie panowanie nad językiem, formą gatunkową, wcale natomiast nie musimy włączać do literatury wszystkich tych tekstów<sup>7</sup>, szczególnie uchylając kwalifikacje do „literatury pięknej” tam, gdzie nie występuje element wyobraźniowy, gatunkowa cecha lub określona estetyka (związana z ewokowaniem piękna jako jednej z podstawowych, a nie marginalnych, cech tekstu, który ma zadania na przykład w pierwszej kolejności informacyjne).

### *Starożytnik piśmiennik, historyk kultury*

Pytanie drugie łączy się z pierwszym: czy Glogerowska aktywność jako poszukiwacza, kolekcjonera, bibliofila, historyka, pisarza, a nawet gospodarza, działacza Towarzystwa Krajoznawczego – daje się ująć w jedną formułę?

Tak, choć różnych możemy użyć słów na oznaczenie tej formuły: społecznika, działacza, piśmiennika. Gloger najchętniej określał siebie jako starożytnika. Słowo to, według słownika, ma w XIX stuleciu dwa znaczenia: 1. starożytnik to: „*hist. szt.* «znawca, badacz starożytności, kultury i sztuki dawnych wieków; miłośnik dawnych zabytków, ich kolekcjoner»; 2. „*daw.* «człowiek handlujący starożytnościami, antykami; antykwariusz»”<sup>8</sup>. W pewnym szlachetnym ujęciu moglibyśmy nazwać Glogera społecznikiem-antykwariuszem, narodowym antykwariuszem. Ale to metafora! Nas powinno zainteresować pierwsze zdefiniowanie cech starożytnika, niewolne od ambiwalencji, rozdarcia między „miłowaniem” a „badaniem” rzeczy przeszłych<sup>9</sup>. Co ciekawe, hasło encyklopedyczne odnosi starożytnika do dziedziny historii sztuki, lecz nie historii, archeologii, etnologii, literatury, języka... Co to znaczy? To znaczy, że Gloger używał tego słowa w sobie tylko znanym i właściwym rozumieniu.

W jego ujęciu było ono bliższe misji archeologa i historiografa. Archeologia jawiła się młodemu Glogerowi jako matka wszystkich nauk historycznych. O sobie jako „starożytniku” pisał tak:

Był czas, w którym dzieje zamykano w ciasnych ramach kronik, a historyk poprzestawał na notach laptopisów. Lecz z rozkwitem umiejętności ściany gmachu dziejowego jęto rozszerzać dla pomieszczenia nowych, nowych nauk pomocniczych dla historii, których doniosłość wzrasta odtąd z dniem każdym. I przyszła chwila, w której, jak ów malarz, co żeby odzwierciedlił prawdę natury i ciepło kolorytu, winien czerpać tony z farb różnych, tak i dziejopis czerpać musi obok kronik ze źródeł etnologii, lingwistyki porównawczej, ziemioznawstwa i całej grupy nauk starożytnicznych, którym[i] posługują [się] nieraz nauki przyrodzone.

Za pomocą tych wszystkich umiejętności badacz, niby przez szkła teleskopów, zagłębia wzrok swój w ten przestwór, w miarę oddalenia coraz mglistszy i więcej zagadkowy, ginący wreszcie wśród nocy ta-

<sup>7</sup> Chciałbym zaznaczyć, że nie jest to moje własne podejście. Ujmuję całość dorobku Glogera jako znaczeniową i językową pełnię, złożoną z bardzo różnych elementów, scaloną przez język, styl, idee, wyobraźnię twórczą. Zob. także I. Kopania, *Materiały etnograficzne i kształtowanie narracji na temat kultury polskiej u progu XX wieku. Przypadek Zygmunta Glogera*; B. Nowowiejski, *Obraz gwary i ziemi podlaskiej w drugiej połowie XIX wieku (na podstawie słowniczka tykocińskiego Zygmunta Glogera)*; B. Kuryłowicz, *Zygmunt Gloger – kolekcjoner wyrazów? Uwagi o leksykograficznej działalności uczonego z Jeżewa*; A. Rataj, *Kolberg i Gloger*; [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 109-132, 217-230, 231-242, 329-336.

<sup>8</sup> *Starożytnik*, [hasło w:] *Słownik języka polskiego*, pod red. W. Doroszewskiego, Warszawa 1997 (wersja elektroniczna).

<sup>9</sup> Co ciekawe, Doroszewski podaje przykłady użycia słowa o nieco innym odcieniu znaczeniowym: „Za lat młodszych napisał rozprawę [...] wielce cenioną przez starożytników. BARTOSZ. *Hist* 392. Ustalaniem pojęcia klasycyzmu zajmowano się ostatnio na czwartym zjeździe starożytników w Naumburgu, odbytym w czerwcu 1930 r. SINKO. *Lit* 1/2.88”. Dwa kolejne cytaty ukazują starożytnika jako miłośnika „prześlicznej balustrady schodowej” z XVI wieku (Gomulicki) lub specjalistę odczytującego dawne napisy („duńscy starożytnicy”, Kraszewski). Są to więc bez wyjątku naukowcy zajmujący się dawną (starożytną) przeszłością!

jemniczej. Wykrywa nieznanne, ciekawe, stare drogi postępu i rozwoju cywilizacji, a gdy ani potęgą geniuszu, ani śmiałością pomysłów mglistej zasłony znad kolebki pacholęstwa zedrzeć niezdolny; to pracowicie zapisuje, zbiera do skarbnicy nauki najdrobniejsze szczegóły z życia praocjów, wydmuchuje z pyłu zapomnienia pomniki, wynurza z prochów ziemi szczęty narzędzi, sprzętów, starych świętości i ozdoby, które zdziałane ręką istoty myślącej, zawsze zawierają w sobie ukrytą iskierkę jej ducha, wierzeń, pojęć, skłonności, obyczajów lub ślad potrzeb powszednich.

Tam, gdzie o pisaniu dziejów nikt jeszcze nie marzył lub kronikarz niepewne podaje mniemania, przybywa antropolog i lingwista, by chwycić prastarych dziejów wątek, przybywa starożytnik, by ze szczątków zamierchłego bytu, z martwej pleśni grobów wysnuć obraz życia pokoleń, wyświetlić rozwój postępu i przemysłu, stare drogi handlu i cywilizacji.

Archeologia nie jest już rozrywką amatorską, ale nauką dziejową i prawie ścisłą. Nie jest też tak nową i młodocianą, za jaką ogół ją poczytuje<sup>10</sup>.

Gloger okazuje się oto w rozumieniu własnym „starożytnikiem”, czyli historykiem i archeologiem. Gołym okiem widać, że jego pasja tylko w mniejszym stopniu obejmuje historię sztuki, archeologię i historiografię. A *Pisma rozproszone* pokazują, że przynajmniej połowa zebranych dzieł publicysty dotyczy współczesności. Co więcej, znaczą część dorobku tworzą teksty, które w najściślejszym współczesnym rozumieniu zaliczylibyśmy do literatury pięknej: podróżopisarstwo, reportaże, wspomnienia i obrazki, wiersze, nowele (*Dolinami rzek, Popas w Sławopolu, Sen ziemianina*, teksty o Białowieży, *Z życia dworu wiejskiego*). Inna część tego dorobku to publicystyka uprawiana w rozmaitych gatunkach dziennikarskich.

Jest więc ów pisarz kimś innym, kimś więcej niż tylko starożytnikiem. Kim? Tu nie może być łatwo o odpowiedź. Jako człowiek nie tylko piszący, lecz i człowiek czynu, autorytet, jest on z pewnością kimś, kogo w nowej formule nazwałbym pisarzem starożytnikiem albo starożytnikiem piśmiennikiem<sup>11</sup>. W starożytnictwie Glogera trzeba jednak nieodwołalnie pomieścić jego aktywność: działacza, organizatora, badacza, gospodarza, popularyzatora i tak dalej. Każda z tych jego aktywności ma (ale nie zawsze) konsekwencje pisarskie. Jak już wskazywano, ideą, słowem-kluczem, kategorią regulatywną jego myślenia o świecie jest gospodarowanie: światem historii, kulturą, cywilizacyjnym dorobkiem, piśmiennictwem. We wszystkich rolach i na wszystkich polach Gloger pragnie rozumnego gospodarowania – światem całym i własną wioską, Warszawą i odległymi zakątkami Ziemi<sup>12</sup>.

Konkludując: w rozmaitych odmianach swej aktywności jest Gloger pisarzem starożytnikiem (i pisarzem, i starożytnikiem w szerokim znaczeniu). Na przestrzeni tekstów będzie pisarzem w szerokim XIX-wiecznym znaczeniu lub pisarzem w wąskim sensie współczesnym. Dalej ów: piśmiennik (pisarz) starożytnik, mistrzowsko władający piórem, okazuje się także w ścisłym tego znaczeniu: archeologiem (tak się sam określał, szczególnie w młodości), dziejopisem o wielu twarzach (historyk kultury materialnej, techniki, rolnictwa, gospodarki itd.), etnografem (etnologiem; tu spełnia się tak jako utrwalacz dorobku ludu, jak i jako jego interpretator); historykiem sztuki (*Budownictwo drzewne*, hasła *Encyklopedii*); antropologiem i historykiem obyczaju (*Białowieża w albumie*); historykiem literatury (teksty o pisarzach, genezie dzieł); językoznawcą (autor słowników, etymolog, paremiolog); publicystą (rola szermierza postępu), pisarzem-epikiem (Gloger jako poeta, prozaik). Oczywiście, można ilość dyscyplin pomnożyć. We wszystkich wypowiedziach się z kunsztem językowym, który pozwala bez wątpliwości przypisać go do wielkiej rzeszy XIX-wiecznych pisarzy starożytników, piśmienników, których bezradnie nazywamy dziś „literatami”, „etnografami”, „dyletantami”, „popularyzatorami”.

<sup>10</sup> Z. Gloger, *Obrazy z zamierchłych dziejów. Odczyt na rzecz osad rolnych w wielkiej aleksandrowskiej sali ratuszowej w Warszawie*, cz. I: „Biblioteka Warszawska” 1879, t. 2, s. 143-153, cz. II: tamże, s. 390-400. Zob. *Pisma rozproszone*, T. II, s. 139.

<sup>11</sup> Zwracał na to uwagę inny badacz. Zob. G. Kowalski, *XIX-wieczna „silva rerum”*. *Pisma Zygmunta Glogera*, [w:] Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. I, s. 39-60.

<sup>12</sup> Por. A. Janicka, *Dwie prowincje. Młodzi pozytywiści – Zygmunt Gloger*; J. Ławski, *Prowincja jako centrum świata: Zygmunt Gloger*, [w:] *Historik a literat v provincii / Historyk i pisarz na prowincji*, red. K. Czajkowski, J. Malura, J. Spyra, Ostrava 2015, s. 260-275, 276-290. Por. także: Ł. Zabielski, *Słowańszczyzna Glogera. Uwagi nad warsztatem badawczym starożytnika*; G. Kowalski, *Odzyskiwanie historii. O starożytnictwie Zygmunta Glogera*, [w:] *Przestrzenie dialogu*, red. C. Iwanowa, A. Janicka, J. Tambor, L. Kostowa, Wielkie Tyrnowo 2015.

Gloger nie był popularyzatorem ani nauki, ani literatury. W obu tych dziedzinach przejawiał samoistne ambicje, wpisujące się w ducha epoki, która pomna na fakty, że Polacy nie mają ni państwa, ni wielkiego poparcia międzynarodowego, starała się ocalić wszystko, co polskość tworzyło, czekając już prawie od stu lat na historyczny przełom<sup>13</sup>. Gloger dożył zwiastunów tego przełomu w 1905 roku, ale wypadki rewolucyjne bardziej go przerażały niż napawały nadzieją. Lecz nie był popularyzatorem także dlatego, że granice między dyscyplinami i duch specjalizacji jeszcze nie rozwinęły się w takim stopniu, jak w XX-leciu międzywojennym i w ogóle w XX wieku. Nie było nauki we współczesnym znaczeniu i nie było popularyzacji nauki w mediach. Natomiast można Glogera – ale tylko w niektórych tekstach – nazwać pionierem współczesnej popularyzacji nauki. Tak samo zresztą był on pionierem ochrony przyrody i zwierząt, języka polskiego i krajoznawstwa.

Nie podejmując się tu określenia ścisłej definicji „kultury”<sup>14</sup>, chcę jednak wskazać, że ten pisarz starożytnik był też – w innej perspektywie – zupełnie pionierskim historykiem kultury, czyli wszystkiego tego, co wspólnota ludzka wytworzyła na określonej przestrzeni i w czasie. Interesował go każdy przejaw historyczny dorobku kulturowego: artefakty, architektura, język, obyczaj, gospodarka, zabawa, piśmiennictwo, poezja, rybołówstwo, polityka, pomologia i pisykultura, pszczelarstwo i historia strojów, duch narodu i etniczna odmienność, role reprezentantek i reprezentantów obu płci w ich historycznej zmienności, dzieje broni i życie naukowe dawniej i w XIX wieku. Znów: długo by wyliczać.

Jako historyk kultury widział spoiwo tych wszystkich dziedzin w mądrym gospodarowaniu, zarządzaniu dorobkiem kultury, wyrażającym ducha narodu<sup>15</sup>. Podstawowymi narzędziami jego aktywności jako historyka kultury materialnej i niematerialnej były: wyprawa (badawcza, krajoznawcza), kolekcja (archeologiczna, bibliofilska etc.) i pisanie (*o-pisywanie* wytworów kultury, ich zapisujące utrwalanie i interpretacja) i głoszenie (edukacja narodu, popularyzacja dorobku nauki). Ze wszystkich dokonań najtrwalsze okazały się pisma Glogera i jego rozproszone kolekcje (zbiory)<sup>16</sup>. Jedne i drugie nie powstałyby bez żywego

<sup>13</sup> Jak wskazał w recenzji tomu *Zygmunt Gloger. Pisarz...* (dz. cyt.) prof. Julian Maślanka, wiek XIX był cały zajęty podejmowaniem trudu ocalania dziedzictwa narodowego:

„Wiadomo, że bardzo źle się działo pod zaborami, zwłaszcza rosyjskim i pruskim (szczególnie za Bismarcka), gdzie władze zaborcze po wielkich powstaniach narodowych wprowadziły bezwzględny reżim, starając się za wszelką cenę Polaków zrusyfikować i zgermanizować. Ale w austriackim zaborze, gdzie do powstania styczniowego też było bardzo ciężko (rabacja z podjudzenia władz i in.), po uzyskaniu przez Galicję autonomii nastąpiła repolonizacja uniwersytetów w Krakowie i Lwowie (1871), co zresztą nie było cesarską łaską, ale wywalczone przez profesorów-Polaków (m.in. Antoniego Małeckiego) i, oczywiście, wskutek osłabienia Austrii po wojnie z Prusami.

W każdym razie uniwersytety przetrwały germanizację i intensywnie działały. Począwszy od r. 1869, organizowano kongresy naukowe w różnych specjalnościach, w których brali udział też Polacy z dwóch pozostałych zaborów, którzy powoływani byli np. na członków Akademii Umiejętności (od 1872). Próbowano organizować ogólnopolskie kongresy w zaborze rosyjskim i pruskim, ale bez rezultatu. W l. 1869–1914 odbyło się 59 takich kongresów, z czego 33 w Krakowie, 21 we Lwowie, a tylko (i dopiero na początku XX w.) 2 w Poznaniu i 3 w Warszawie. Szczególnie prężnym ośrodkiem naukowym był w tym czasie Lwów, gdzie powstało szereg towarzystw naukowych: Polskie Towarzystwo Przyrodników im. M. Kopernika (1875), Towarzystwo Historyczne (1886), Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza (1887), Polskie Towarzystwo Ludoznawcze (1895) i in. Po 1918 r. wszystkie stały się ogólnopolskimi, a założone wówczas przez nie czasopisma, jak «Kwartalnik Historyczny», «Pamiętnik» (od 1887, a od 1902 «Pamiętnik Literacki»), «Lud» i kilka innych, wychodzą do dziś. (Szerzej na ten temat piszę w szkicu *Nauka i niepodległość pod zaborami* w książce *Szkice z dziejów literatury i kultury* (Kraków, PAU, s. 49-67.)

Niepodległość w 1918 jest, oczywiście, dziełem walki (powstania i nie tylko) oraz pracy całego narodu, a w tym też działalności naukowej takich badaczy, jak Gloger, i takich instytucji naukowych jak towarzystwa, które powstały wtedy w Galicji, gdzie były ku temu bardziej sprzyjające warunki. Nic dziwnego, że Legiony Piłsudskiego zawiązały się w Krakowie i z krakowskich Błoni małą uliczką od nich prowadzącą (zwaną Oleandry) ruszyły do Kielc i dalej. Polscy uczeni z innych zaborów przybywali do Galicji, np. Wielkopolanie (wykształceni w Niemczech) do Lwowa, jak wspomniany Antoni Małecki (m.in. pierwszy wydawca i monografista dzieł Słowackiego), znakomici filolodzy klasycyści: Zygmunt Węcławski (1824–1887) i Ludwik Ćwikliński (1853–1942), którzy otrzymali katedry na Uniwersytecie Lwowskim”.

<sup>14</sup> O trudnościach w zdefiniowaniu kultury na potrzeby badań literaturoznawczych zob. R. Nycz, *Poetyka doświadczenia. Teoria – nowoczesność – literatura*, Warszawa 2012.

<sup>15</sup> Pisań na ten temat w sposób pogłębiany: B. Dopart, *Zygmunt Gloger „Rok polski w życiu, twórczości i pieśni”*; M. Piotrowska, *Budowanie wspólnoty w przestrzeni społecznej. Kilka uwag na marginesie „Obchodów weselnych” Glogera*; M. Woźniewska-Działak, *Pytania o rację bytu narodowego. Wokół „Ojczyzny ze stanowiska chrześcijańskiego” Zygmunt Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 53-66, 97-108, 85-96.

<sup>16</sup> Patrz: A. Antoniuk, *Z działalności kolekcjonerskiej Zygmunt Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger – badacz...*, s. 25-36.



kontakty z naturą i historią (wyprawy krajoznawcze) oraz interakcji ze współczesnymi (apele o odsyłaniu pamiątek, prelekcje, publicystyczne kampanie i polemiki).

Pisarz starożytnik i historyk kultury – tak widziałbym syntetyczne figury misji Glogera, w których mieszczą się wszystkie inne pasje i projekty jeżewianina. On sam mówił o sobie skromnie i tak samo pisał o swej pracy – głównie jako dopełnianiu dzieła poprzedników:

W nowszych już czasach zwrócono pilną uwagę na język pieśni ludu, podania i przysłowia; zaczęto je skrzętnie spisywać, studiować zwyczaje i obrzędy, lud bowiem nieoświecony jako niedopuszczający do siebie tak łatwo nowości, sposobem tradycyjnym z odległej przeszłości je przechował.

Te, jak i podobne im prace archeologiczne, przyniosły ważne dla historii rezultaty, wzięto się do nich z zapałem, bo o ich konieczności i wielkim pożytku przekonano się dostatecznie.

Lubo na polu tym u nas niezmordowana praca kilku badaczy znakomite przyniosła usługi, przyznać jednak trzeba, iż wiele go jeszcze leży odłogiem, a to z przyczyny, że tysiączne pieśni, przysłowia, zwyczaje, zabytki archeologiczne, rozrzucone po wszystkich zakątkach całego kraju tudzież obrzędy w rozmaitych okolicach różnie obchodzone tworzą olbrzymi materiał, do którego zebrania wiele czasu, pracy i rąk potrzeba.

Zważywszy te okoliczności, powodowani niemniej chęcią przechowania niektórych rzeczy niknących i zacierających się z dniem każdym, zamierzylimy skreślić monografię jednej z okolic naszego kraju, a mianowicie okolicy górnej Narwi, okolicy, w której leżą miasta: Wizna, Tykocin i Suraz<sup>17</sup>.

Jeśli więc nazywamy go dziś pisarzem starożytnikiem, wyrażającym ducha dziewiętnastowieczności, epoki, kiedy role społeczne rozdzielala historia, a nie tylko społeczeństwo lub państwo, to czynimy to z pełną świadomością funkcji, jaką wówczas pełniło dla i wśród Polaków słowo pisane. Idea słowa, które umożliwia narodowi zrozumienie „siebie w jestestwie swoim”, rzucona przez Maurycyego Mochnackiego, znalazła najszerzy możliwy oddźwięk wśród Polaków tej epoki<sup>18</sup>. W 1884 roku w wydanej w Kijowie antologii XIX-wiecznej literatury polskiej Józef Ignacy Kraszewski tak dobitnie tę ideę i z ekspresją rozwijał:

Świat nasz jest nieustannem wcielaniem się Słowa Bożego, a ta cielesna szata ilekroć się zmienia, pozostaje z niej tylko to, co jej dało początek: Słowo.

Niszczą ruiny, w proch rozsypują się groby, z narodów, ich potęgi, ich dziejów, nic nie trwa, oprócz słowa. Piśmiennictwo jest żyjącą spuścizną życia, jest zarodem przyszłości. Tam, gdzie łańcuch tradycji zerwany, gdzie przebrzmiało słowo, gdzie pismo nieczytelne i nieczytane się stało – śmierć i nicość panują.

Każdy też naród dbały o żywot swój najwyższą wagę przywiązuje do utrzymania tego, co ducha jego przechowuje i krzepi...

Z warunków życia wiele utracić można, nie tracąc życia i nadziei odrodzenia; jeden tylko język zapomniany, literatura zatraczona i zaniedbana – są symptomem upadku, ciosem, który zabija.

Wszystko, co godnym było żyć, co stanowiło właściwość i charakter narodu, mieści się w jego literaturze, jawnie lub jako pierwiastek, który dobyć z niej może krytyka i poszukiwanie. Ona jest skarbnicą i źródłem, ona prawdziwą, jedyną, nie sfalszowaną historią przeszłości. Obok niej tylko sztuka, pokrewna i bratnia, stanąć może, potwierdzająca swym językiem to, co piśmiennictwo głosi.

Jak dalece poznanie przeszłości jest warunkiem bytu dla przyszłości: dowodzić byłoby zbyt cieżko. Tylko na tej podstawie budować ją można, a im ona głębiej sięga, tem gmachowi większą trwałość zapewnia.

Instynkt zachowawczy narodów wskazuje im cenę tych zabytków, w których nasiona dalszego rozwoju spoczywają... Do najniebezpieczniejszych a złowrogich epok zaliczyć trzeba te, które obojętnością względem piśmiennictwa niemoc swą zdradzają<sup>19</sup>.

<sup>17</sup> Z. Gloger, *Obrzędy rolnicze*, „Biblioteka Warszawska” 1867, T. II, s. 274-284, cyt. za: *Pisma rozproszone*, T. I, s. 143. Podkr. moje – J. Ł.

<sup>18</sup> Zob. M. Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*, Warszawa 1830; K. Krzemień-Ojak, *Maurycy Mochnacki. Program kulturalny i myśl krytycznoliteracka*, Warszawa 1975.

<sup>19</sup> J. I. Kraszewski, *Słowo wstępne do: Złota przędza poetów i prozaików polskich*, T. I, pod red. P. Chmielowskiego i S. Krzemieńskiego, Warszawa 1884, s. III. Pisownia oryginalna.

Zwróćmy uwagę na to, że ta antologia poezji nazywa również literaturę piękną „piśmiennictwem”. Nieprzypadkowo. Piśmiennictwo to coś więcej niż tylko poezja. To ogół świadectw pisanych, w których duch wspólnoty, jej wieków przeszłych i współczesności się wyraża. Gloger dopowiadał, że wyjawia się on we wszystkim – obyczaju, tradycji, pieśni i przysłowiu ludu, sylwach szlacheckich, kościołach i bożnicach, języku i sztuce. A wszystkie przejawy tego życia „ducha” wspólnoty przede wszystkim starał się ocalić i przemyśleć. Wszystko, co spływało doń z dokonań współczesnych, analizował i obwieszczał ziomkom. Narzędziem tych prac na najwyższym poziomie przemyśleń było pióro polskiego piśmiennika i starożytnika.

Dlatego właśnie traktujemy go jak pisarza i nazywamy pisarzem. Zarówno w ich, ludzi tego wieku, znaczeniu, jak i w znaczeniu jak najbardziej dzisiejszym, co znaczyć też będzie jutro, kiedyś: dawnym, przeszłym i... starożytnym.

### *Publicysta*

Od znaczeń najszerzych przejdźmy do tych nieco bardziej szczegółowych. Gloger jest bowiem – jako pisarz – nade wszystko publicystą. I to publicystą wszechstronnym, znakomitym. Bez wątplenia można w jego publicystyce wyróżnić kilka faz: bardzo płodną, niezwykle pod względem stylistycznym dynamiczną młodość (1863 do około 1870), publicystykę okresu dojrzałego, kiedy Gloger nie tylko opisuje i analizuje problemy społeczne, ale pragnie je także rozwiązywać według recept, które sam przedstawia (kwestia chłopska, żydowska, ziemiańska, cygańska i inne)<sup>20</sup>. Ów okres trwa od 1880 do roku 1904. Wreszcie publicystykę okresu późnego, naznaczoną trwogą rewolucji 1905 roku, przeczuciami nadchodzącej katastrofy, obrazami ruiny gospodarczej i kulturowej kraju (nie wątpię, że Gloger przeczuwał nadchodzącą Wielką Wojnę i rewolucję rosyjską).

Gloger jako publicysta jest mistrzem kilku gatunków literackich: artykułu, felietonu, reportażu i sylwetki. Najistotniejsze wydają się w tej grupie jego artykuły opisujące konkretne problemy. Mają one najczęściej bardzo podobną – przemyślaną – trzyczęściową konstrukcję: intrygującą partię wstępną, następnie część analityczną i zazwyczaj ujętą w jednym akapicie puentę, pisaną, podobnie jak część wstępna, z epickim oddechem.

Przypatrzmy się jednemu z nich: *O niepojmowaniu obowiązków. Gawęda z 1891 roku („Niwa”)*. Tekst ma nieco mylący tytuł: może to być „gawęda”? Czyżby o wybitym w pierwszym rządzie problemie Gloger chciał rozprawiać w duchu gawędy szlacheckiej? Publicysta eksponuje ostro temat w sformułowaniu „niepojmowanie obowiązków”, po czym łagodzi ton ową gawędowością. Dlaczego? Bo jego tekst jest artykułem hybrydycznym gatunkowo. Tytuł niewątpliwie łagodzi ostrze oskarżeń kierowanych przeciw próżnującej młodzieży, ale gawędowość pozwala na włączenie w wypowiedź elementów poetyki eseju: swobodnego i subiektywnego przeskakiwania od jednego do drugiego aspektu problemu. Staje się też w pewnym stopniu obrazkiem z życia prowincji, ujętym w mikronarrację, którą uruchamia akapit wstępny:

Cóż miłszego na wsi w długie wieczory zimowe nad pogawędkę przy kominku? Oczekiwałem właśnie przybycia jednego z moich sąsiadów, którego towarzystwo lubiłem i z którym miałem pogwarzyć w kilku kwestiach żywotnych. Ale śnieżna zawiewa, a może inne przeszkody, nie pozwoliły mu przybyć dzisiaj. Siedziałem więc samotny przy ognisku, a myśl moja przebiegała z przedmiotu na przedmiot, powracając zawsze do najbliższych sercu zagadnień, jako ten ptak wędrowny, który okrążywszy dalekie pola i rozłogi, wiecznie podąża z utęsknieniem do swego gniazda, pragnąc w nim znaleźć szczęście i pokój i miłość. Nie

<sup>20</sup> Zob. z prac na tematy: E. Ilnatowicz, „*Rok polski w życiu, tradycji i pieśni*”. *Literackie sensy i konteksty*; U. Kowalczyk, „*Mapografia*” *Zygmunt Glogera. Kilka uwag o „Geografii historycznej ziem dawnej Polski*”; K. Bogusz, *Mazury i Etka w pismach Zygmunt Glogera z lat 1863–1876*; J. Ławski, *Inna tragiczność: „Z życia dworu wiejskiego” Zygmunt Glogera*; G. Kowalski, *Czego szukał Zygmunt Gloger w dolinach rzek?*; „*Bibliotekarz Podlaski*” 2017, nr 1 (32). W tymże numerze pisma rozmowy z potomkami: Magdaleną Zawidzką-Kwiatkowską, Lilianą Gloger, Andrzejem Matuszewiczem i Zdzisławem Wojno. Por. także: J. Ławski, *Pytania (d) o Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 35-52; tegoż, *Liberalna utopia: „Głos ze wsi w kwestii żydowskiej” Zygmunt Glogera*, [w:] *Żydzki wschodniej Polski*, Seria V: *W kręgu judaizmu*, red. J. Ławski, I. E. Rusek, Białystok 2017; E. Wroczyńska, *Bożnice w Polsce w materiałach Zygmunt Glogera*, [w:] *Rok Glogerowski. Materiały popularnonaukowej sesji Białystok 10 listopada 1985 roku*, red. M. Maranda, Białystok 1986.

było miłego sąsiada, musiał więc go zastąpić świtek papieru, na którym zacząłem notować myśli a słowa, i nie spostrzegłem się, jak nabazgrałem cały długi morał o przyczynach niemocy społecznej, płynącej z niepojmowania obowiązków przez jednostki, będące częstkami organicznego ustroju. Być może, iż morał ten kresliłem w życiu nie raz pierwszy i przesłałem do druku nie raz ostatni, nadużywając cierpliwości czytelników<sup>21</sup>.

Potem mamy już „całego” Glogera: bezkompromisowego, piszącego jasno, a zarazem z polotem, emocjonalnie zaangażowanego w problem:

Aby oddziałać przeciw lekkomyślnemu marnotrawstwu, próżniactwu, szulerce i nierządowi, które spotykamy jeszcze wśród naszej młodzieży, dwa są ku temu główne środki. Pierwszym jest dobry przykład rodziców, przyjaciół, znajomych, w ogóle starszych. Gdyby ojcowie i wujaszkwowie mniej czasu spędzali na rozrywkach, mniej przesiadywali przy zielonym stoliku, brzydzili się szlaką grą namiętną i kosztowniejszą, liczyli się z każdą godziną czasu poświęcając go pracy, wystrzegali się niedorzecznych blichtrów i ostentacji, także i cynizmu moralnego, a więc dawali przykładu poważniejszego żywota, to wśród ich synów, krewnych i w ogóle młodzieży byłaby nieskończenie mniejsza ilość karciarzy, chorych, próżniaków i trwonicieli ojcowizny. Drugim środkiem jest odpowiednie traktowanie towarzyskie ludzi występnych. Jeżeli nie podajemy ręki przestępcy, który sięgnął po cudzą portmonetkę, nie powinniśmy podawać jej także człowiekowi, który, zmarnotrawiwszy fundusz rodziny lub sprzedawszy ziemię Niemcom, skrzywdził własne dzieci lub własne społeczeństwo, usuwając spod nóg ich glebę<sup>22</sup>.

Całość zakończy puenta, podsumowująca wyniki przemyśleń, wybrzmiewająca jak teza, z którą nie sposób polemizować:

Za namową i wskazówkami zacnych kapłanów lud zakłada pasieki, sady, tworzy orkiestry parafialne, strzeże się ognia, obchodzi łagodniej ze zwierzętami, ochrania zwierzyńnię, korzysta z czytelnicy, prenumeruje pisemka popularne, mniej się procesuje i tak dalej.

Obowiązek pracy tego rodzaju jest długiem zaciągniętym u społeczeństwa, do którego należymy, a obciążającym cały ogół. Dług ten, niespłacony przez którąkolwiek jednostkę, spada na karki innych. Przyczyną tej zgubnej niewypłacalności jest u nas bynajmniej nie zła wola, ale *niepojmowanie obowiązków społecznych*, co właśnie dało mi powód do dzisiejszej pogawędki<sup>23</sup>.

Im dojrzałszy był Gloger, tym swobodniej poczynął sobie z poetyką artykułu, zmieniając go w esej, obrazek, nowelę, wspomnienie. Takie łączenie gatunków było u niego częste. Nierzadko artykuły publicystyczne wzbogacał elementami gatunków wypowiedzi naukowej – studium czy recenzji. Trafiają się też u Glogera gatunki, które możemy wprost nazwać: esej, recenzja, nekrolog, sylwetka (od formy zwięzłego biogramu po rozbudowane obrazy życia i twórczości sławnych Polaków i Polek). Gloger jest mistrzem form reportażowych. Jego opisy podróży po rzekach czy wypraw na prowincję, do Puszczy Białowieskiej, stają się mistrzowskim zapisem wrażliwego zmysłowo obserwatora, odczuwającego romantyczny puls natury i historii, i trzeźwego publicysty, badacza, a czasem ekonomisty, etnologa, archeologa.

Mieszanie elementów bezpośredniej obserwacji i publicystycznej refleksji sprawia, że Gloger łączy gatunki, nigdy jednak nie tworzy publicystycznych form wypowiedzi o nieokreślonym charakterze. Przeciwnie. Druga połowa XIX wieku i początek XX to era prasy. Prasy jako oręża walki o nowy, „pozytywistyczny” kształt społeczeństwa (wiemy, że Gloger osobiście, po swojemu pozytywizm pojmował)<sup>24</sup>. Autor *Ab-senteizmu* był publicystą emocjonalnym, ale przedkładał, inaczej niż na przykład Świętochowski czy Jeske-

<sup>21</sup> Z. Gloger, *O niepojmowaniu obowiązków. Gawęda*, „Niwa” 1891, nr 3, s. 42-44. Cyt. za: Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. III, niniejszy.

<sup>22</sup> Tamże.

<sup>23</sup> Tamże.

<sup>24</sup> A. Janicka, *Zygmunt Gloger wobec teorii i praktyki pozytywizmu*, [w:] *Pisma rozproszone*, T. II, s. 23-40. Zob. A. Janicka, *Tradycja i zmiana. Literackie modele dziewiętnastowieczności: pozytywizm i „obrzeża”*, Białystok 2015. Tu: *Zygmunt Gloger w kręgu tradycji Mickiewiczowskiej: 1863–1876*, s. 261-280.

Choiński, ludzie z zupełnie przeciwnych obozów, argumentację logiczną nad stylistyczne i oratorskie popisy. Stąd teksty jego oprócz wymiaru perswazyjnego mają ogromną wartość poznawczą. Faktów, idei, myśli nie trzeba tu interpretacyjnie odkopywać spod warstwy stylistycznej. Ten umiar okaże się cennym wkładem Glogera w nasze dziś poznawanie XIX wieku.

Do gatunków przez lata uprawianych przez publicystę (choć z wiekiem z mniejszą intensywnością) należał felieton. Gloger pisywał głównie teksty z pogranicza notatki prasowej i felietonu. Dotyczyły one spraw prowincji, cen zbóż, pogody i jej wpływu na zbiory, życia wsi. Dziś nazwalibyśmy całość tego dorobku publicystyką rolną, gospodarczą albo korespondencjami z prowincji. Tę prowincję podniósł pisarz dzięki systematyczności korespondencji do poziomu wiedzy ogólnospołecznej. Tam, gdzie docierały „Gazeta Rolnicza”, „Gazeta Handlowa”, „Gazeta Warszawska”, „Kłosa”, „Kurier Warszawski”, tam wszędzie czytano felietony i artykuły pod niezliczoną ilość razy powtarzającymi się tytułami: *Z Tykocińskiego, 11 lipca; Z Grodzieńskiego, 18 września; Z powiatu ostrowskiego (gubernia łomżyńska), 11 listopada; Z Białostoku, 11 grudnia* [teksty z „Gazety Handlowej”], czy *Z powiatu kolneńskiego, 10 stycznia; Z guberni łomżyńskiej, 25 lutego 1874 roku; Znad Świsłoczy [pod dniem 24 listopada]; Znad Narwi, w marcu; Ze Żmudzi, we wrześniu; Z Tykocina* [tytuły z „Gazety Warszawskiej”].

Publicystyka Glogera wyraziście przeciwstawiała prawdę doświadczenia prowincji teoretyzowaniu stołecznych apostołów pozytywizmu. Twórca podniósł podlaską, grodzieńską czy żmudzką prowincję do wysokiej godności jednego z barometrów życia całej wspólnoty narodowej pod zaborami. A diagnozował to życie w setkach tematów: kształcenie młodych, postęp cywilizacyjny, sądownictwo, uwłaszczenie, wystawy rolnicze, ogrodnictwo, prasa prowincjonalna i dla ludu, leśnictwo i czytelnictwo we dworach itd.<sup>25</sup>

Obok czysto publicystycznych – aczkolwiek często łączonych ze sobą – gatunków Gloger pisywał teksty, które należą do piśmiennictwa naukowego: raporty z wykopiek archeologicznych, studia, recenzje naukowe; prócz nich pojawiały się teksty wyraźnie sprofilowane tak, by służyły popularyzacji nauki: odczyty, eseje, czasem omówienia książek naukowych, także zagranicznej literatury, którą, szczególnie w obszarze archeologii i prehistorii ziem polskich, Gloger znał wyśmienicie. Był on i w tych obu odmianach pisarstwa naukowego fachowcem, ostro czasem formułującym sądy:

Wszelkie poszukiwania starożytnicze, odkrycia i wykopaliska, nabierają dopiero wtedy prawdziwego znaczenia dla nauki, gdy przeprowadzono je systematycznie w danej okolicy lub porównano i zestawiono w jeden obraz na mniejszej lub większej przestrzeni krajów. Luźne odkrycia mają wprawdzie podstawowe znaczenie owych cegieł, bez których gmach stanąć nie może, ale żeby stanął, należy posiadać dostateczną ilość i wapno albo cement do spojenia. W literaturze naszej archeologii, zwłaszcza przed kilkunastu laty lub nieco dawniej, stawiano nieraz wnioski i hipotezy, które nie mają dziś naukowego znaczenia, bo wysnute były z faktów pojedynczych, a upaść musiały wobec szeregu nowych odkryć. Że wspomnimy tu tylko *O wykopaliskach leżajskich*, pracę napisaną pięknie i z erudycją przez Karola Rogawskiego, który jednak niewątpliwie rzecz swoją całkiem inaczej traktowałby, gdyby wówczas znano tak liczne w naszym kraju stacje krzemienne, do których i Leżajsk przeważnie należy<sup>26</sup>.

Trzeba podkreślić, że całe pisarstwo Glogera, czytane od pierwszego do ostatniego akapitu, cechuje się niesamowitą skalą tematyczną przy – równocześnie! – przywiązaniu publicysty do określonych tematów, sądów, postaw. I tak, jak na początku, tak na końcu jest on stróżem świętego prawa własności ziemi; jest emisariuszem idei postępu naukowego, zwalczając wszelkie nowinki filozoficzne, które podkopują wiarę i religię (o tychże rzadko zabiera głos); stoi na straży wszystkiego, co rodzime, ale cały czas marzy o włączeniu do wspólnoty narodowej Żydów, Cyganów, warstw najuboższych; okazuje się miłośnikiem idei naro-

<sup>25</sup> Zob. M. Siedlecki, *Czytelnictwo, prasa, biblioteki we wczesnych pismach Glogera do 1876 roku*; K. Filipow, *Numizmatyka w „Encyklopedii staropolskiej” Zygmunta Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 337-350, 280-290.

<sup>26</sup> Z. Gloger, *Mapa archeologiczna Prus Zachodnich (dawniej Królewskich) z przyległymi częściami W. Ks. Poznańskiego. Tekst objaśniający na podstawie badań dokonanych w latach 1875-1878, opracował Godfryd Ossowski, wydanie nakładem śp. Zygmunta Działowskiego*, Kraków 1881, „Biblioteka Warszawska” 1882, t. II, s. 313-316. Cyt. za: tegoż, *Pisma rozproszone*, T. I, s. 192. Gloger odnosi się krytycznie do pracy: K. Rogawski, *O wykopaliskach leżajskich. Rzecz archeologiczna*, Kraków 1856.

du, lecz o narodach sąsiednich albo prawie nie pisze, albo czyni to z ogromnym krytycyzmem (Niemcy i ich „kulturregerstwo”)<sup>27</sup>. Nie cierpi: utracjusztwa, marnowania czasu, nieracjonalnego gospodarzenia na wsi, „paplarstwa”, mody (sic!), używek, podróžomanii; słaui filantropię, postęp technologiczny, prawo, podtrzymywanie obyczajów, propagowanie oświaty na wsi i czytelnictwa. Nie znosi nieuctwa i niewiedzy. Nie znosi teoretyzowania, szczególnie w salonach warszawskich, oderwanego od praktycznej strony życia; tak samo nie cierpi prowincjonalnego zacofania dworu i nędzy włościan<sup>28</sup>. Można powiedzieć, że publicysta ma swoje obsesje tematyczne i silnie zaznaczone preferencje ideowe. Pewne sprawy dyskusji nie podlegają. W tym jest wyrazisty.

Niezbyt często sięga po pióro polemisty, ale kiedy już to czyni, trudno mu nie przyznać racji (tak jest w jego potyczkach z Bolesławem Prusem, „Echem Łomżyńskim” i Józefem Albinem Herbaczewskim). Publicystykę Glogera wyróżnia przywiązanie do merytorycznego ujęcia, unikanie argumentów *ad personam*, logika wywodu połączona ze stonowaną emocjonalnością.

W gatunkach bliższych nauce zachowuje rygor logicznego wykładania tematu. Natomiast w prelekcjach pozwala sobie na użycie wyobraźni w dużej dawce, co czyni jego obrazy przeszłości żywymi. Pisarz jest też, jak wiemy, rysownikiem: bardzo wiele swych artykułów ilustruje rysunkami. W tekstach krajoznawczych są to na przykład rysunki świątyń, bożnic, spichlerzy; w pracach antropologicznych znajdujemy zaś przedstawienia znalezisk, na przykład strzał, okrzosków, prehistorycznej biżuterii<sup>29</sup>. Nie przypadkiem najślawniejsze dzieło Glogera w trzecim członie tytułu wskazuje, iż jest to „encyklopedia staropolska”, lecz „ilustrowana”. Autor pragnie nie tylko opisać przeszłość, lecz ją też u n a o c z n i ć. W swym podróžopisarckim arcydziele i pracach z XX już wieku sięga rozmyślnie i z pełną świadomością artystyczną po fotografię<sup>30</sup>. Jest ona równowartościowym wobec tekstu elementem semantyki jego dzieł.

Gloger jako publicysta nie był w XX wieku szeroko znany i czytany. Jego teksty, pomimo znacznego postępu w digitalizacji prasy XIX-wiecznej, wciąż pozostawały w pełnym tego słowa znaczeniu „rozproszone”. Trudno było przecież po podjęciu tematu szczegółowego przeglądać liczącą prawie tysiąc pozycji bibliografię, a też nikt nie brał się za ogarnięcie całości. Dopiero wydanie w pełni<sup>31</sup> tego dorobku w wersjach drukowanej i elektronicznej, opatrzonych indeksami, umożliwi połączenie wielu niewidocznych do tej pory nici tematycznych, ideowych i artystycznych. Ukáže Glogera jako znakomitego szermierza słowem, klasyka XIX-wiecznej publicystyki.

### Poeta i prozaik

Jak wskazywałem, pisarz-uczony, piśmiennik starożytnik swobodnie przechodził od gatunku do gatunku. Gloger miał jednak także – zarówno spełnione, jak i niespełnione – marzenia pisarskie. Chciał być pisarzem w nowoczesnym i zarazem prastarym tego słowa znaczeniu: jako poeta, prozaik. Już jego publicystyka wskazywała tu niemałe ambicje. Nie takie rzadkie są jego teksty, które łączą poetykę wspomnienia, obrazka i artykułu – jeden z nich *Z życia dworu wiejskiego* nazwałem arcydziełem gatunku. Także jego reportaże bliskie są prozie artystycznej i często idą po prostu w prozę podróžopisarstwa. Właśnie w ostatnim

<sup>27</sup> Wyjątkiem są Litwini i ich narodowe ambicje – Gloger często podejmuje ten temat. Zob. Z. Gloger, *Kwestia litewska w prasie polskiej*, Warszawa 1905.

<sup>28</sup> Gloger jest jednym z nielicznych, którzy upominają się o kobiety wiejską, z ludu, o jej prawa, edukację. Piszę o tym: J. Ławski, „Kobieta, kobieta!” – ale jaka?, [w:] *Przemiany dyskursu emancypacyjnego kobiet*, Seria I: *Perspektywa środkowoeuropejska*, red. A. Janicka, M. Bracka, C. Fournier Kiss, Białystok 2017.

<sup>29</sup> Gloger najczęściej nie podpisywał swych rysunków. Jego autorstwo potwierdzają domowe archiwa potomków pisarza. Zob. M. Zawadzka-Kwiatkowska, *Zygmunt Gloger we wspomnieniach rodzinnych*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 29-34.

<sup>30</sup> I w tej dziedzinie szedł śladem współczesnych. Kraszewskiego na przykład. Zob. A. Kowalczykowska, *Słowo i obiektyw. Warszawa Józefa Ignacego Kraszewskiego i Karola Beyera*, [w:] teŹże, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, red. i opr. tekstu A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2014, s. 309-322.

<sup>31</sup> Jeśli nawet wydamy zdecydowaną większość artykułów Glogera (choć są kłopoty ze znalezieniem niektórych z nich, także odnalezieniem takich jak „Echo Łomżyńskie”), pozostanie problem edycji całości jego dorobku, listów, *Encyklopedii staropolskiej* w nowym krytycznym opracowaniu.

gatunku Gloger osiągnął najwięcej. Publikowane w prasie podróże po Niemnie, Biebrzy, Narwi, Bugu<sup>32</sup> to arcydzieła gatunku. W dość zmienionym kształcie składają się one na tom, który bez wątpienia należy do klasyki literatury polskiej: *Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy* (1903).

Ukazuje się w nim ten Gloger, który jest stróżem tradycji, ale jeszcze bardziej dynamicznym człowiekiem nowoczesnym: z ołówkiem w ręku ruszającym na spływy rzekami, łączącym słowo i fotografię, zarazem realistą i, gdy pisze o zabytkach, symbolistą. Co ciekawe, *Dolinami rzek* to książka, która – wymagając osobistego odbycia wielu rzecznych podróży – powstawała przez ponad ćwierć wieku. Pierwsze rejsy opisuje Gloger w gazetach w 1873 roku, a cały tom publikuje w roku 1903, poprzedzony przedrukiem entuzjastycznej opinii Elizy Orzeszkowej o jednej z wypraw. Wysokie miejsce przyznać trzeba także reportażom Glogera, szczególnie białowieskim, i tomowi *Białowieża w albumie* (1903). Ich walory estetyczne są bezdyskusyjne<sup>33</sup>. Można powiedzieć, że we wszystkich tych odślonach tryumfuje Gloger jako nowoczesny tradycjonalista:

Parność, chmura daleka i grzmoty, zapowiadały burzę, ale nie było czasu na wyczekiwanie jej w Prenach. Gdyśmy minęli miasteczko, błyskawice i gromy powtarzały się coraz częściej i bliżej, potem chłodny wiatr zaczął igrać z falami. Postanowiliśmy tedy żeglować na trzy wiosła, aby zdążyć do odległych o ćwierć mili Bogran, gdzie znajdowała się karczma w pobliżu rzeki. Niemen coraz bardziej był wzburzony od wiatru, z płowego zmienił się w modry, a fale nie pozwalały nam płynąć środkiem. Wiktor radził zawczasu wylądować, bo dalej mówił, przy stromym brzegu i silnej fali, będzie coraz trudniej. Pragnęliśmy jednak podpłynąć bliżej gospody. Ale od forsownego wiosłowania i walki z wiatrem, upadaliśmy już na siłach, gdy jeszcze na tysiąc kroków przed upatrzonym schroniskiem, doścignęła nas gwałtowna nawałnica. Był to prawdziwy potop, wśród którego straciliśmy z oczu cel naszych marzeń, tj. karczmę w Bogranach. Nareszcie przemokli do nitki, wylądowaliśmy przy stromej ścieżce, która miała zaprowadzić nas pod strzechę. Niestety ścieżka była gliniasta, żłobiasta i przemieniona w mały górski potoczek, tak że wydobyć się z tłómaczkami na wyżynę było zadaniem owego rycerza z bajki, który aby osiąść zaklętą królową, musiał wjechać na szklaną górę, gdzie stał jej zamek<sup>34</sup>.

Jak pamiętamy, zapisy przygód rzecznych podróżników przeplatane są erudycją historyczną, podawaną z lekkością. Podróż ta dzieje się w przestrzeni, ale i w czasie. Podróż to przez zmieniający się świat, lecz także w zamierzczłą tradycję.

Gloger miał ambicję bycia także poetą. Poetą w typie staropolskiego ziemianina, zapisującego swoją *silva rerum*, a czasem sięgającego do muzyki poezji. Pisał skromnie zawsze, że nie ma talentu i ambicji poety. Było to krygowanie się, bowiem już w 1883 roku Gloger opublikował *Marzenia samotnika. (Poemat ziemiański)*, wskrzeszający wzorzec idylli ziemiańskiej. W poemacie pomieścił pisarz, jak zauważyła to Teresa Komorowska – liryczny autoportret i zarazem, dodajmy, *credo* życiowe:

Człowiek, który siadywał w tym skarbcu pamiątek,  
Zamknął się w nim za młodu i już lat dziesiątek  
Codziennie tu przybywał do swego ukrycia.  
[...] Za cel swego życia  
obrał prace, o których z ludźmi mówił mało,  
choć poświęcił im przeszłość – oddał przyszłość całą.  
Człowiek ten był dziwacznym marzycielem może,  
bo w zwycięstwo na ziemi dobrej sprawy wierzył,  
Ludzi mierzył zasługą, imię czynem mierzył,  
Ufał w pracę i serce, w miłosierdzie Boże,

<sup>32</sup> Zob. Z. Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*, „Kronika Rodzinna” 1873, nr 10-13, 16, 18-20, 24; 1874, nr 3, 8, 14, 16. Por. *Pisma rozproszone*, T. I, s. 269-320.

<sup>33</sup> Zob. Z. Gloger, *Białowieża w albumie*, Warszawa 1903, ss. 40. Por. wnioski, do jakich dochodzi, porównując opisy Białowieży u Glogera i Sienkiewicza, współczesny badacz. Zob. K. Szamryk, *Jeden temat – dwa pióra*, „Z Puszczy Białowieskiej” Henryka Sienkiewicza a „Białowieża w albumie” Zygmunta Glogera, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 243-257. Jeśli jednak porównywać tekst Sienkiewicza, to z takimi relacjami Glogera, jak: *Wycieczka do Białowieży*, „Biblioteka Warszawska” 1881, T. 1, s. 424-432.

<sup>34</sup> Z. Gloger, *Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy*, Warszawa 1903, s. 63-64.

I szukał tylko zawsze myślami tęsknemi  
 Aniołów pośród ludzi i nieba na ziemi  
 I miłował poezję, ale taką, która  
 Nie unosiła ducha w przestworów krajiny  
 Kędy pusto i głucho, ani w Alp doliny  
 Ale do Soplicowa – nad Wisły równiny.<sup>35</sup>

Pisarz przejawiał ambicje poetyckie, choć nie miał wielkiego talentu. Jego ambicją było przedstawienie ideału staropolskiego świata ziemiańskiego, który po oczyszczeniu, przeobrażeniu byłby wzorem życia społecznego dla potomnych. Przy tym – im był starszy, tym silniej pisarz zdawał sobie sprawę z utopijności tej wizji. Jezewo stylizował na Czarnolas i Soplicowo, a przecież sam w końcu przeniósł się do Warszawy, by spocząć na Cmentarzu Powązkowskim przy drugiej żonie, pochodzącej ze środowiska mieszczańskiego, Kazimierze z Weissbornów Wilczyńskiej.

U podstaw takiej ambicji wykreowania nowego świata, zarazem staro- i nowopolskiego, tkwiły pasje historyczne i literackie. Truizmem jest miłość Glogera do staropolszczyzny. Wskazywano już na jego niesamowitą erudycję literacką<sup>36</sup>. Ale rzadziej pisze się o tym, że Gloger właściwie cały czas odwoływał się do tych samych nazwisk: typów literatury. A konkretnie: stale powołuje się na kronikarzy średniowiecznych, z których Długosz obok Galla i Kadłubka jest najulubieńszym. Wielbi i cytuje bez liku Kochanowskiego<sup>37</sup>, Reja, Górnickiego, czasem Kromera, Strykowskię. Jest miłośnikiem pamiętników staropolskich, gatunku *silva rerum*, a także poezji ziemiańskiej XVII wieku: Szymonowica, Haura, Ostroroga, Rysińskiego. Z poetów XVIII wieku odwołuje się do Krasickiego, Naruszewicza, Węgierskiego. Jest bezkrytycznym wielbicielem młodego i dojrzałego Mickiewicza: od debiutu *Zimą miejską* (1818) do *Pana Tadeusza* (1834). O prelekcjach paryskich, towiańszczyźnie i w ogóle późnym Mickiewiczu nic u Glogera nie słyhać. Darzy cziłą filomatów i filaretów (*Czczota*, *Zana*), często przywołuje Odyńca; jest miłośnikiem romantyzmu krajowego (Syrokomla, Pol, Barszczewski, Kirkor) i znawcą niezliczonej rzeszy narodowych piśmienników, pisarzy filozofów (Supiński), historiografów (Bartoszewicz), etnografów, archeologów, ekonomistów (Jelski, Łepkowski, Łuniewski).

Z tej jego erudycji, na jej gruncie, kształtuje się obraz świata jako wielkiego gospodarstwa o hierarchicznym porządku wewnętrznym, z transcendentną, nadaną mu moralnością, której strzeże religia; oświatą, która podnosi niższych z pomocą warstw wyższych; z wolną konkurencją w dziedzinie gospodarki i nauki, która umożliwia lepsze gospodarzenie światem, ale nie niszczy wiary, porządku, moralności, nie odbiera wolności „prawdziwej”. Z jednej strony ten obraz ufundowany jest na tradycji, a z drugiej na obrazach lepszej przyszłości, wolnych jendakowoż od wszelkiego utopizmu, anarchizmu, nihilizmu.

Ideał takiego świata wyrażał *Pan Tadeusz*. Gloger kilkakrotnie sięgał po formę poematu (*Marzenie ziemianina*, *Sen ziemianina*) i wizji spisanej prozą, by ów świat wyrazić. W cytowanym *Marzeniu samotnika* (*Poemacie ziemiańskim*) z 1883 roku ten ideał wprost nawiązuje do arcywzorca panatadeuszowego, mocno akcentując w partiach niektórych ton krytyczny wobec zepsucia współczesności:

Wojak był rówieśnikiem i kolegą broni niegdyś z ojcem dziedzica. Dziś pług z drżącej dłoni oddał synom i wnukom, a sobie zostawił teorban dźwięcznostruny; nim starzec się bawił, i często na mogile poza wioską siadał, gdzie stare pieśni nucił lub nowe układał.

Na znak dany przez matkę, dwa hoże podlotki wniosły starego miodu opleśniałą flaszę, a gospodarz rzekł, lejąc w lampkę napój słodki:

<sup>35</sup> Z. Gloger, *Marzenia samotnika*. (Poemat ziemiański), Warszawa 1883, s. 4. Por. T. Komorowska, *Gloger. Opowieść biograficzna*, Warszawa 1985, s. 288-289.

<sup>36</sup> Zob. T. Komorowska, dz. cyt.; A. Janicka, *Postępowy tradycjonalista. Zygmunt Gloger obraz kobiety XVIII i XIX wieku*, [w:] teże, *Tradycja i zmiana...*, s. 281-296.

<sup>37</sup> Gloger nie traktuje Kochanowskiego jak historyk literatury. Podchodzi do niego jako erudyta, miłośnik, badacz przeszłości i przede wszystkim pisarz przetwarzający liczne motywy z Kochanowskiego i dziesiątek innych twórców staropolskich. Por. także: M. M. Kacprzak, *Jan Kochanowski w pracach Zygmunta Glogera. Poezja staropolska w badaniach XIX-wiecznego etnografa*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz...*, s. 169-204.

– Wszak i miód ten pamięta młode lata wasze?

– I ta lipa – rzekł starzec – co nam cieni czoło, tuśmy dziećmi igrali w żołnierzy wesoło, ojciec Waścin dowodził, ja kapralem byłem, póki drewnianej szabli w stalną nie zmieniłem. [...]

– Któż dziś wam zaśpiewać – rzekł lirnik wioskowy – gdy dum tyle się ciśnie na struny, do głowy, a głos już w piersi starej ledwie się kołata...

Ale bez żalu zejść spokojny ze świata, bo teorban mam komu zostawić śród wioski, i liczne, które wplotłem w jego strony, piosnki. O! za moich lat młodych wiele gorzej było, ludzie jak lód wyziębli i zdrętwiali byli, moc się mędrków i wieszczków w świecie namnożyło, którzy pieśni nie znali, a z serca szydzili, – inni, chociaż o sercu księgi napisali, czuć sercem nie umieli, cichej łzy sromali.

– Ojczy – rzekła matrona – w tej wielkiej odmianie zasługa jest kobiety – odkąd błędna droga dla niej obcą, a celem ten wielki dar Boga, to najwyższe na ziemi matki powołanie...

Tu starzec silnie brzęknął w teorbanu struny, i ku niebu podniósłszy swój wzrok załzawiony, drżącym głosem zanucił o szczęściu na ziemi, które Bóg ludziom rozsiał rękami szkodremi, lecz człowiek zasiew boży deptał swemi nogi, póki kobieta-matka nie wniosła plon drogi pod strzechę domu ojców, jako ta *Jedyna*, która powiła światu na zbawienie *Syna*.

Lampa gasła wśród izby, gdy brzask jutrzni złoty przebudził samotnika z marzenia cudnego. Jakoż powstał, wzrok podniósł i westchnął z tęsknoty za złudzeniem, co było... ach tylko snem jego!<sup>38</sup>.

W tekstach pisanych prozą, takich jak *Sen*, *List znad Narwi*, *Popas w Sławopolu*, powraca to samo marzenie o Bożym, harmonijnym świecie pracy, modlitwy, domowego szczęścia w dworku:

W pewnym zakątku kraju niewiele znanym światu, strojnym w szatę zielonych łąk i wieniec brzozywych gajów, a przepasanym modrą wstęgą rzeki, stał wśród sadu pod cieniem lip sędziwych ich rówieśnik dworek drewniany. Bielone ściany jego i zielone okiennice harmonijnie odbijały na tle ogrodowej gęstwiny. Grzędy kwiecia otoczyły go kołem, a dzikie wino bujnie opłotło wsparty na czterech słupach ganek i szerokie gościnne ławy. Nie było herbów na szczycie tylko na drzwiach przybity obrazek N. P. Częstochowskiej z Antyfoną<sup>39</sup>.

Znamienne, że te teksty były dość ostro krytykowane przez przedstawicieli „partyjnej” krytyki jako archaiczne<sup>40</sup>. Gloger nie był wielkim poetą. Był natomiast niezłym poetą, co widać nie na tle *Pana Tadeusza*, bo przy nim błędnie wszystko, lecz gdy porównać go z licznym gronem poetów ziemian, którzy, jak Wiktor Zaleski z Krupic, zapisywali wierszem i prozą żywot XIX-wiecznego ziemianina, szczęście wsi i pokusy wielkiego świata:

Skromność i wstyd są cnoty niewieście. Świeta jest wstydlivość i skromność tak ślicznie wyrażona w płci otwartzszej, a przeto słabszą zwanej; przytomna dusza pamięta przymusy przyrodzone i nabyte, strzeże się błędów ile jej moc przy łasce Najwyższego pozwala. Kobieta bez skromności i wstydu wyzuwa się z czucia i pamięci słabości swojej, rzuca się w odmęt obłąkań zwodniczych, i poniewierając się, ginie.

*Pisałem w Krupicach, 1860 r.*<sup>41</sup>

Zaleski jest tylko jednym z tych wielu, którzy jeszcze znając „rozkosze” ziemiańskiego świata, już widzieli niebezpieczeństwa szalonego wieku emancypacji płci, klas, narodów, tego wieku pary i żelaza, który

<sup>38</sup> Z. Gloger, *Sen wieśniaka*, „Gazeta Rolnicza” 1881, nr 52, s. 613-616; 1882, nr 1, s. 1-3. zob. *Pisma rozproszone*, T. II, s. 923-926.

<sup>39</sup> Z. Gloger, *List znad Narwi*, [w:] *Sobótka. Księga zbiorowa na uczczenie pięćdziesięciolecia jubileuszu Seweryna Goszczyńskiego*, Lwów 1875, s. 549-554, zob. [w:] *Pisma rozproszone*, T. III.

<sup>40</sup> Por. T. Komorowska, dz. cyt., s. 291-292. Tu krytyczny głos Józefa Karola Potockiego z „Prawdy” (1883, nr 29).

<sup>41</sup> *Poezje Wiktora Zaleskiego*, Warszawa 1861, s. 96. Jeśli dobrze identyfikują autora, chodzi o dziedzica dóbr w Krupicach koło Siemiatycz, gospodarującego tu w latach 1857-1890 (w tym czasie mniej więcej Gloger pracował w Jeżewie: 1872-1893). Zob. E. Bończak-Kucharczyk, J. Maroszek, *Krupice Boguszki – ogród dworski*, [w:] <http://www.tekstowy.minigo.pl/index.php/page/krupice-boguszki>.



oznaczał koniec ziemiańskiej Arkadii<sup>42</sup>. Glogerowe próby cechuje na tym tle coś, co nazwałbym „świadomym eskapizmem”, połączonym z trzeźwą samooceną talentu pisarskiego. O ile teksty poetyckie raczej mu nie wychodziły (jest też autorem wierszy natchnionych duchem historii i folkloru oraz wiersza dla ludu napisanego specjalnie do śpiewania), o tyle ujęte w konwencji obrazka czy snu teksty prozą mają wysokie walory (choć oczywiście zapisują odchodzącą w przeszłość wizję świata, ale notują ją też z ostrą samowiedzą).

Pisarz spełnił się jeszcze w jednym rodzaju twórczości: jako badacz folkloru spisywał baśnie, przysłówia, legendy, pieśni ludu. O ile w zapisach pieśni autorstwo przyznać można ludowi, o tyle jako spisywacz baśni, legend, podań Gloger angażował swe własne pióro, wyobraźnię. Szedł tu śladem swego znakomitego nauczyciela historii i pisarza Kazimierza Władysława Wójcickiego (1807–1889), którego gawędy, klechdy, baśnie (1837, 1840) budziły przecież ostre spory o ich wierność przekazowi ludowemu<sup>43</sup>. Pamiętajmy, że był to wiek sławnych falsyfikatów literackich, mody na Słowiańszczyznę i autentyk kulturowy, które nie-rzadko osiągnęto, tworząc siłą wyobraźni „autentyczne” teksty dawne, ludowe (właściwie: falsyfikaty)<sup>44</sup>. Gloger, o ile można tu zapisać intuicję, był w tej aktywności zapisywacza przekazów ludu bliższy oryginalnym fabułom, ale kształtował je oczywiście własnym piórem<sup>45</sup>.

Trzeba też powiedzieć, iż gospodarz spod Tykocina i z Jezewa okazał się człowiekiem dysponującym nie tylko samowiedzą pisarską, talentem, lecz także znającym swe rzemiosło i jego ograniczenia. Nie pisał o wszystkim i w każdy możliwy sposób. Wprawdzie w duchu XIX-wiecznego genetyzmu zdarzało mu się napisać rozprawkę historycznoliteracką<sup>46</sup>, podać do druku listy wieszczka, ale nie zajmował się nigdy recenzowaniem współczesnej mu produkcji literackiej, a przecież między 1863 a 1910 rokiem przebrzmiały dwie epoki literackie: pozytywistyczna i młodopolska. Gloger z zasady nie komentował dzieł literackich Żmichowskiej, Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Konopnickiej, Rodziewiczówny, Wyspiańskiego, Przybyszewskiego czy Brzozowskiego. Nie wiemy, co czytał z tych autorów. Na pewno Kraszewskiego, Orzeszkową i Prusa, ale co więcej? Osobiście znał Żmichowską, Orzeszkową, Sienkiewicza, Kolberga i bardzo wielu innych XIX-wiecznych piśmienników. Nigdy też nie przejawiał ambicji powieściowo- czy dramatopisarskich. (Przez nieporozumienie przypisywano jego żonie, Aleksandrze z Jelskich, autorstwo powieści, których autorką była inna pisząca kobieta)<sup>47</sup>. Podobnie nie wkraczał w dziedziny piśmiennictwa, w których nie czułby się pewnie. Popularyzował Supińskiego, ale nie uprawiał eseistyki filozoficznej, nie podejmował wątków z dziedziny bujnie rozwijającej się psychologii (owszem, utrwalił ślady fascynacji mesmeryzmem, seansem magnetyzowania z pierwszej połowy wieku)<sup>48</sup>.

Niewiele wiemy o tym, jakim Gloger był epistolografem. Znane i wykorzystane w jego biografiiach zespoły listów trudne są w takim ujęciu do naukowej oceny. Gloger jako epistolograf ma nam, jak sądzę, wiele do powiedzenia, a postulat edycji jego korespondencji i listów do niego jawi się jako pilny i ważki. Wiele zaskakujących faktów z życia prywatnego, którego szczegółów nie ujawniał w publicystyce, i niemało informacji o życiu elity społeczeństwa postyczniewego zapewne by te listy odsłoniły.

<sup>42</sup> Pogłębioną analizę literackich, poetyckich wizji Glogera przedstawia Łukasz Zabielski: „Cogito” marzyciela. O Zygmunta Glogera „Marzeniach samotnika”, [w:] *Zygmunt Gloger – pisarz...*, s. 291-316.

<sup>43</sup> Zob. K. W. Wójcicki, *Stare gawędy i obrazy*, T. I-IV, Warszawa 1840; K. W. Wójcicki, *Klechdy, starożytnie podanie i powieści ludu polskiego i Rusi*, T. I-II, Warszawa 1837. Ostrą krytykę tych klechd przedstawił Roman Zmorski: *Rozbiór. Stare gawędy i obrazy Kazimierza Władysława Wójcickiego*, „Piśmiennictwo Krajowe” 1840, nr 45; zob. [w:] R. Zmorski, *Lestaw. Szkic fantastyczny*, wstęp i opr. tekstu H. Krukowska, red. tomu i *Aneksu* J. Ławski, Białystok 2014, s. 191-195.

<sup>44</sup> Por. Z. Klarnerówna, *Słowianofilstwo w literaturze polskiej lat 1800 do 1848*, Warszawa 1926; A. Witkowska, *Słowianie, my lubim sielanki...*, Warszawa 1972; M. Rudaś-Grodzka, *Sfinks słowiański i mumia polska*, Warszawa 2013; M. Ruszczyńska, *Słowianie i słowianofile. O słowianofilijskich dyskursach w literaturze polskiego romantyzmu*, Kraków 2015.

<sup>45</sup> Utwory Glogera są w XXI wieku, niestety, wydawane samowolnie i niechlujnie w edycjach, które z naukowością niewiele mają wspólnego.

<sup>46</sup> Na przykład: Z. Gloger, *Skąd powstała ballada „Lilie”, „Kłosa”* 1888, nr 1226; zob. *Pisma rozproszone*, T. II, s. 797-799.

<sup>47</sup> Por. uwagi T. Komorowskiej, która – niestety – tylko w przypisie wyjaśniła to nieporozumienie: „T. Delimat w *Polskim słowniku biograficznym* mylnie przypisał o Aleksandrze z Jelskich Glogerowej pseudonim »Ory« i autorstwo powieści *Hanka* (1910), *Panta rei* (1910) i in. Wg informacji rodziny pseudonimu tego używała Wiktoria z Jelskich baronowa Ley von Neuhoff” (dz. cyt., s. 446).

<sup>48</sup> Por. Z. Gloger, *Magnetyzm przed laty 70-ciu*, „Gazeta Polska” 1890, nr 109, s. 2-3, [w:] *Pisma rozproszone*, T. III.

## Wizjoner

Gloger, to truizm, należy do wszystkich: badaczy literatury, etnologów, historyków i reprezentantów tych arcylicznych dyscyplin, które, dziś wyłonione spośród innych i samodzielne, w wieku XIX były częścią ówczesnej nauki, często publicystyki. Na szacunek zasługują nade wszystko język, styl, wyobraźnia, z jakimi zarówno utrwał, jak i kreował rzeczywistość. Miał swój jedyny, niepodobny do żadnego innego świat wyobrażeń. Imaginarium Glogera kształtowały pozostające w harmonii ze sobą język, rozum (zamyśl analityczny, rozsądek), pamięć (tradycja), wyobraźnia (ogromna), erudycja i emocjonalne zaangażowanie.

Chyba jeszcze tuż po 1863 roku nauczył się pisarz powściągliwości, operowania mową ezopową i nieujawniania tego, co myśli o przeciwniku<sup>49</sup>. A to sprawiło, że w jego pisarstwie nie widać prawie dramatycznych wstrząsów historycznych i osobistych. Im bywało gorzej, z tym większą ruszał energią do pracy. Ale i rozpacz musiała gościć w tej refleksji, choć pesymizmu starał się nie wyrażać; to było, jego zdaniem, zbyt proste: ucieczka, defetyzm, nihilizm.

Zbyt często jednak patrzono na Glogera jako na olimpijskiego pozytywistę o duszy nieprzesadnie rozbuchanego w życiu wewnętrznym romantyka. Za często czyniono zeń tylko strażnika tradycji lub „popularyzatora” nauki.

Autor *Encyklopedii staropolskiej*, ten pisarz starożytnik, bywał też, i to często, błyskotliwym wizjonerem. Szczególniej ten rys jego talentu, oparty na trzeźwej analizie i wyobraźni, ujawnił się w 1905 roku, kiedy wypadki rewolucyjne zdawały się obracać w perzynę świat ze *Snu ziemianina*. Anarchia, przemoc, mordy, siła, zapowiedź wojny, chaos „reform” w carskiej Rosji, to wszystko sześćdziesięcioletni Gloger przyjmował z przerażeniem. Jak był świetnym pisarzem wizjonerem (i moralistą), pokazuje artykuł pod tytułem *Mord, terror i grabież w „państwie przyszłości”* (1907). To tutaj z pasją nie tylko zinterpretował mechanizmy rewolucyjnego terroru, lecz także rzucił niemimoходом obraz tego, co czeka Europę, gdy wypadki zajdą dalej: Rewolucji, która obróciwszy w niwecz stary świat, zacznie pożerać własnych hersztów. Przywódców zniszczenia, bo Gloger nie nazwałby ich eufemistycznie „dziećmi” rewolucji.

To, co dzieje się od lat dwóch w Łodzi, ostatni wypadek w Lublinie, zamach na szanownego biskupa Jaczewskiego, jest dla wszystkich ludzi trzeźwych próbką i obrazem życia, jakie zapanowałoby *de facto* w idealnie i po doktrynersku wymarzonem przez skrajnych postępowców państwie przyszłości. Wierzmy szczerze, iż przywódcy wszystkich partii skrajnych są dziś przerażeni mordami w Łodzi i błagają swoje bożówki, aby zaprzestały potwornie nikczemnego rozlewu krwi bratniej.

Powinni byli jednak znać z tej strony naturę ludzką, że rozpaść jej namiętność bardzo łatwo, ale na wyciągnięcie jej z kałuży potrzeba będzie teraz całych pokoleń. Każde państwo socjalistyczne, gdyby kiedyś było, to musiałoby się składać z ludzi, a jak to już powiedzieliśmy – w pierwiastku duszy ludzkiej leży zło i dobro. Jedni będą woleli pracować dla siebie i dzieci, oszczędzać, gromadzić, gospodarować tylko u siebie i mieć własny warsztat – drudzy będą próżnowali, pili i brodząc we krwi bratniej usiłowali zaprowadzić taki ład społeczny, jakiego próbkę widzimy teraz w Łodzi, a w danym razie rzucą się na własnych przywódców, gdy ci będą ich od przesady w środkach powstrzymywać<sup>50</sup>.

I cóż się stało potem? Sprawdziło się wszystko. Wraz z tą spełnioną wizją wojny i rewolucji skończył się też szalony wiek XIX, wiek, kiedy bez ustanku coś się kończyło i coś zaczynało.

Aż zaczął się wiek XX. Nie lepszy od poprzedniego, co Gloger też – wbrew swym marzeniom – przewidział.

<sup>49</sup> Zdumiewa natomiast u niektórych współczesnych badaczy, szczególnie historyków, ton moralistyczny wobec Glogera, krytycyzm wobec niego. Piszącym o Glogerze zdarza się pouczać pisarza o tym, jak powinien się być zachować, z kim przestawać, a kogo unikać, jak pisać w prasie w rzeczywistości, którą nazwano „nocą postyczniową”. Wynika to zapewne z nieznajomości i lekceważenia reguł komunikacji, jakie po 1864 roku obowiązywały. Równie zdumiewające bywa kwestionowanie opinii naocznego świadka XIX wieku na podstawie znajomości archiwów, do których badacze dotarli zazwyczaj niedawno dopiero. Wszystkie te nieporozumienia mają początek w lekceważeniu literackiego kształtu wypowiedzi autora *Roku polskiego*.

<sup>50</sup> Z. Gloger, *Mord, terror i grabież w „państwie przyszłości”*, „Goniec Wieczorny” 1907, nr 247, s. 1. Por. też: Z. Gloger, *Bandytyzm po wsiach*, „Kurier Warszawski” 1906, s. 2: „Dziś, gdy przemysł nasz runął, wszystkich oczy w obawie głodu zwracają się rolnictwa, zagrożonego także strajkami, które gdyby ziściły się w porze przyszłej wiosny i lata, to również i rolnictwo doprowadziłoby do takiej nędzy, ruiny i upadku, jak i przemysł. Słowem, staczamy się w przepaść nędzy i błota wraz z ubogim ludem roboczym!”



Józef Chełmoński, *W puszczy*, „Tygodnik Ilustrowany” 1890, T. 1, nr 12, s. 185